



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 127

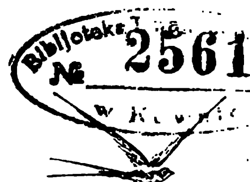
HUMORES

Włodzimierza Zagórs



Włodzimierz Zagórski

(Chochlika).



Cena 40

W pren. 3

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.

HUMORESKI.

Włodzimierz Zagórski.

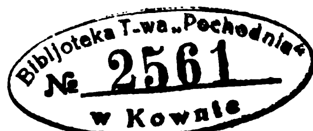
(Chochlik)

HUMORESKI.

Moja przygoda.—Teatr w Błotowie.—Venus w podróży.—Rodzina mojej żony.—„U naszych.”—Marcus Tulius Maruda.—Jaskółki.

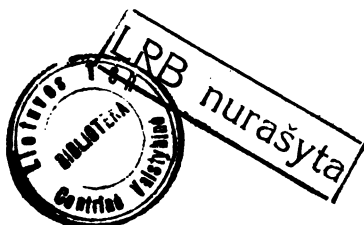


WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Марта 1900 года.



Moja przygoda

Na dworze JO. Wojewody Wileńskiego ks. Radziwiłła „Panie Kochanku."

. . . .

. . . . . aż w końcu zasnąłem.

A miałem sen bardzo dziwny i zdaje się, że wrażenia, w ciągu dnia odniesione, wpłynęły na tok moich myśli w czasie sennego marzenia. Nadmienić bowiem muszę, że zrana tegoż dnia rozmawiałem z pewną znajomą długo i szeroko o fantastycznych nowelach amerykańskiego humorysty, Edgara Poe, i że wieczór spędziłem w teatrze, gdzie przedstawiano „Księcia Radziwiłła Panie kochanku."

Owóż więc prawdopodobnie skutkiem tych wrażeń, śniło mi się, że jestem w Nieświeżu, na dworze JO. księcia, wojewody wileńskiego, razem z całą Albą i wszystkimi przyjaciółmi i klientami radziwiłłowskiego dworu, napełniającymi dom pański gwarnym swym zgiełkiem i ochotą.

Jak się tam wpośród tych dawno już zmarłych ludzi znalazłem, z tego sobie nie zdawałem sprawy. Dokoła mnie roiły się tłumy szlachty w barwnych żupanach i kontuszach, w bogatych słuckich pasach, w safianowych *butach* i przy karabelach. Ja błąkałem

się wpośród nich w czarnym fraku, w białym krawacie, w perłowych rękawiczkach z *chapeau claque'em* w ręce, rozweselając nowoczesnym mym strojem zapleśniałych litewskich mamutów.

Istotnie upokarzającym był dla mnie dysonans, który tworzyła nikła postać moja, w banalne zakopertowana suknie, odbijając od tych kolosów, pełnych zdrowia i życia. Strój ich mile wabił oko barwami tęczy, oraz połyskiem złota i drogich kamieni, a bunczuczna postawa, zamaszyste ruchy, rubaszne policzki, golone łby i czoła zawadyackim pofałdowane marsem, tchnęły wyrazem rycerskiej jakiejś dziarskości i bujnie kipiącej fantazyi. Jednem słowem, Litwa była Litwą z przed-barskich czasów—zacofana, zabobonna, rubaszna i wrzawliwa, lecz rycerska i malowniczo poetyczna;—ja zaś byłem dandysem, wykrojonym z żurnalu z końca XIX wieku, chłodnym, sceptycznym, rozumującym, ironicznym, ale prozaicznym i banalnym, jak wszyscy moi rówieśnicy.

I rzecz niepojęta! Kontrast ten nie dziwił mnie we śnie wcale! Przeniesiony sennem widzeniem w ubiegłe czasy, nie straciłem świadomości właściwych wiekowi naszemu wyobrażeń, lecz zarazem nie zdawałem sobie we śnie sprawy, czem się to dziać może, iż obok mnie, dziecięcia wieku pary i telegrafów, istnieć mogą ci ludzie, nie wiedzący nic o naszym postępie.

Wrażenie tego snu było mi wielce niemiłem! Byłem w świecie tym niejako intruzem, a poczucie to usposabiało mnie wrogo przeciw mojemu otoczeniu. Pomiędzy mną a niem nie było mostu. Dzielił nas cały świat pojęć, zasad, aspiracyj i doświadczeń, zdobytych w twardej szkole naszego, w naukę tak bogatego wieku.

Upokarzało mnie, iż tak niekorzystnie odbi[illegible] zewnętrzność moja od zewnętrzności mego otoczeni[illegible] *irytowały* mnie ironiczne spojrzenia tych sodalisó[illegible] *patrzących* na mnie okiem, jakiem patrzeć zwykli [illegible]

ściankowi parafianie na mieszkańca wielkiego miasta, gdy zabłądzi w ich mateczniki, lecz zato czułem umysłową wyższość moją nad tymi zacofańcami i czerpałem w tej świadomości wewnętrzne zadowolenie. Książę i jego dwór widzieli we mnie farmazona i nowatora; ja zaś widziałem w nich zacofańców i warchołów.

Posada, jaką zajmowałem na dworze Nieświeskim, nie należała do najprzyjemniejszych, byłem albowiem lektorem JO. ks. wojewody, co mnie wobec gospodarza mego stawiało w zależnem stanowisku. Nieznośna to była służba! Trzeba było po całych dniach pić z księciem węgrzyna i słuchać łgarstw jego, oraz rubasznych konceptów, a wieczorem czytać mu do snu Żywoty Świętych, albo znów niedorzeczne bajki, w których książę tembardziej smakował, im mniej w nich było sensu i prawdopodobieństwa. Książę ślepo wierzył wszystkim bajkom o gadających zwierzętach, o ziejących ogniem smokach, o cudownych podróżach Syndbada, o czarnoksiężnikach, czarownicach i zaczarowanych pałacach, i czerpał nieraz w tych opowieściach natchnienie do niedorzecznych łgarstw, któremi nazajutrz bawił swych Albeńczyków, przyklaskujących rubasznym konceptom błaznującego oligarchy.

Owóż więc śniło mi się, że pewnego wieczora pojawił się w mej kwaterze marszałek dworu Nieświeskiego, Imci pan Szabański, wzywając mnie do księcia, który zaniemógłszy skutkiem dłuższej pijatyki, leżał w łóżku, i spać nie mogąc, zażądał mej usługi. Książę był widocznie w złym humorze. Zebrani w jego sypialni Albeńczycy daremne czynili wysiłki, ażeby pana zabawić. Nawet i rubaszne koncepty pana Leona Borowskiego, w których zwykle tak smakował książę, nie wywoływały tym razem uśmiechu na zachmurzonej jego twarzy.

Niechętnem okiem powitali mnie Albeńczycy, gdy wszedłem do książęcej sypialni. Dla ludzi tych,

bojących się książki tak jakby jadowitego węża, byłem już, ze względu na moje literackie zatrudnienie, podejrzaną figurą. Przenosili oni na mnie swe polityczne niechęci; byłem w oczach ich bowiem reprezentantem onych farmazonów, którymi się otaczał król—przepraszam! Imci pan stolnik litewski—a którzy co czwartek gromadzili się w pałacu Łazienkowskim w Warszawie, aby tam — jak sobie na ucho opowiadano — razem ze swym gospodarzem, bluźnić i pogańskie wyprawiać saturnalia. Tym razem potęgowała jeszcze wstręt Albeńczyków i ta okoliczność, że książę, znudzony ich opowiadaniami i konceptami, zażądał mojej usługi. Obawiali się, ażebym się nie wkradł do pańskiej łaski, a służalcza zazdrość zwiększała animozyę, jaką czuli ku mej osobie.

— A bywajże mi, bywaj Mości panie Chochliku! — zawołał książę, gdym się zbliżył do jego łoża.—Cała dziś nadzieja moja w tobie, panie kochanku, że mnie rozerwiesz swojem czytaniem, bo przyjaciele moi, widząc mnie chorym, zapomnieli w gębie języka. Nawet i panu Leonowi Borowskiemu nie kleją się jakoś koncepty... Siadajże Waszmość, panie kochanku, i przeczytaj nam coś ładnego!

— Mości książę!—odparłem.—Trudno tu w nieświeskiej bibliotece znaleźć coś ciekawego. Żywoty Świętych czytaliśmy już tyle razy, że je Wasza ks. Mość umiesz na pamięć bezwątpienia. Niemniej często wertowaliśmy cudowne opowiadania Seherazady, i inne tym podobne powieści. Gdzież tu szukać czegoś, coby mogło zabawić Waszą książęcą Mość?

— A cóż na to poradzić, panie kochanku?

— Należałoby odświeżyć bibliotekę Nieświeską.

— A czyż na to Radziwiłła stać, aby wspierał farmazonów! Tyle dziś tylko mego, ile zarobię na zegarmistrzowstwie, którego się nauczyłem od powroźnika, służąc z nim razem w Tatarbasardżiku u Turka. Niechaj mnie dyabli porwą, jeżeli kłamię! Waszmość panowie myślicie, że Radziwiłł bogaty;

a świadkiem temu mój przyjaciel, pan Szabański, że tyle dziś mego tylko, ile naprawiając żydom nieświeskim zegary, na zegarmistrzowstwie zarabiam. Widzicie Waszmość, jak to dobrze nauczyć się czegoś za młodu.

Niedorzeczny koncept ten huczne wywołał śmiechy w gronie niewybrednych Albeńczyków, napełniając mnie równocześnie niesmakiem. Przypomniały mi się wszystkie niedołężne wytwory rozbrykanej fantazyi błaznujacego wiecznie magnata, których tyle się już nasłuchałem w czasie pobytu mego na dworze księcia; przypominały mi się również i cudowne wynalazki naszego wieku, zapewniające człowiekowi panowanie nad żywiołami. Potęga dzieci XIX stulecia, usidlająca niesforne siły natury, ujmująca je w karby swej woli i zmuszająca do posłuszeństwa, wydała mi się jakimś nadprzyrodzonym darem, zamieniającym nas w rzeszę czarnoksiężników. Wobec cudów tych bladły wszystkie przez księcia opowiadane cuda. W przeświadczeniu tej wyższości naszej, postanowiłem upokorzyć butnego gospodarza i jego niesympatycznych mi gości.

— Wasza książęca Mość—tak rzekłem—zechce może posłuchać opowieści mej podróży do kraju czarnoksiężników. Mogę zapewnić, że powieść ta bardziej zajmującą będzie, niźli wszystko, co tu do tej pory czytałem, a będzie przed wszystkiemi legendami i bajkami tę miała zaletę, że jest prawdziwą, i że wszystko cokolwiek powiem, będzie rzeczywistem, istniejącem, a nie zaś zmyślonym tworem wybujałej fantazyi.

— A no, panie kochanku, dobrze—odparł książę. — Na trudną się Waszmość porywasz imprezę, chcąc nas bawić cudowną a prawdziwą powieścią własnej peregrynacyi. Cokolwiekbądź pamiętaj dotrzymać obietnicy i nie wykroczyć niczem przeciwko prawdzie.

— Słowo honoru szlacheckie daję—zawołałem—

że szczerą prawdę mówić tylko będę, jakkolwiek cudowną wydać się może powieść moja Waszej Książęcej Mości.

— Pamiętaj, żeś się zaklął słowem szlacheckiem!... Jeżelibyś je złamał, panie kochanku—jeżelibyś powiedział coś, coby, zdaniem zgromadzonych tu gości moich i przyjaciół, nie było godnem wierzenia, to za karę będziesz musiał zażyć z tabakiery księdza Kattenbringa niuch tej częstochowskiej tabaczki, do której wstręt czujesz tak wielki.

— Ha, ha, ha, ha! — roześmieli się chórem Albeńczycy.

— Czy zgoda?—zapytał książę.

— Zgoda!

— A więc zaczynaj Waszmość, panie kochanku! Słuchamy.

— Wasza ks. Mość — tak rozpocząłem rzecz moją — opowiadałeś nam przedwczoraj o swej cudownej podróży do Rzymu, którą odbyłeś, niesiony powietrzem przez osiem kaczek, zaprzężonych do jego landary. Kaczki te, któremi WKMość posługiwałeś się w podróży, znane są u nas doskonale. Wylęgają się one w mózgu czarnoksiężników, których u nas co niemiara. Pierza wprawdzie nie mają, lecz zato papierowe skrzydła, któremi latają tak szybko, że podróż WKMości do Rzymu żółwią wobec tego jest podróżą. Z jednej głowy wylęga się kaczek takic[illegible] czasem dwadzieścia, pięćdziesiąt, a nawet i sto tysię[illegible] cy w jednym dniu. Czarnoksiężnicy, którzy kaczk[illegible] te wywodzą, rozsyłają je po kraju jako posłów, op[illegible] wiadających wszystkie w świecie zdarzenia. A [illegible] lot tych kaczek, dzięki papierowym ich skrzydło[illegible] nader jest szparki, czarnoksiężnik zaś, który je wy[illegible] wodzi, jest wszystkowiedzącym, więc też rozchodz[illegible] się wszystkie wiadomości, dzięki kaczkom tym, l[illegible] tem błyskawicy po świecie i można w najgłuchszy[illegible] *zaścianku* naszej halickiej Rusi, we dwadzieścia czt[illegible]

ry godziny później wiedzieć wszystko, co się stało w Rzymie, Paryżu lub Londynie.

— Hm, hm — mruknął niedowierzająco pan Stanisław Płaskowidzki, podczaszy nowogrodzki, chorujący na wielkiego sensata.

— Owóż więc — ciągnąłem dalej, nie zważając wcale na tę oznakę niedowierzania — pewnego pięknego wieczora przyniosła mi kaczka taką wiadomość, iż jeden ze znanych mi czarowników urządza podróż towarzyską naokoło świata, i za małą stosunkowo opłatę przypuszcza uczestników do udziału w tej ciekawej podróży. Zebrawszy stosowny fundusik, udałem się więc do Lwowa i zgłosiłem do czarnoksiężnika, któremu zapłaciłem żądane wynagrodzenie; nazajutrz już opuściliśmy Lwów, rozpoczynając naszą Odyseę.

Wistocie cudowną była podróż nasza, i podziwiać trzeba potęgę czarnoksiężnika, któremu powierzyliśmy nasze losy. Jechało nas przeszło tysiąc osób. Byliśmy pomieszczeni w landarach, wybitych żółtem suknem, nadzwyczaj wygodnych, a tak przestronnych, że w każdej z nich osiem mieściło się osób. Tłomoki nasze, kufry, skrzynie, pomieszczone były w ogromnych furgonach, większych od niejednej chłopskiej chaty na Litwie. Cały ten olbrzymi tabor leciał pędem strzały, z szybkością, wobec której ślimaczym ruchem jest bieg najdzielniejszego bachmata WKMości. Wystarczy gdy powiem, żeśmy robili pięć do sześciu mil na godzinę, i żeśmy, licząc w to i popasy, w ośmiu godzinach zajechali ze Lwowa do Krakowa.

— A cóż to za konie niosły was tak szybko? — zapytał pan Karol Ryś, strażnik miński, wielki znawca koni.

— Otóż właśnie w tem sęk, Mości strażniku— odparłem żywo.—Nie konie to były, bo żadne w świecie konie nie zdołałyby z taką szybkością pociągnąć tak olbrzymiego ciężaru... Cały ów tabor, składają-

cy się z kilkudziesięciu wozów i furgonów, z których każdy większym był od chaty litewskiego chłopa, ciągnął jeden smok; jeden olbrzymi żelazny smok, buchający z nozdrzy swych parą i żużlami, a pędzący z szybkością, o jakiej Waćpanowie nie macie wyobrażenia.

— I na ogromnym smoku jeździć będziesz! — zawołał drwiąco pan Jan Wazgird, jeden z najbardziej zawadyackich Albeńczyków.

— Istotnie ogromne są te smoki — odparłem ironicznie—i będziesz Waszmość nieraz jeszcze o nich słyszał w mej podróży. Trzeba albowiem wiedzieć, że czarnoksiężnicy nasi używają smoków tych żelaznych nietylko do pociągu. Wiadomo Waszmość panom, że Ameryka leży na drugiej półkuli naszego planety, tam, gdzie słońce zachodzi za największym w świecie oceanem, który się Atlantyckiem morzem zowie. Ażeby się tam dostać najszybszym żaglowym okrętem, potrzeba było płynąć dniem i nocą przeszło trzy miesiące. Wszelakoż nikt dziś nie używa niedołężnych żagłów; jeździmy tam na żelaznych smokach, częstokroć większych od tutejszego zamku, a cała podróż trwa jeno siedem dni.

— Uf, uf!—ozwie się na to pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki.

— Ale o tem potem; wrócimy do tego rodzaju smoków w dalszym toku mej powieści. Wyjechawszy z Krakowa tymże samym ordynkiem i zaprzęgiem, jechaliśmy krajami zamieszkałemi przez czarnoksiężników, u których smoki żelazne pełniły służbę domowego zwierzęcia. Wyglądając przez okna naszej landary, spotykaliśmy co chwila te potwory. Jedne z nich orały tam ogromne pól obszary, inne młóciły zebrane zboże, inne jeszcze mełły otrzymane ziarno i pytlowały mąkę, zastępując w każdej z tych czynności tysiące robotników i krocie inwentarza. Trzeba albowiem wiedzieć, że siła każdego z tych

smoków równa się sile kilku, kilkunastu, kilkuset, a nawet kilku tysięcy koni.

— *Miserere mei Deus!*—zawołał pan Wazgird.— A jakimże się karmią obrokiem te smoki, które taką posiadają siłę?

— Czarnoksiężnicy nasi karmią ich węglem kamiennym i wodą.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się rubasznie książę wojewoda.—Bóg łaskaw na Radziwiłła, że tych smoków nię sprowadzono jeszcze do Litwy. Któżby wtedy dbał o mnie, panie kochanku, gdyby nie potrzebował owsa dla swej stajni, a mógł żywić inwentarz wodą i kamieniami?

— A chociażby nawet farmazoni wynaleźli obrok taki dla naszych koni — zawołał pan Karol Ryś, strażnik miński — to jednakże żaden z nas nie opuściłby z pewnością WKMości!

— Słusznie mówi pan strażnik miński — zawołali chórem wszyscy. — Niech żyje JO. książę wojewoda!

— Ja wiem! Ja wiem, panie kochanku, żeście na mnie łaskawi!—odparł książę.—Tyle też mojego i tem też w świecie stoję, że — *fiducia amicorum fortis*—oprzeć się mogę na Waszmościach. Inaczej toby lada hetka pętelka mógł sobie ze mnie dworować i kołki ciosać na głowie Radziwiłła!

— Ale nie o tem mowa, panie kochanku!—dodał po artystycznej pauzie. — Posłuchajmy raczej, co nam Imci pan Chochlik powie o tym cudownym kraju, gdzie się żelaznemi smokami posługują czarnoksiężnicy, używając ich tak, jak się u nas wołów i koni używa.

— Wistocie — rzekłem — cudowną jest pomoc, którą czarnoksiężnikom dają żelazne smoki, używane jako inwentarz w gospodarstwie rolnem. Wszelakoż nie na tem koniec jeszcze! Jadąc krajem czarnoksiężników, mijaliśmy olbrzymie tartaki, kędy smoki te rżnęły i heblowały kłody największvch rozmiarów,

wyrabiając tarciczki cieniutkie jak opłatek. Gdzieindziej zastępowały czarnoksiężnikom kowali, kując rozliczne kruszce i wyciągając druty cieniutkie jak nić pajęczyny. Inne znów trudniły się prządką i tkactwem, przędąc najcieńsze nici, tkając sukna i płótna, a sprawując to z szybkością i dokładnością, do jakiej nigdy zdolną nie była ludzka ręka.

— Uf, uf, uf! — ozwie się na to pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki, jeden z najtęższych łgarzów albańskich.

— Ano—zauważył, śmiejąc się, pan Leon Borowski, sławny na całą Litwę ze swoich dowcipów.— Czemubym nie wierzył, ale temu wierzę, że w tym przepięknym kraju prządką się bawić mogą nawet i smoki, boć po to nie trzeba przecie jeździć aż do czarnoksiężkich krajów. Sam znałem smoka, co prześlicznie umiał prząść na kołowrotku. Ale że język miał takoż jak kołowrotek, a snuł plotki jadowite, więc też z smoka tego dyabłu jego była chwała a ludziom zakała i nic więcej. *Miserere mei Deus!* Znajdzie się i u nas na Litwie takich smoków dosyć.

— Że też Waszmość, panie kochanku, gęby w ryzie utrzymać nie możesz, i dla konceptu sprzedać gotów jesteś i rodzonego brata — fuknął książę, widocznie rozdrażniony. — Zły to ptak, co gniazdo swoje kala, a ten oto miły nasz gość a wielkoświatowy kawaler gotów jeszcze Waszmości uwierzyć, że się u nas na Litwie krzewią farmazońskie obyczaje i rozgadać tę bajkę po świecie. Imci pan Chochlik już i tak sobie widocznie dworuje z Litwinów, „polując" obyczajem tych, co zwiedzali dalekie kraje. Aliści wolne żarty jego, a nasza, jako gospodarzy, powinność słuchać jego gawędy. Opowiadaj Waszmość dalej, Mości Chochliku.

— Wreszcie przybyliśmy nad brzeg morza, zrobiwszy, dzięki szybkości biegu naszego smoka, w trzech dniach przeszło trzysta kilkadziesiąt mil — tak jąłem mówić dalej.— Portowe miasto, gdzieśmy stanęli, by-

ło siedliskiem czarnoksiężników, o których potędze cuda mógłbym opowiadać. Byli między nimi tacy, którzy mieli słuch tak dobry, że przyłożywszy mały, miedzianym drutem owinięty bębenek do ucha, mogli słyszeć najwyraźniej, w odległości mil nawet kilkudziesięciu, rozmowę zwykłym prowadzoną głosem. Byli inni, którzy mieli tak silne płuca, że dotknąwszy ust swych takimże bębenkiem, mogli przesyłać głos swój w najdalej odległe strony — i to w mgnieniu oka, a tak wyraźnie, że się temu, do którego mówią, wydaje, jak gdyby tuż pod jego bokiem w najbliższem jego mówiono sąsiedztwie.

— Hm, hm!—mruknął znów Imci pan podczaszy nowogrodzki.

— Potęga onych czarnoksiężników— ciągnąłem, nie przerywając sobie dalej—nie miała właściwie żadnej granicy. Piorun ich słuchał i nie miał nad nimi żadnej władzy. U wnijscia do portu zbudowali wysoką wieżę, w której w niewoli trzymają błyskawicę, zmuszając ją co nocy, aby nieustannie przyświecała podróżującym po morzu żeglarzom. Światłem błyskawic oświetlają czarnoksiężnicy owi ulice i rynki swego miasta. Strzały piorunowej używają jako pióra, i piszą żarem jej listy, które w mgnieniu oku w najdalsze przerzucają świata końce. Wystarczy Waszmość panom, gdy powiem, że ja sam z miasta tego przerzuciłem za pomocą czarnoksiężnika, piorunowy list taki do Lwowa, i że w przeciągu godziny otrzymałem również za pośrednictwem piorunu ztamtąd odpowiedź od mojego przyjaciela. Jeżeli Waszmość zważycie, że z miasta tego do Lwowa było trzysta sześćdziesiąt mil, i że trzysta sześćdziesiąt mil było również do tego miasta, to będziecie mieli wyobrażenie o szybkości, z jaką pędzą te piorunowe listy.

— Uf!— mruknął książę wojewoda, przewracając się na łóżku.

— Tego samego dnia, któregośmy do miasta

czarnoksiężników przybyli—ciągnąłem dalej, nie zw
żając na niecierpliwość księcia — miałem sposobnc
podziwiać okaz innego rodzaju smoków, któremi :
posługują czarnoksiężnicy w swych napowietrzny
podróżach. Trzeba albowiem wiedzieć, że podróż
wanie takie, jakiego używał JO. książę, zaprzągłs
po dobrym obiadku osiem kaczek do swojej landaı
wyszło, jako niedogodne, dziś już zupełnie z użyc
W napowietrznych podróżach swoich dają się cza
noksiężnicy unosić w chmury płóciennym smokoı
które mają kształt olbrzymich bań, a karmione b
wają witryolem i żelazem.

— No, no, no, no!—mruknął niecierpliwie ksi
żę, przewracając się na swej pościeli.

— Owóż dnia tego właśnie, gdyśmy do mias
czarnoksiężników przybyli, wzleciało w obliczu k
kotysiącznego tłumu dwóch takich czarodziejów pł
cienym smokiem w obłoki. Był to widok wspaniał
gdy smok ów, większy od chaty niejednego litew
skiego chłopa, wznosił się powoli w górę, malej
w oczach naszych coraz bardziej — podobny wielk
ścią swą do motyla, do muchy, do komara—aż wr
szcie całkiem roztopił się w błękicie. Opowiadano n
że podróż takim płóciennym smokiem ma być ni
równie przyjemniejszą i szybszą od tej, którą się :
pomocą żelaznych smoków odbywa, i nie mogę s
bie darować, że nie skorzystałem wtedy ze spos
bności, która się nastręczała, i nie doświadczyłem t
rozkosznej podróży.

O cudach, które w mieście czarowników w
działem, mógłbym Waszmość panom opowiadać b
końca. Nie chcąc jednakże nużyć moich słuchaczów
wspomnę tu jeszcze tylko, że ostatniego dnia prze
moim odjazdem w dalszą drogę widziałem tam pr
bę obrony portu, wymyślonej przez jednego z tar
tejszych czarnoksiężników na wypadek, gdyby c
przystani zawinęła flota nieprzyjacielska. Rzecz ca
pomyślana jest nader misternie. Rozrzucone na wz

zachownicy, drzemią na dnie całej przystani, głębo
o pod wody zwierciadłem, olbrzymie kruszcowe
moki, nakarmione tłuszczem, kwasem i piaskiem
ıb trocinami, a zapuszczone na dno druty miedzia-
e łączą ich potężne brzuchy z klawiszami organów,
mieszczonych w jednej z wież warowni portowej.
rzed temi organami siedzi czarnoksiężnik, patrząc
a przystań przez szklaną szybę, na której ozna-
zone są krzyżykami miejsca, odpowiadające barło-
ɔm drzemiących smoków. Skoro okręt nieprzyja-
elski zbliży się do takiego barłogu, a widmo jego
arysuje się na szybie w sąsiedztwie tamże będące-
ɔ krzyżyka, uderza czarnoksiężnik w odpowiedni
.awisz swojego organu, posyłając za przewodem
ıiedzianego drutu iskrę piorunową w tym kierunku,
ɔy drzemiącego smoka w brzuch ugryzła. Ukąszo-
y w ten sposób, pęka smok kruszcowy, wyrzuca-
.c w powietrze okręt, działa i jego załogę. Wybuch
ıyba podmorskiego wulkanu mógłby dać wyobraże-
ie zniszczenia dokonanego w ten sposób, a zauwa-
yć należy, że smoków takich drzemią na dnie przy-
ani setki, i że dzięki tym czarom, trzyma jeden or-
anista losy' kroci okrętów w swym ręku.

— Hm, hm!—mruknął znów książę, widocznie
.ezadowolony.

— Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Ogromny
nok żelazny, na którym odbyć mieliśmy podróż na-
:ą, czekał na nas w przystani, sypiąc żar ze swej
ıszczy i buchając z nozdrzy parą i dymem. Może-
e sobie Waszmość wyobrazić tego smoka, gdy po-
iem, że go dosiadło więcej niż tysiąc podróżnych,
że wszystkie tłomoki, kufry, skrzynie i pakunki
ch osób, oraz olbrzymie zapasy żywności dla nich
ɔtrzebnej, wreszcie węgiel i woda, przeznaczone dla
ɔkarmu smoka w czasie podróży, znalazły na nim
ve pomieszczenie. Z kilkudziesięciu olbrzymich ło-
:i wysypał się rój podróżnych, którzy oblegli grzbiet



potężnego smoka. Działa na nim umieszczone dały hasło odjazdu, i dymiąc nozdrzami, a siekąc potężnemi pletwami błękitne fale morza, wypłynął potwór pędem strzały z przystani na szerokie morze.

— Ja się wcale nie dziwię, że takiemu smokowi z nozdrzy kurzy — rzecze, dowcipkując pan Leon Borowski. — Owszem, jestem przekonany, że nawet i podróżnym, którzy takiemi żelaznemi smokami jeżdżą lub jeździli, takoż z nosa się kurzyć musi. Czy nie tak, Mości Chochliku?

Dowcip ten, jak na Albeńczyka, dosyć zgrabny, huczną wywołał salwę wesołego śmiechu.

— Ależ to mu dociął! — szepnął do pana Wazgirda pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki.

— Ha, ha, ha! — śmiał się książę. — Niechże cię uściskam, panie Leonie! A toś mi się spisał, panie kochanku! Jakby z pod serca wyjąłeś mi to, coś powiedział. Ale teraz już nie przerywaj naszemu miłemu gościowi, bo się niczego nie dowiemy o jego cudownej podróży.

— Wistocie cudowna to była podróż! — zacząłem znów. — I na wołowej skórze nie spisałbym wszystkich dziwów, które widziałem. Jechaliśmy dniem i nocą, prując błękity morza i mijając lądy, pełne rozlicznych cudów. Czasami przybijaliśmy do brzegu i zapuszczaliśmy się w głąb kraju, aby zwiedzić jego osobliwości. W jednej z takich wycieczek zapuściliśmy się w kraj, gdzie rosną zioła mięsożerne.

— Będzie tabaczka, o, będzie — mruknął książę, uśmiechając się złośliwie.

— Wasza ks. Mość — ciągnąłem dalej — opowiadałeś nam niedawno, jako nie mając kuli, ni loftki, nabiłeś raz na polowaniu strzelbę swą żołędziem, i jako spotkawszy kozła, strzeliłeś doń tym nabojem. W lat kilka po tym wypadku spotkałeś Wasza Ks. Mość w kniei starego kozła, któremu z pomiędzy rogów dąb wyrastał. Był to ten sam kozioł, do którego Wasza Ks. Mość strzelałeś przed laty. Otóż w cza-

sie naszej podróży zawinął nasz smok do przystani pewnej wyspy, zarośniętej gęstym lasem palm niebotycznych. Palmy te wyrastały również z ciała pewnych żyjących tworów. Trzeba albowiem wiedzieć, że cała ta wyspa składała się z ciał onych zwierząt wielce cudownych, gdyż ciało ich jest z kamienia wapiennego, a członki ich mają kształt pędów roślinnych, z którego też powodu żyjącymby je chrustem nazwać można.

— No, no, no!—mruknął znów książę, niecierpliwiąc się coraz bardziej.

— Po długiej, długiej podróży — ciągnąłem nie zrażając się dalej — przybyliśmy do miasta, w którem mieszkał jeden z najpotężniejszych czarodziejów, jakich mi się spotkać zdarzyło. Mąż ten miał władzę nad słońcem, gwiazdami i nad wszystkiemi innemi ciałami niebieskiemi. Źrenicę miał tak potężną, iż nią ku sobie mógł wszystkie przyciągać planety, jakie widzimy na niebios sklepieniu. I tak naprzykład, łatwo mu było potężnym swym wzrokiem zbliżyć do siebie księżyc na odległość mil dwudziestu, jakkolwiek wiadomą jest rzeczą, że ta gwiazda przeszło pięćdziesiąt tysięcy mil odległą jest od naszej ziemi.

— Ha, ha, ha, ha! — zaśmieli się chórem Albeńczycy.

— Nie śmiejcie się, Mości panowie — rzecze tu spowiednik księcia, uczony ksiądz Kattenbryng.— Wszak źrenice one, o których nam gość nasz opowiada, to są teleskopy, jakich i nasz uczony ksiądz Poczobut używa. Potężne źrenice te są wytopione z piasku albo też z kruszcu wylane, i można niemi istotnie zbliżać na pozór ciała niebieskie oczom naszym w wysokim stopniu. Wszelakoż o teleskopie tej siły, o jakim nam Imci pan Chochlik opowiada, nie słyszałem do tej chwili.

Uwaga ta uczonego księdza, wielkie na Albeńczykach, a nawet i na JO. Wojewodzie zrobiła wrażenie. — Ksiądz Kattenbryng bowiem niepospolitego

z powodu wiedzy swej używał w albeńskich kołach poważania. Częściowe potwierdzenie prawdziwości mego opowiadania, które dotąd za zmyśloną poczytywali bajeczkę, uderzyło ich niezbyt wykształcone umysły — a przypuszczenie, że reszta opowiadanych przezemnie cudów, przy pomocy złego ducha, również jest możliwą, przejęła zabobonnych tych zaściankowiczów niewymowną grozą.

Przerażeni patrzyli na mnie zukosa, a ten i ów, który poprzednio nieraz szydził sobie ze mnie i dworował, przeżegnał nieznacznie piersi swoje znakiem krzyża, ażeby się zabezpieczyć przeciwko możliwemu urokowi.

Nawet JO. wojewoda dobył z pod koszuli relikwiarz z drzewem ś. Krzyża, który zawsze na piersi nosił, i ucałował go, przeżegnał nim powietrze w moim kierunku, ażeby precz odpędzić złego ducha. Uradowany wielce tym nowym tryumfem, ciągnąłem dalej:

— Tak jest, mości księże rektorze! Tylko, że czarnoksiężnicy dzisiejsi zaćmili już sławę uczonego księdza Poczobuta. Wiadomo waszej Przewielebności, że księżyc i gwiazdy mierzyć można, a nawet, że i waga tych ciał niebieskich da się za pomocą praw Newtona i Kepplera obliczyć i oznaczyć jak najdokładniej. Żydzi nieświescy nie tak dokładnie mierzą sukno i ważą pieprz lub cynamon, jak dokładnie mierzą i ważą czarodzieje słońce, księżyc i wszystkie planety. Potężny wzrok ich przenika wszystko; wszystko mierzą, ważą, rozbierają, a czarnoksiężnik, o którym mówiłem, dzięki doskonałości zmysłów swoich i przenikliwości swego umysłu, był w stanie opowiedzieć nam jak najdokładniej, czy na tej lub na owej gwiaździe, o miliony milionów mil od nas odległej, znajduje się żelazo, złoto, srebro, glina, woda, a nawet powietrze[1]).

---

[1]) Analiza spektralna.

— A to jakim sposebem? — zapytał ks. Kattenbryng ciekawie.

— Dzięki doskonałości wzroku swego, czyli raczej dzięki swym źrenicom, które mają tę właściwość, iż w świetle tej lub owej płonącej gwiazdy widzą pasma i smugi, oczom naszym niewidzialne, a dokładnie objawiające oną tajemnicę [2]).

— Temu już istotnie uwierzyć trudno — rzecze z powagą ksiądz Kattenbryng. — Znane mi są przecież wszystkie doświadczenia uczonego naszego księdza Poczobuta; wszelakoż o czemś podobnem nie słyszałem wcale.

— Oczywista rzecz, że trudno wierzyć temu, co nam Imci pan Chochlik opowiada — potwierdził książę, nabrawszy ze słów swego spowiednika otuchy.

— Ależ tak, tak, niema wątpliwości, że sobie z nas dworuje—zawołali chórem Albeńczycy.

— Cóżem ja winien — odparłem z ferworem — że mi Waszmość wierzyć nie chcecie, jakkolwiek szlacheckim klnę się honorem, że nie przesadzam ani na włosek. Potęga czarodziejów niema istotnie, jak już mówiłem, żadnej granicy. Sluchają ich wszystkie żywioły; wzrok ich sięga aż do gwiazd i po za gwiazdy; żadne oddalenie nie stawi ich głosowi zapory; potężne ramiona ich opasują całego naszego planetę. Widziałem takich, którzy z ludzkiej lub zwierzęcej krwi dobywali żelazo; widziałem innych, którzy powietrze zamieniali w ciało bryłowate; widziałem wreszcie takich, którzy wyrabiali iskrę piorunową, zanurzywszy pewne kruszce w pewnych kwasach. Piorun nad nimi nie miał władzy. Stosownie do swej woli umieli przyciągać lub odprowadzać jego strzały długiemi żelaznemi żerdziami, które umieszczali na dachach swych budynków. Byli między nimi tacy,

[2]) Smugi Frauenhofera.

którzy wytwarzali lód w piecu hutnika, a mogli rękę swą włożyć w olej kipiący, nie doznając najmniejszej obrazy.

— Hm, hm, hm — mruknął znów książę niecierpliwie.

— Atoli wszystko to — tak ciągnąłem z rezonem dalej—fraszką jest wobec potęgi pewnych czarnoksiężników, którzy umieli narzucić wolę swą słońcu i zmusić je do malowania osób i krajobrazów, jakie malować mu każą. Ostatniego dnia przed wyjazdem mym z tego miasta w dalszą drogę, odebrałem list od mego przyjaciela, który mnie na wszystko zaklinał, abym mu przysłał swój wizerunek. Niestety, doszła mnie prośba ta za późno, abym wykonanie portretu swojego mógł powierzyć malarzowi. Markotnem mi to było wielce, że nie mogę zadość uczynić prośbie przyjaciela, czekała mnie bowiem podróż daleka, i mogłem snadno nie wrócić z mej wyprawy. Na szczęście, było w mieście tem kilku czarnoksiężników, słynnych z tego, że posłuszne im słońce maluje wizerunki osób, krajobrazów lub rzeczy, wypełniając, niby pilny a wierny sługa, otrzymane w tej mierze rozkazy swego pana. Udałem się tedy niezwłocznie do jednego z nich, i w mgnieniu oka wykonało posłuszne mu słońce konterfekt mój tak wiernie, że każda zmarszczka, każdy pryszczyk, każdy pojedynczy włosek odbitym był na obrazku, jak gdyby w najlepszem zwierciadle weneckiem. Najzręczniejszy malarz nie byłby w stanie nawet w przeciągu lat kilku zrobić jednego równie dokładnego konterfektu; posłuszne czarnoksiężnikowi słońce wykonało odrazu dwanaście moich portretów, a jednak robota każdego z nich nie trwała dłużej nad mgnienie oka.

— Uf, uf, uf—mruknął książę. —Tego już trochę za wiele! Za kogoż nas Waszmość masz, że nam takie dziwy opowiadasz?

— Tak jest — zawołali chórem Albeńczycy — zanadto już tego zmyślania.

— Imci pan Chochlik — dodał pan Wazgird — dworuje z naszej łatwowierności. Wnoszę więc, ażeby mu zaaplikować karę, na którą się zgodził.

— Słusznie mówi pan Wazgird—krzyknęli chórem. — Wszak niema między nami takiego, któryby wierzył tym bajkom. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Niech więc zażywa tabaki.

— Za pozwoleniem, mości panowie!—odparłem żywo.—Klnę się wszystkiem, co mi święte, że szczerą tylko prawdę opowiadam.

— Gadaj Waszmość to komu innemu, a nie nam—wołał pan podczaszy nowogrodzki.—Toż przecie wiemy, co możliwe, a co nie.

— Oczywiście, że wiemy — potwierdziła szlachta. — Toć przecie i my uczyliśmy się czegoś na świecie!... Tabaczki, tabaczki dla pana brata.

— Ależ moi panowie — broniłem się żywo.— Jako szlachcic, nie mogę być karanym bez sądu. Apeluję do praw obowiązujących w naszej rzeczypospolitej, apeluję do *neminem captivabimus!*

— My też Waszmości nie chcemy *captivare* — odparł imci pan pisarz Wierzejski, sławny na całą okolicę jurysta — nie chcemy *captivare*, ale tabaczkę Waszmość zażyć musisz, boś przecie *jure victus*, gdyż taka była umowa.

— Jakto *jure victus?* — krzyczałem. — Klnę się Waszmościom słowem szlachcica i uczciwego człowieka, żem szczerą prawdę powiadał i nie przesadzał ani na włosek.

— Ba, ba, ba, ba! — zawołali chórem.—Powiedziane było w umowie, że Waszmość będziesz musiał zażyć tabaczki, jeżelibyś powiedział coś, coby zdaniem obecnych tu sług książęcych, nie było godnem wierzenia. Otóż my nie wierzymy całej opowieści Waćpana. Musisz więc zażyć! *Verbum nobile debet esse stabile!*

— Za pozwoleniem, łaskawi panowie! — wołałem zrozpaczony. — Jest tu przecie JO. książę, jest Przewielebny ksiądz rektor Kattenbryng! Do nich się odwołuję!... Pokładam nadzieję w ich sprawiedliwości, boć przecież szczerą prawdę Waszmościom powiadałem!

— Ba! — ozwie się książę, trzęsąc się od śmiechu na widok mej rozpaczy. — Widzisz Waszmość, panie kochanku, i ja ci nie wierzę. Naplotłeś nam bajek co niemiara, a miałeś nam opowiadać rzeczy prawdziwe i godniejsze wiary od wiarogodnych powieści Seherazady, nawet od cudownych legend, spisanych przez świętobliwych ludzi. Nic nie pomoże, musisz zażyć tabaki!

— Ha, ha, ha!—śmieli się Albeńczycy.

— Przewielebny księże rektorze! — wołałem zrozpaczony, szukając ratunku u księdza Kattenbrynga.—Niechże Wasza Przewielebność wytłómaczy tym ichmościom, że tylko szczerą prawdę mówiłem!... Przecież Wasza Przewielebność, jako mąż uczony...

— E, he, he! — odparł, śmiejąc się i ruszając ramionami ksiądz Kattenbryng.—Toż przecie właśnie nauka nie pozwala mi wierzyć, iżby człowiek śmiertelny mógł zmusić słońce do malowania portretów... Oto jest moja tabakiera ze świeżą bernardynką... Zażywaj Waszmość, zażywaj!

— Nie wykręcisz się Waćpan! — wołał pan Wazgird. — Dość się Waszmość nadworowałeś z naszej łatwowierności.

I wziąwszy z rąk księdza Kattenbrynga olbrzymią jego tabakierę, zapraszał mnie do zażycia z szyderczym uśmiechem. A tabakiera wydawała mi się tak wielka, jak skrzynia, a tabaka w niej czarna, jak smoła, a zapach jej uderzał już zdaleka i wiercił mi aż w mózgu, wyciskając z oczu łzy rzęsiste.

— A no—rzekłem—niech i tak będzie! Zażyję, byście Waszmość nie myśleli, że macie przed sobą

drażliwą spazmatyczkę!... Zażyję, lecz protestuję przeciw zrobionemu mi gwałtowi, zastrzegając sobie odwet na czas późniejszy, gdy wam dowiodę, że szczerą tylko prawdę mówiłem.

To rzekłszy, ująłem w palce małą szczyptę tej przeklętej tabaki, lecz zaledwie rękę zbliżyłem do nosa, kichnąłem tak silnie... żem się zbudził.

Teatr w Błotowie.

I.

W r. 1872 zaniósł mnie los do Błotowa.

Powiadam los, bo nie chcę tej krzywdy wypominać nikomu. Wistocie jednak winien był temu bank, z ramienia którego byłem wysłany, a bardziej jeszcze dziedzic sąsiedniej Terpiłówki, na którego wezwanie i koszt przybyłem w tamte strony.

Staropolskim, szlacheckim obyczajem zapomniał widocznie poczciwiec, gdzieś przy kartach lub kieliszku, o terminie i o interesie. Ktoby tam w przyjemnej kompanii myślał o bankach i o likwidacyach? Myśli takie psują tylko humor i odbierają fantazyę. Najlepiej więc, gdy się o tem wszystkiem zapomni.

Nie zastawszy w domu mego klienta, a nie wiedząc, gdzie się obraca, udałem się do Błotowa. Ztamtąd pchnąłem do banku telegram z zapytaniem, co dalej czynić wypada.

— Czekać w Błotowie powrotu interesanta — brzmiała lakonicznie odpowiedź.

Nie było rady; rozkaz był wyraźny—trzeba było czekać. Osiadłem więc na tem „pokuciu,” skazany na Bóg wie jak długie nudy, bez gazet, bez książek, bez znajomych — podobny do Robinsona, zaniesionego na jakąś wyspę—z błota!

Było to w miesiącu maju—w miesiącu róż i słowików. *O primavera, gioventu del anno!* jakże ty wcale niepodobną jesteś do wiosny w brudnej, żydowskiej mieścinie na Podolu!

Tam na wsi, tuż, tuż niedaleko, kiełkują w cieniu fiołki i konwalie, po sadach kwitną jabłonie, unosząc się ponad skibami dzwonią skowronki, brzęcząc w złotem słońcu igrają muszki swawolne. Wyjść tylko za „miasto" potrzeba, aby się upoić tą rozkoszą!... Ale wybrnijże tu z tej błotnej Wenecyi, gdzie na rynku, przed ratuszem, koła grzęzną po osie. Gospoda, w której stanąłem, podobną była do arki Noego, unoszącej się na falach potopu.

Pierwszy dzień przespałem jakoś szczęśliwie na twardych materacach, których włosie przebijało prześcieradło i kłuło mnie, jak gdyby szpilkami. Byłem zmęczony podróżą i potrzebowałem wywczasu; w tych razach nie zważa się na takie dolegliwości. Na drugi dzień jednak odeszła mnie ochota do snu. Tu coś kłuło, tam coś gryzło, nie sposób było wyleżeć na pościeli. Zerwawszy się z łóżka, ubrałem się czemprędzej i wyszedłem zobaczyć, co się w świecie dzieje.

Zapytałem, czy nie ma posłańca z Terpiłówki? Nie! Klient mój przepadł, jak kamień w wodzie; — prawdopodobnie dobrze mu się gdzieś tam działo. Zapomniał na wieki, że mnie ze Lwowa sprowadził i że mi za każdy dzień zwłoki będzie musiał zapłacić piętnaście guldenów; tyle bowiem wynosiły przyrzeczone mi dyety.

Nie wiedząc, co z sobą zrobić, stanąłem w bramie gospody. Dzień był jasny i pogodny. W powietrzu grało coś, co budziło ochotę do życia. Świeżutki wietrzyk wiał od pól, przynosząc na swych skrzydłach ową nieokreśloną woń, która pachnie wsią i wiosną. Na bezchmurnem niebie uśmiechało się słońce łaskawie, jak gdyby chciało powiedzieć: „A co, czy nie caca?"

I rzeczywiście „caca" był świat cały, skąpany w złotym słońca blasku. Za rzeką, na wzgórzu, widniał wspaniały klasztor Bazyliański, fundacyi starosty kaniowskiego; przedemną na błękitnem tle nieba rysowała się poważnie ratuszowa wieża. Promienie słońca złociły ciepłem światłem zczerniałe wiekiem mury klasztoru i ratusza — olbrzymiejące i wyglądające dziwnie malowniczo w tem oświetleniu.

Nawet odrapane żydowskie domki, o wysokich dachach i rzeźbionych ganeczkach, opromienione słońcem, uśmiechały się z po za kępek drzew odświętnie i wesoło. Tu i owdzie, jak gdyby dla odświeżenia tego krajobrazu, stały przed kramami gromadki żydów, rozmawiających z sobą.

Był to widok uroczy, domagający się, aby go farbą i pendzlem przeniesiono na papier lub płótno. Tylko to błoto, ach, to błoto!—Podole jest klasyczną ziemią błota. W życiu mojem nie widziałem podobnej topieli.

Niedaleko od mojej gospody był sklep korzenny. *Miszures* powiedział mi, że tam można dostać wszystkiego, i że tam na śniadanie „pszichodzom same największe panowie."

Raczej z nudów, niż z potrzeby, udałem się do tego przybytku największych panów. Przy sardynkach lub kawiorrze i półbuteleczce porteru można tam było przesiedzieć z jaką godzinę, przypatrując się ludziom i przysłuchując ich rozmowie. Byłaby to czysta wygrana w tem smutnem położeniu, w jakiem się znajdowałem. Chodziło tylko o to, aby się dobić do tego portu bez wielkiego szwanku. Przeskakując z kamienia na kamień i wykonywajac ekwilibrystyczne cuda, dostałem się szczęśliwie do celu.

Sklep roił się istotnie gośćmi, należącymi do najwyższej miejscowej towarzyskiej sfery. Kilku urzędników powiatowych, w czapeczkach z bączkiem; kilku jegomości w wysokich butach i w strzeleckiem ubraniu — widocznie myśliwi; jakiś otyły pan, z grubym,

złotym łańcuszkiem od zegarka, z pełnemi pierścionków palcami, o wschodnich rysach twarzy, prawdopodobnie Ormianin i bogaty; wreszcie słuszny jakiś mężczyzna, w kauczukowym angielskim *waterproofie* i w miękkim, pilśniowym kapeluszu, jakiego niegdyś używali muzycy i malarze. Ostatni perorował głośno i z wielką pewnością siebie o sztuce i o teatrze; tamci słuchali go z zajęciem, przypatrując mu się z życzliwością i uwielbieniem.

Kazałem sobie dać kieliszek „łańcutówki," pół butelki porteru i dwa łuty kawioru na przekąskę. Wszystkie miejsca przy stolikach były zajęte; usiadłem więc skromnie przy kramnicy na jakiejś pace, którą mi przysunięto. Lubię nadzwyczaj obserwować ludzi niewidziany. Stanowisko, które zająłem, było wielce dogodnem do takiego celu.

Wejście moje zwróciło jednakże uwagę gości, z wyjątkiem mówcy w *waterproofie*, upajającego się własną swadą. W miasteczku tak małem, gdzie się wszyscy znają, pojawienie się obcej twarzy jest niezwykłym wypadkiem. Zaczęto mi się przypatrywać ciekawie i szeptać zcicha. Widocznie zaintrygowałem błotowską arystokracyę; chciano się dowiedzieć, kto jest ten gość nieznajomy?

Spojrzenia te i szepty zwróciły w końcu uwagę tokującego mówcy. Spojrzał na mnie, schmurzył brew, jak gdyby sobie coś przypomniał, potem zerwał się ze stołka, rozszerzył ramiona, i podbiegłszy ku mnie, chwycił mnie w objęcia.

— Drogi, kochany! jak się masz! — zawołał, przyciskając mnie do piersi.

Niespodziewana ta czułość wprawiła mnie w kłopot niemały. Twarz serdecznego jegomościa była mi całkiem nieznana.

— Jakto, nie poznajesz mnie?—pytał, spostrzegłszy moje zdziwienie.

— Nie!... Prawdziwie... Nie mogę sobie przy-

pomnieć—odparłem, przekonany, iż mnie pamięć zawodzi.

— Nó, przypomnij sobie!

Uśmiechnąłem się frasobliwie.

— Wi...

— Wi?

— Wider...

— Wider?

— Widerkie...

— Widerkie?

— No, jakże? przecież Widerkiewicz!... Karol Widerkiewicz... Jak można tak zapomnieć?... Kolegowaliśmy z sobą, nie pamiętasz?

— Aaaa, Widerkiewicz! — rzekłem, udając, że sobie przypominam.

Niech mnie dyabli porwą, jeżelim kiedykolwiek słyszał to nazwisko.

— A widzisz, a widzisz, jak to się ludzie schodzą!... Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek zawsze... Kochany, drogi!

I jął mnie znów całować i ściskać, aż mi kości trzeszczały. Oszołomiony, odwzajemniałem jego uściski.

— No, i jakże tam, cóż tam? — zaczął znów, wypuściwszy mnie nareszcie ze swego objęcia. Zdrowieczko, jak widać, służy; pysio rumiane, jak jabłuszko... kubek w kubek jak wtedy na szkolnej ławce! Kochany, drogi!... Ożeniłeś się, co, nie prawdaż, hę?... Masz tu majątek w okolicy?... Kiedyż się tu sprowadziłeś?

— Mieszkam zawsze we Lwowie.

— We Lwowie, taak?... No, proszę!... A cóż w Błotowie porabiasz?

— Przyjechałem tu w interesie bankowym.

— Ach prawda, prawda, zapomniałem!... Mówiono mi przecież, żeś wstąpił do służby bankowej... No, proszę, proszę!

Uderzył się ręką po czole.

— Toś ty wczoraj telegrafował do banku i otrzymał odpowiedź.

— Ja—odparłem zdziwiony.

— A do dyabła!... Jakże mogłem się tego nie domyśleć?... Powiadano mi przecież, Wisłocki—wyraźnie sekretarz banku hypotecznego, Wisłocki... Na śmierć zapomniałem, że to ty... No, ale się na mnie nie gniewaj!... Tyle mam kłopotu z tym teatrem;—prawdziwie nie wiem już, gdzie mam głowę... Nie gnieważ się, prawda, co? — pytał, ściskając mnie znów.

— Bynajmniej!

— Kochany, drogi Józiu mój!

— Aleksander mi na imię.

Uderzył się znów ręką po czole.

— Ach, prawda, Aleksander!... Oleś Wisłocki przecież... Kochany, złoty!... No i długo tu zabawisz?

— Sam nie wiem—rzekłem, wzdychając.—Może jutro wyjadę, a może zostanę dłużej.

— No, to nas przecież odwiedzisz w teatrze?

— W teatrze?

— A tak!... Wszakże jestem tu ze swą trupą. Towarzystwo Karola Widerkiewicza, ha! ha! ha!... Powiadam ci, Olesiu, sukces mamy olbrzymi. No, bo też udało mi się zebrać siły, bez przechwałek, pierwszorzędne!... Miłaszewski wścieka się ze złości, ha! ha! ha!... Mam tu między innemi amantkę, no!... Zresztą przyjdziesz, to sam zobaczysz.

Zamilkł na chwilę, przypatrując mi się ciekawie, prawie z rozrzewnieniem.

— No i cóż?—zapytał nagle.—Czy pisujesz zawsze do dzienników?

— Tak jest, o ile mi na to pozwala bankowe zajęcie.

— Masz racyę, masz racyę!—odparł tonem głębokiego przekonania.—To człowiekowi daje w świecie dobrą pozycyę... zapewnia mu wpływ w teatralnych sferach!... Co, nieprawdaż, hę?

Uśmiechnąłem się, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— Ach, kochany, złoty! — ciągnął z czułością dalej.—Jakżem szczęśliwy, że ciebie spotykam!... Oleś, no proszę kogo, Oleś!... Pamiętasz, jakieśmy to grywali w kiczkę, jakieśmy zawsze razem bijali żydów, co?...

Wmawiał we mnie bezczelnie—w niższych klasach nie uczęszczałem do szkół publicznych, nie grywałem w życiu mem nigdy w kiczkę i nigdy z żydami wojen nie prowadziłem.

— Ale to się tak obejść nie może — dodał natychmiast, nie dając mi przyjść do siebie. — Panie Jaśkiewicz, daj nam pan wina! Musimy przecież koniecznie oblać to spotkanie... Chodź, usiądziesz z nami... Dlaczegoż masz siedzieć sam, jak na pokucie?... Musisz się tu dyabelnie nudzić w Błotowie... jak karaś w gitarze, co?... Chodź, chodź, my tu sami swoi. Bawimy się, jak dzieci... Chodź, chodź, przedstawię cię towarzystwu!

I zaciągnąwszy niemal gwałtem do swego stołu, zakomenderował mnie błotowskim znakomitościom, jako bankiera, redaktora, znakomitego poetę, a zarazem swego szkolnego kolegę i serdecznego przyjaciela!

II.

Oszołomił mnie ten człowiek swem bezczelnem kłamstwem i obcesową serdecznością. Nie znałem go wcale, on zaś znał mnie chyba tylko z widzenia, lub z nazwiska.

Pisywałem wówczas istotnie do dzienników i żyłem z niektórymi artystami sceny lwowskiej; — mógł przeto wiedzieć, kim jestem. Ale co się tyczy wrzekomego koleżeństwa naszego, to było wierutną bajką.

Mimo to dawałem mu się powodować, jak ten, któryby został opanowany przez magnetyzera—jestem bowiem z natury wielce nieśmiałego usposobienia i nie mogę się nigdy zdobyć na tyle energii, aby się oprzeć temu, kto mi swą wolę narzuci w sposób stanowczy i rozstrzygający.

Powolność ta jest nie tyle wynikiem słodyczy i dobroci, ile skutkiem dziwnej jakiejś słabości charakteru, która niejednokrotnie była dla mnie powodem rozmaitych w życiu doznanych przykrości, a z której mimo to nigdy się nie zdołałem wyleczyć.

Ulegając mojemu nowemu przyjacielowi, truchlałem na samą myśl, jakie uległość ta zá sobą może pociągnąć skutki. Wrodzona podejrzliwość, która jest drugą wadą mojego charakteru, szeptała mi, że niepojęta serdeczność Widerkiewicza nie jest bez kozery, i że dyrektor błotowskiej sceny musi co do mej osoby żywić jakieś zamiary.

Ale jakież mogły być te zamiary?

Prawdopodobnie chodziło natarczywemu dyrektorowi o zamach na moją kieszeń, lub też o wyzyskanie mego dziennikarskiego stanowiska. Poprzysiągłem sobie w duchu, że jeżeli zażąda pieniędzy, to ich odmówię stanowczo, drżałem jednakże na myśl o walce, jaką mi w tym wypadku z sobą stoczyć wypadnie. Co się tyczy reklamy w którymś z lwowskich dzienników, tę gotów byłem Widerkiewiczowi urządzić, jeżeli mnie o to poprosi.

— Biedni prowincyonalni artyści — tak sobie dogadywałem w duchu — potrzebują także kawałka chleba i słowa zachęty, a instytucya scen wędrownych zasługuje ze wszech miar na poparcie... Nie gwałcąc przeto mego dziennikarskiego sumienia, mogę zadość uczynić prośbie dyrektora... I owszem, niech tylko zażąda, zrobię wszystko, co zechce... Będę chwalił, co wlezie!

Rozpamiętywania te uspokoiły mnie nieco i nadały inny tok mojej myśli. Nowa moja znajomość przedstawiała mi się teraz jako kotwica ratunku. Cóżbym robił w tej lichej mieścinie, gdyby mi się poczciwy Widerkiewicz nie był narzucił ze swoją przyjaźnią?

— Niechaj mu to Pan Bóg stokrotnie zapłaci— pomyślałem—bo co się tyczy wina, którem mnie raczy zacny dyrektor, za nie oczywiście zapłacę ja... Bankierowi, chociaż tytularnemu jeno, nie wypada przecież zrobić inaczej.

Uspokojony temi myślami, jąłem teraz baczniej przypatrywać się memu otoczeniu i z większą uwagą odpowiadać na czynione zapytania.

Rekomendacya Widerkiewicza niepospolite wywołała wrażenie. Nie wiem, które z dostojeństw, narzuconych mi przez nowego mego przyjaciela, zaimponowało błotowskim dygnitarzom tak wielce i czy bardziej we mnie podziwiali redaktora i poetę, czyli też bankiera, ale to wiem, że mnie wszyscy pożerali oczyma.

Byłem widocznie dla nich osobliwością. Wypytywali mnie zrazu nieśmiało: „A co pan dobrodziej?... A zkąd pan dobrodziej?... A dokąd pan dobrodziej?..." Galicyanie w tej okolicy nazywają każdego „panem dobrodziejem," co chwila „całują rączki" i co chwila „padają do nóg."

Niebawem jednak ośmieliła ich moja uprzejmość; jęli mnie wtedy obrzucać ze wszystkich stron zapytaniami:

— Ile też pan dobrodziej pobiera pensyi w banku?

— Gdzie pan dobrodziej daje prać kołnierzyki?

— Czy pan dobrodziej żonaty, czy kawaler?

— Proszę pana dobrodzieja, jakie też teraz we Lwowie noszą krawaty?

Zaledwie mogłem nastarczyć odpowiedzi. Ciekawość tych ludzi miała w sobie coś dziecinnego, co mnie bawiło. Obmacywali mój tużurek, przypatry-

wali się mym spinkom, podawali sobie z ręki do ręki mój zegarek, żądając wyjaśnienia jego zalet. Maluczko, maluczko, a byliby mnie rozebrali do koszuli.

Dawałem z sobą robić, co chciano, i odpowiadałem w prawo i w lewo, usiłując zaspokoić ciekawość błotowskich dygnitarzy, i lubując się naiwnemi ich uwagami, a zabawnemi częstokroć roszczeniami. Każdy z nich był przekonany, iż się lepiej zna na wszystkiem, aniżeli jego towarzysze—każdy chciał innym zaimponować swem znawstwem i światowością, a wszyscy składali co chwila niezaprzeczalne dowody parafiańszczyzny i nieświadomości.

Powoli jednak, powoli, oswoili się panowie ci z moją osobą. Ciekawość ich była już zaspokojoną, więc też zwróciła się rozmowa na pole miejscowych zdarzeń i ploteczek.

Całe miasto znajdowało się w wyjątkowym stanie gorączki i rozdrażnienia. Wędrowny teatr mojego nowego przyjaciela stał się był osią, około której wirowały rozbudzone namiętności tutejszego wielkiego świata. Całe teatralne życie, pełne intryg, plotek, zazdrości, dziwacznych roszczeń i obłudy, spadło niby zawierucha w ten zapadły kątek, budząc go ze zwykłej drzemki i napełniając szumem i gwarem. Trzebaż było, przy całem nieszczęściu, niepospolitego szczęścia, ażeby tu zabłądzić właśnie w tej chwili.

Widerkiewicz kręcił się wśród tych parafian, jak mucha w ukropie, grając na żądzach i na słabościach swego otoczenia i wyzyskując ludzką głupotę w osobistym celu. Przypatrywałem mu się z uwagą; wydawał mi się genialnym w swoim rodzaju, tak zręcznie brał się do rzeczy, tak umiejętnie pochlebiał słabostkom ludzi, na których mu zależało, potakując wszystkim bredniom, obiecując każdemu złote góry i bawiąc się naprzemian w kapłana sztuki, to znów w wyrozumiałego na wszystko i pobłażliwego lekkoducha. Co chwila też powoływał się

na moje świadectwo, opowiadając o tryumfach, jakie odnosił w Jarosławiu, Ułaszkowcach i Tarnopolu. Gniewała mnie ta rola, do której mnie przymuszał.

Tymczasem rozmarzyło już było wino pijących tak dalece, iż niektórzy z nich zaczęli się popisywać ze swojemi towarzyskiemi talentami. Otyły kasyer opowiadał stare kalendarzowe anegdoty, komisarz katastralny, ów dandy, który mnie wypytywał, gdzie daję prać kołnierzyki, układał z zapałek rebusy, pan Spirydyon Niceforowicz nucił przez nos mazura i wytupywał hołupce, a sekretarz rady powiatowej naśladował bek cielęcia, co mu się, nawiasem mówiąc, wielce udawało.

Dowcipy te i popisy wielkie w ożywionem towarzystwie znajdowały powodzenie. Zabrzmiały wesołe śmiechy i głośna rozmowa, napełniając gwarem rozochoconego towarzystwa „przybytek największych panów." Korzystając z wesołego nastroju towarzystwa, ponalewał Widerkiewicz gościom kieliszki i wniósł zdrowie światłej błotowskiej publiczności.

— Wiwat, niech żyje dyrektor Widerkiewicz!— zawołali chórem goście.

Brząknięto w szkła, i wszyscy pośpieszyli uściskać mówcę; każdy bowiem sądził, iż hołd, oddany błotowskiej inteligencyi, tyczy się głównie jego osoby.

— Panowie!—zawołał Widerkiewicz, ośmielony tem powodzeniem — panowie! Dzień dzisiejszy jest najpiękniejszym dniem w mojem życiu...

— Pitpirit? — przerwał rozochocony sekretarz, którego korciło popisanie się ze swym talentem.

— Pst, sekretarzu, fe!... nie przerywać!—zaprotestowano z kilku stron.

— Każdy wykształcony człowiek rozumie to, jak wysokie jest posłannictwo wędrownych scen — ciągnął dalej dyrektor, niezrażony tym wybrykiem.— Każdy wykształcony pojmie, jak wysoce cywilizacyjnym jest wpływ teatru... Każdy wykształcony poj-

mie, co to jest być dyrektorem wędrownej sceny i jaka to ofiara...

— Rozumiemy, rozumiemy!—ozwały się liczne głosy.

— Kukuryku! — zapiał teraz sekretarz dla odmiany.

— Sekretarzu fe!... Nie przerywać! — zaprotestowało znów towarzystwo.

— A cicho tam menażerya! — zawołał kasyer rubasznie.

— Sekretarz dobrodziej żartuje, bo sekretarz dobrodziej nie wie, ile to kłopotu... Nieraz sobie powiadam: Widerkiewicz, co ty robisz? Bój się Boga Widerkiewicz! Na co ci tego wszystkiego?... Czy nie lepiej ci plunąć na ten zawód niewdzięczny? Napisz do Miłaszewskiego, lub do Koźmiana, oni cię chętnie przyjmą, z pewnością. Będziesz sobie żył we Lwowie lub Krakowie, jak u Boga za piecem... Ale sumienie powiada mi: Widerkiewicz nie można!... Ojczyzna wymaga od ciebie poświęcenia!... Widerkiewicz, to twój obowiązek! Nie masz prawa pozbawiać mieszkańców prowincyi tej rozkoszy, jaką im przynosi narodowa scena.. Za te nieustanne trudy i kłopoty, za tę walkę, którą staczać musisz, spełniając ciążący na tobie obowiązek, spotka cię sowita nagroda, a tą nagrodą jest uznanie rodaków.

— Brawo!... Dobrze mówi!—wołali goście.

— Panowie! — ciągnął dalej dyrektor, ocierając łzę z oka.—Słów mi braknie, aby wyrazić wam moją wdzięczność i radość... Wybaczcie mi te łzy, to rozrzewnienie, ale uznanie wasze, które mnie dziś spotyka, jest dla mnie najcenniejszym skarbem... Jego tylko pożądam i dla niego tylko pracuję, a jak pracuję, o tem przekonacie się niebawem... Za cztery dni będę miał zaszczyt przedstawić panom „Występną miłość”, dramat oryginalny, który będzie grany pierwszy raz na błotowskiej scenie... Jest tu pan Aleksander Wisłocki, dziennikarz, niech powie, czy

która prowincyonalna scena może się pochlubić czemś podobnem?

— Co to za dramat? — zapytałem miasto odpowiedzi.

— Cacko, powiadam ci, arcydzieło!... Zobaczysz!... I oto, moi panowie, jest powód mojego szczęścia, bo patrzcie, w jak wyjątkowych, a dla mnie szczęśliwych warunkach, odbędzie się pierwsze przedstawienie „Występnej miłości"?... Oto w chwili, gdy o tem dziele wyrokować będzie tak wytrawna publiczność, która z pewnością oceni pracę autora i moje dobre chęci...

— Wiwat! Niech żyje!—zawołali błotowscy dygnitarze, zjednani tem przemówieniem.

— ...W tej chwili właśnie—ciągnął dalej, zapalając się, Widerkiewicz — zjeżdża do Błotowa jeden z pierwszych luminarzów naszego dziennikarstwa...

— Ależ!—zaprotestowałem, wielce zaniepokojony tym zwrotem.

— Kochany, drogi Olesiu! — zawołał, rzucając mi się na szyję — wszakże nie zaprzeczysz, że tak jest, że kraj cały zna i szanuje twoje nazwisko... Co za szczęście, moi panowie, co za szczęście!... Przyjaciel mój nie odmówi mi swego udziału i odda z pewnością hołd zasłużony wytrawnemu sądowi błotowskiej publiczności.

— Ależ najchętniej!—zawołałem uradowany tą myślą, że serdeczność, jaką mi okazywał Widerkiewicz, spowodowana była tylko zamiarem wyzyskania mego dziennikarskiego stanowiska.

— Kochany, drogi, złoty! — szlochał dyrektor, przyciskając mnie do swych piersi.

— Wiwat!... Niech żyje krajowa prasa! Niech żyje pan Aleksander Wisłocki!—wtórowali błotowscy dygnitarze, podnosząc w górę kielichy.

Zapał był ogólny. Któryś z gości kazał podać szampana.

Zaczęto się rozczulać, ściskać i całować, pijąc

zdrowie dyrektora sceny polskiej i prasy krajowej w ręce jej przypadkowego reprezentanta.

Korzystając z ogólnego rozrzewnienia, zaciągnął Widerkiewicz u pana Spirydyona Niceforowicza—tak się nazywał otyły jegomość wyglądający na Ormianina—przyjacielską pożyczkę. Rozczulony Ormianin kazał kupcowi odważyć funt angielskich cukierków, które wręczył dyrektorowi, szepcząc mu coś z uśmiechem do ucha. Następnie pożegnawszy towarzystwo, pociągnął mnie nowy mój przyjaciel do gospody, gdzie obozowała jego trupa.

III.

— Musisz jednak wpierw złożyć wizytę naszej amantce — rzekł mój przewodnik, gdyśmy się już znaleźli na ulicy—wstąpimy tam po drodze... Zabierzemy ją z sobą na próbę.

— A czy to wypada?

— Czemu nie?... O to! Jeszczebyśmy mieli robić ceremonie! Zresztą musisz ją znać ze Lwowa... Gołębska.

— Nie, nie znam.

— Aurelia Gołębska... Występowała przecież we Lwowie.

— Nie przypominam sobie.

— To nic, to nic! Poznasz ją teraz... Zobaczysz, co to za kobieta!... Powiadam ci, cacko!... Zakochasz się w niej z pewnością!

— Ale fe!

— O ręczę, że się w niej zakochasz... Wszyscy się w niej tu kochają... Aptekarzowa męża nie puszcza do teatru, bo się w niej na śmierć zadurzył na pierwsze wejrzenie.

— A adjunkt?... Z rozmowy domyśliłem się, że adjunkt kochać się musi w pannie Gołębskiej.

— A jakże!... Codzień jej posyła bukiety z fioł-

ków, ha, ha, ha!... Komisarzówna, która się kocha w adjunkcie i dała z tego powodu piwowarowi odkosza, pęka z zazdrości.

— Powiało widocznie na Błotów — rzekłem z uśmiechem.

— A jakże, a jakże, ha, ha, ha! Aptekarz i adjunkt zakochali się w amantce, doktór w śpiewaczce, a Niceforowicz w naiwnej... Powiadam ci, czysta komedya, ha, ha, ha! Ja im tego nie bronię, niech się kochają; inaczej czyżby to bydło chodziło do teatru?

— Bydło, powiadasz?

— Bydło, srogie bydło! — odparł dyrektor, widocznie podochocony.

— A mówiłeś, że to taka wytrawna publiczność.

— Ot, aby handel szedł!... Nie uwierzysz, jakie ja mam z nimi kłopoty... Znają się tak, jak kura na pieprzu, a chciałoby to udawać znawców, mecenasów sztuki, Bóg wie co!... Powiadam ci, tysiące pociech mam z nimi, ha, ha, ha!

— Więc to miłostki ściągają ich do teatru?

— A jakże, a jakże!... Pomyśl tylko, co to znaczy teatr w takiem gnieździe, gdzie można z nudów umierać. Przytem pochlebia to ich próżności. Romans z aktorką to tak, jakby dyplom na księcia, lub przynajmniej na hrabiego, ha, ha, ha! I z takiem to bydłem muszę tu nieraz politykować, potakując ich bredniom i basując ich słabostkom, bo jakbym próżność którego, broń Boże, obraził, toby mi szkodził na każdym kroku.

Zatrzymał się chwilę, rozglądając się dokoła.

— Poczekaj, poczekaj!—zawołał—musimy jakoś wyminąć tę kałużę. O to dopiero miasto. Niech ich dyabli wezmą z tem błotem!

— Cóż to za dramat przedstawiasz? — zapytałem, gdyśmy ominęli niebezpieczne miejsce.

Uderzył się ręką po czole.

— Ach prawda! Zapomniałem!... Czy to człowiek może o wszystkiem pamiętać przy tych kłopotach. Muszę z tobą o tem pogadać... Niechcący mógłbyś mi popsuć wszystko... Nie uwierzysz, co ja mam za ambaras. Ten ciągnie do Sasa, ten znów do lasa;—pogódźże teraz to wszystko tak, aby się nie rozlazło!

— Cóżbym ci mógł popsuć? — rzekłem zdziwiony.

— A no właśnie!... Niechcący mógłbyś mi popsuć wszystko.

— Nic nie rozumiem!

— Zaraz ci to wytłómaczę, bo liczę, że mi w danej chwili dopomożesz, nieprawdaż?

— Jeżeli tylko będę mógł.

— Ale możesz, możesz... Jako dziennikarz i poeta!... Jeżeli tylko zechcesz użyć swego wpływu, to go z pewnością przekonasz.

— Kogo?

— Grzybowskiego... Naszego tragika, autora dramatu „Występna miłość”—tej sztuki właśnie, którą wystawiam...

— Cóż to za człowiek?

— Talent; gruby talent! — odparł z emfazą. — Podałem mu temat i napisał dramat... powiadam ci, cacko... arcydzieło!... Gdyby chciał słuchać, przeszedłby Szyllera i Szekspira... Cóż, kiedy zarozumiały i uparty! Zmarnieje, z pewnością zmarnieje.

— O cóż ci właściwie chodzi?—zapytałem ciekawie.

— Widzisz tak — odparł, przystając. — Mam w garderobie przepyszne krakowskie kostyumy... Powiadam ci cacka, cacka prawdziwe! A w towarzystwie mam dwie pary, które tańczą znakomicie mazura.. Otóż chodzi o to, aby do sztuki wprowadzić krakowskie wesele, bo się tego gwałtem dopomaga publiczność.

— I autor nie chce na to pozwolić?

— Nie chce!... Uparł się jak kozioł i ani rusz. Tłómaczę mu, jak komu dobremu, że od tego zawisło powodzenie sztuki, że inaczej będzie klapa! Gdzie tam! Ja swoje, on swoje.

— Musi mieć przecie jakieś powody?

— Jakie powody? i co to mnie zresztą obchodzi? Tu idzie o to, aby zadowolnić publiczność, a publiczność domaga się krakowskiego wesela.

— To wystaw inną sztukę z krakowskiem weselem.

— Ba, kiedy tu chodzi o to, aby w tym właśnie dramacie tańczono mazura... Poznałeś Niceforowicza? To mój główny protektor;—bierze cały rząd krzeseł na każde przedstawienie. Nie mogę sobie lekceważyć przecie takiej osoby, bo to nie żart wyżywić dwadzieścia osób i podołać wszystkim wydatkom... Głowa mi nieraz pęka! Otóż Niceforowicz— tak mówił, puszczając się w dalszą drogę—zakochał się w naszej naiwnej i koryfejce, ha, ha, ha!... Powiada, że jak nie ma Wygrzewalsi i mazura, to nie ma po co chodzić do teatru. Musiałem mu dać słowo, że „Występna miłość" nie obejdzie się bez krakowskiego wesela.

— A jeśli sztuka tego nie znosi? — zapytałem nieśmialo.

— Czemu nie znosi?... Ot to! W Czortkowie udało mi się kupić skórę niedźwiedzia do garderoby... Powiadam ci cacko, ślicznota!

— No i cóż?—rzekłem zdziwiony.

— Ha, no, dorobiliśmy scenę do niedźwiedziej skóry, i było dobrze!

— Jakto dobrze?

— No tak! Wkładaliśmy scenę do naszej sztuki... Graliśmy „Zbójców" z niedźwiedzią skórą, „Zemstę" z niedźwiedzią skórą, „Geldhaba" z niedźwiedzią skórą... Publiczność nie posiadała się z radości.

Żal mi się zrobilo biednego autora, o którego

sztuki losach rozstrzygać się miały względy takiego rodzaju.

— Cóż zrobisz — zapytałem po chwili milczenia — jeżeli się autor nie da nakłonić? Przecież nie sposób zmuszać go do tego ustępstwa?

— Jakto nie sposób?—odparł szorstko.—Wszakże tu chodzi o byt całego przedsiębiorstwa... Ot to! Niceforowicz rozgadał już wszędzie, że będzie krakowskie wesele, i śpiewa ciągle pod nosem: hop ha, hu ha! Gdybym mu nie dotrzymał słowa, toby się mścił na każdym kroku. Ażeby cię ogniste, siarczyste!...— zaklął nagle, poślizgnąwszy się i ugrzązłszy w kałuży. — A to ci dopiero miasto! Uważajże tu, Olesiu, uważaj!

Dzięki tej przestrodze, ominąłem zdradliwy kamień bez szwanku. Szliśmy czas jakiś dalej w milczeniu.

— Cóż zrobisz—zapytałem—jeżeli autor nie zechce ustąpić?

— Mam ja sposób i na to... Wystaw sobie, że ten stary dziwak zakochał się w amantce!

— Kto taki, Niceforowicz?

— Ale gdzieżtam!... Grzybowski, nasz poeta, ha, ha, ha! Przecież dla niej porzucił posadę i wstąpił do naszego towarzystwa. Nieprawdaż? co za waryat! No i dziwić się tu młodemu, gdy szaleje, skoro taki stary niema rozumu!

— No, a panna Gołębska?—zapytałem.

— Ale gdzież tam, cóż znowu! — odparł, śmiejąc się brzydko. — Nie miałaby roboty durzyć się w starym i gołym waryacie. Ot bawi się nim o tyle, o ile to jej nie nudzi... Powiadam ci, tysiące pociech, bo ten głupiec skacze przed nią, skacze, skacze, a za to wszystko nie ma nic.

I złożywszy dwa palce, klasnął paznogciami, ilustrując w ten sposób swe opowiadanie.

— Nie byłożby to lepiej nie wystawiać jego sztuki, skoro się tak upiera?

Spojrzał na mnie zukosa, niedowierzająco.

— Myślisz? — rzekł po chwili, zaniepokojony widocznie.

— Sądzę! — rzekłem obojętnie. — Jeżeli to dziwak taki, jak powiadasz, to możesz mieć nieprzyjemność z tego powodu.

— Ba, kiedy muszę.

— Jakto musisz?

Milczał chwilę.

— Mogę ci to zresztą powiedzieć — odparł po krótkiej pauzie—bo dlaczegóż miałbym taić przed tobą... Wstępując przed sześciu miesiącami do naszego towarzystwa, dał mi Grzybowski na koszta wystawienia swej sztuki trzysta guldenów. Nie miałem wtedy złamanego gronia w kieszeni, przyjąłem więc pieniądze i obiecałem mu, że w przeciągu dwóch miesięcy sztukę wystawię.

— No i teraz chcesz się pozbyć tego obowiązku?

— A no właśnie!... Robiąc ten interes, nie wiedziałem sam, w jakie brnę kłopoty. Zwlekałem też, jak długo mogłem, ale teraz mi to już ciężyć zaczyna. Wystawię sztukę i już... potem nie będzie Grzybowski do mnie miał żadnego prawa.

— A czy sądzisz, że panna Gołębska wymoże na nim to ustępstwo, którego wymagasz?... Mnie się zdaje, że skoro tak rzeczy stoją, jak powiadasz, to Grzybowski będzie się przy swojem twardo upierał.

— Eh, głupstwo — odparł, śmiejąc się wesoło.—Gołębska zrobi z nim co zechce.

— A jeżeli panna Gołębska nie zechce się w to wdawać?

— Jeszczeby też!... Przecie to w naszym wspólnym interesie.

— W waszym wspólnym?

— No tak, w interesie przedsiębiorstwa — tłóczył się skwapliwie. — W interesie całego towa-

rzystwa, rozumiesz?... Jakbym kark skręcił, toby się wszystko oczywiście rozlazło. Ale otóż i mieszkanie naszej amantki!...—dodał, zatrzymując się przed wrotami jednej z mniej odrapanych austeryj.—Zobaczysz, co to za kobieta... Ach, jak ona gra!... Brylant, powiadam ci, brylant prawdziwy!... Miłaszewski i Koźmian wściekają się, że jej nie mogą pozyskać!

Obtarłszy z błota obuwie, weszliśmy szybkim krokiem na piętro i znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu, na który wychodził szereg „numerów."

— Zaanonsujże mnie, proszę ciebie — rzekłem, zatrzymując się.

— Ale cóż znowu?... Żarty chyba! Któżby robił takie ceremonie! Przecież jesteś moim przyjacielem.

I otworzywszy drzwi numeru, wciągnął mnie za sobą do mieszkania amantki.

IV.

Była to dość obszerna izba, ale brud i ubóstwo nadawało jej ów wygląd ponury, właściwy „pokojom gościnnym" w żydowskich austeryach. Na ryglach u okien, na zawiasach u szaf, na stołkach wisiała świeżo uprasowana kobieca bielizna. Przy desce, opartej o stół i o poręcz krzesła, stała z żelazkiem w ręce amantka.

Była to kobieta lat czterdziestu kilku, średniego wzrostu i rysów twarzy dość regularnych. Musiała nawet być piękną przed laty; — obecnie malował się na jej obliczu, którego cerę zniszczyło nadużywanie kosmetyków, ów wyraz niezadowolenia, tak zwykły starzejącym się kobietom, gdy nie chcą tego zrozumieć, że czas nie stoi i że młodość i piękność są tylko przemijającemi dobrami.

Miała na głowie poranny czepeczek, a na sobie negliż tandetnego pochodzenia i dość podejrzanej

świeżości. Na kanapie, stojącej tuż niedaleko, rozpierał się z poufałą swobodą jakiś kuso ubrany, mniej więcej trzydziestoletni żyd, bawiąc się bukietem fiołków i paląc papierosa. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to musi być lichwiarz, udający przyjaciela.

— Pan Aleksander Wisłocki, redaktor i bankier ze Lwowa, mój przyjaciel i szkolny kolega! — zawołał Widerkiewicz, wciągając mnie za sobą do pokoju.

— Ach!—krzyknęła amantka, poprawiając śpiesznie negliżyk i włosy będące w nieładzie.

Rekomendacya Widerkiewicza zaimponowała lichwiarzowi. Usłyszawszy słowo bankier, zerwał się z kanapy i schował fiołki do kieszeni.

— Biedny adjunkt!—pomyślałem. — Gdyby też znał los swych bukietów!

— Ha, ha, ha!—śmiał się Widerkiewicz.—Nieprawdaż, co za niespodzianka?

— Wistocie... Nie spodziewałam się — odparła zakłopotana.

— Przepraszam panią bardzo—rzekłem—ale to nie moja wina... Prosiłem dyrektora, aby mnie zaanonsował... Nie chciałem iść, wciągnął mnie gwałtem do pokoju.

— On zawsze tak robi — odpowiedziała tonem wyrzutu.—Co sobie pan o mnie pomyśli?

— Głupstwo — powiedział Widerkiewicz. — Co sobie pomyśli? Pomyśli, że w Błotowie nie ma praczki, któraby pani umiała dogodzić.

— Rzeczywiście! Co się tyczy bielizny, jestem strasznie kapryśna... Wolę zrobić wszystko sama, aniżeli żyć w obawie, że mi spaskudzą.

— To tylko przemawia na korzyść pani, że umie pani sobie poradzić — rzekłem z uprzejmym uśmiechem.

— Poczciwy, kochany Oleś! — zawołał Widerkiewicz, chwytając mnie w objęcia.—Widzi paniusia,

co to za dobre dziecko... Jak się bliżej poznacie, to się pokochacie.

— Ależ dyrektorze! — zawołała amantka melodramatycznym głosem.

— No, no, już ja za to ręczę, że się pokochacie, ha, ha, ha! Ale, ale — dodał, zwracając się ku mnie — muszę cię zapoznać z naszym intendentem... Pan Hersz Kleingeld, nasz minister finansów... Powiadam ci, Olesiu, głowa znakomita do interesu! Mógłby być kanclerzem państwa. Słowo honoru daję, żeby mógł być kanclerzem.

I pociągnąwszy go ku oknu, zaczął mu coś szeptać do ucha.

— Niechże pan siada — rzekła z pretensyonalnym uśmiechem amantka, wskazując mi opróżnione miejsce na kanapie. — Mam przyjemność znać pana z nazwiska... Jeżeli się nie mylę, to widziałam pana u Romci.

— U Romci?—powtórzyłem zdziwiony.

— Tak, tak, z pewnością... u Romci.

— Pani wybaczy — odparłem — ale nie wiem, o kim pani mówi.

— Jakże?... Przecież o Popielce—odparła z godnością.

— Ach tak!—zawołałem, śmiejąc się.—W tym razie myli się pani... Nie miałem przyjemności znać panny Popiel.

— To może u Filci!... Tak, tak, u Filci Nowakowskiej—dodała, tłómacząc się tym razem.

— I panią Nowakowską znam również tylko ze sceny.

— No, to już nie wiem prawdziwie — rzekła, rumieniąc się — ale pewną byłam, że pana zkądciś znam...

— Nie pani — odparłem żartobliwie — nie zna mnie pani znikąd... I to tem lepiej dla mnie.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Dlaczego?—zapytała.

— Rzecz prosta! Gdybym miał przyjemność poznać panią pierwej — rzekłem z wielką uprzejmością—tobym już teraz nie miał tej przyjemności, jaką mi sprawia poznanie pani.

— Figlarz z pana!—odparła z zalotnym uśmiechem i spojrzeniem.

Nie zrozumiała widocznie żartobliwej intencyi, tkwiącej w tej odpowiedzi, i przyjęła ją jako hołd oddany jej urodzie.

— Jakże się pan bawi u nas w Błotowie?—zapytała po chwili.

— Jak karaś w gitarze—odparłem słowami dyrektora.

— Ach, tak—rzekła z westchnieniem — fatalne gniazdo! Żadnego życia, nic!... Pomyśl pan, co to musi być dla mnie, przyzwyczajonej mieszkać w stolicy... Żadnego towarzystwa... W Tarnopolu to było jeszcze jako tako... Przyjeżdżał czasami Tolo — dodała z naciskiem.

— Tolo?

— No hrabia Witold... Nie znasz go pan? Powiadam panu, jak mnie zobaczył wśród tej hołoty, to płakał gorzkiemi łzami nademną.

— A dyrektor mówił mi, że państwo macie tu pierwszorzędne talenty.

Ścisnęła ramionami i uśmiechnęła się pogardliwie.

— Hołota, mówiąc między nami, hołota!... Czyż kto porządny zechce się puścić na takie cygańskie życie?

— A!...

— Co innego ja... — rzekła, spostrzegłszy me zdziwienie. — Musiałam... Pan wiesz przecie, jakie tam we Lwowie intrygi. W Krakowie to samo. Dałam sobie słowo, że dopóki Miłaszewski będzie dyrektorem we Lwowie, a Koźmian w Krakowie, noga moja tam nie postanie.

— Jednakże to szkoda! — rzekłem ze współczuciem.

— Co robić? Trudno! Dałam sobie słowo, więc dotrzymam... Ofiarowano mi „angażma” do Warszawy, ale nie przyjęłam!... Odpisałam, że nie mogę się zdecydować porzucić kraju, gdzie się urodziłam.

— Czyś pani mówiła z Grzybowskim? — zapytał Widerkiewicz, który skończył był właśnie z żydem naradę.

— Nie!—odparła niechętnie amantka.

— Dlaczego?

— Bo wiem, że się to na nic nie przyda!... Dyrektor wie przecie, jaki on uparty.

— Ale to nie może być!... Musi koniecznie wynaleźć jaki sposób, aby wprowadzić scenę z krakowskiem weselem. Przecieżem prosił panią o to!—dodał z naciskiem.

— Cóż ja na to poradzę, jeżeli nie zechce! — odparła szorstko.

— Ale, nie zechce!... Przecież mamy dowody, że on się pani w niczem oprzeć nie zdoła.

— Dyrektorze! — zawołała kobieta, rumieniąc się i rzucając mi niespokojne spojrzenie. — Coś także!... Pan Wisłocki gotów pomyśleć Bóg wie co!

— Ależ nic nie pomyśli, niech się pani nie obawia... Zresztą ja mu już sam wszystko powiedziałem.

— Coś pan mógł powiedzieć? — krzyknęła oburzona.

— Powiedziałem mu—odparł flegmatycznie—że Grzybowski z miłości dla pani porzucił posadę i wstąpił do teatru.

— Cóż ja temu winna? Ot, co? Czym go do tego namawiała? Czym go bałamuciła?... Cóż to znów za plotki!

— Ależ niech się pani uspokoi—tłómaczył dy-

rektor, starając ją upewnić wyrazem twarzy i spojrzeniem. — Przecie ja nic złego nie mówiłem... Powiedziałem tylko, że się Grzybowski tak w pani zakochał, że aż posadę porzucił, aby módz za nami pojechać. Wielkie święto!... Przecież to nie pani wina, że on się kocha.

— No, więc?—odparła na wpół przekonana.

— No, więc, skoro mógł z miłości wyrzec się posady i wstąpić do teatru, to z pewnością dopisze scenę z krakowskiem weselem, jeżeli mu pani powie, że tak chce.

— Dajże mi dyrektor czysty spokój z tym waryatem! Czym nie mówiła, nie brać tej sztuki, bo będzie kłopot!... Ale nie, dyrektor miał swoje przyczyny—dodała znacząco.

— No, i cóż wielkiego! Nie miałem pieniędzy, więc zrobiłem interes.

— Tak, a teraz ja się mam kompromitować... Ciekawam, dlaczego się poświęcać i dla kogo?

— Przecież nie dla siebie wziąłem te pieniądze!

— No, i nie dla mnie!

— Dla nas wszystkich... Inaczej byliby nam zlicytowali garderobę.

— A mnie co do tego?

I zaczęli się z sobą kłócić, nie zważając na moją obecność i wyrzucając sobie nawzajem chciwość i niesumienne intrygi. Scena ta napełniała mnie wstydem i niesmakiem. Nie wiedziałem, co począć z sobą i byłbym chętnie umknął z tego piekła; — niestety, nie było sposobu zrobić tego niepostrzeżenie.

— Szsz!... szszsz!...—uspokajał żyd, nie mogąc przyjść do słowa.

Wreszcie udało mu się skorzystać z chwilowej pauzy.

— Co to warto sze klóczyć o takie głupstwo!—jął mówić, ściskając ramiona.—Co było, to było, czy to warto o tem gadacz, co było, a nie jest. Tu cho-

dzi teraz o interes... Ny, a interes tak powiada, co musi być krakowskie wesele.

— Cóż ja na to poradzę? — zawołała gniewnie aktorka.

— *Herste*, co pani poradzi? Pani potrzebuje tylko powiedzieć do Grzybowskiego: Mój kochany, ja cze proszę, zrób to dla mnie.

— Ja tak do niego nie gadam!

— Ny, jak pani gada, to gada, trzeba tylko poprosić, to będzie!

— Jabym się miała kompromitować?—zawołała amantka teatralnym głosem.—Nie, nigdy!

— *Wi heist* kompromitowacz? — protestował żyd. — Jaka kompromitacya, co za kompromitacya?... Wielga rzecz poprosić Grzybowskiego, coby buło krakowskie wesele! Ny, a trzeba to zrobicz koniecznie, kiedy Niceforowicz tak chce, a won za to płaci.

— Ciekawam, co mi z tego przyjdzie, że Niceforowicz płaci?

— Ny, co to przyjdzie?... Przecież to idzie do teatralnej kasy.

— A pan Herszko wszystko zabiera! — fuknęła opryskliwie kobieta.

— Ja zabieram? Żeby moje wrogi tak zabierali. Ja ledwie widzę procent od moich pieniądzów, nie dopiero kapitał, com go dał na garderobę i dekoracye. Aj waj! ja zabieram!

— Niech się pan nie gniewa, panie Herszku — uspakajal dyrektor.—Wszystko będzie dobrze!

— Jak ma być dobrze, kiedy nie będzie krakowskiego wesela, a Niceforowicz chce, żeby buło?... Pani nie wi, jak sze Niceforowicz rozgniewa, to żaden pan ze wsi nie przyjedzie do teatru. Dalibóg, on już tak zrobi, coby nie przyjechali. Aj waj, aj waj! taki porządny pan! Won co dwa, co trzy lata kupuje nowy folwark!

— Oczy aktorki zamigotały pożądliwie.

— I to dia takiej Wygrzewalskiej mam się poświęcać!—zawołała z goryczą.

Widocznie zazdrość była głównym powodem jej nieukontentowania i uporu.

— Ależ nie dla Wygrzewalskiej! — protestował dyrektor, chwytając ją za rękę i wyciskając na niej pocałunek.—Tu chodzi o powodzenie naszego przedsiębiorstwa—dodał z naciskiem.—Inaczej, czyżbyśmy tego od pani żądali?

— Ny, prawda — wtrącił żyd. — Jakby się Niceforowicz rozgniewał, toby nam wypadało zabrać się i uciekać z Błotowa. *Aj waj, aj waj, mein Geld!*

— Cóż ja na to poradzę, kiedy Grzybowski na to przystać nie chce?—rzekła amantka, widocznie już udobruchana przedstawieniami dyrektora.

— Zechce, z pewnością zechce!—odparł uprzejmie Widerkiewicz—niech go paniuś tylko poprosi!

— Tak, niech go pani poprosi, coby buło krakowskie wesele—dodał żyd.

— Nie zechce. Powiedział, że to „haronizm" [1]).

— *Wus ist* haronizm? Jaki ma być haronizm! To nie jest żaden haronizm!—wołał żyd.

— Co to haronizm? — zapytał Widerkiewicz, zwracając się do mnie.

— Przecież dyrektor wie o tem, że rzecz dzieje się we Francyi — rzekła amantka zadowolona, iż może się popisać ze swoją wiedzą.

— No i cóż z tego?

— Za Ludwika XIV...

— Cóż ztąd?

— To, żeby to był „haronizm," bo za Ludwika XIV nie tańczyli we Francyi mazura.

— Tańczyli, jeszcze jak tańczyli! — wołał Widerkiewicz.—Nieprawdaż, Olesiu. że tańczyli?

---

[1]) Anachronizm.

— Nie—odparłem, śmiejąc się.—To byłby rzeczywiście, jak pani powiada, „haronizm."

— A widzi dyrektor—rzekła tryumfująco amantka.—Ja zaraz powiedziałam, że to „haronizm."

— Eh! głupstwo! — odpowiedział dyrektor. — Czy to się ktò na tem zna? A zresztą, przecież może wprowadzić jakiś kulig, jakąś maskaradę, coś... Kulig, o!... Nieprawdaż, Olesiu, co?

— Tak, jak w „Maryi" Malczewskiego—odparłem, śmiejac się z przymusem.

— Właśnie, właśnie!—zawołał, rzucając mi się na szyję.—Kochany, drogi Oleś, niechże cię uściskam! Niechże pani pamięta: kulig, jak w „Maryi" Malczewskiego, o!

— Kiedy we Francyi nie jeżdżą kuligiem — rzekłem.

— Ale mogliby jeździć, nieprawdaż, że mogliby?

— Módzby mogli, gdyby znali ten obyczaj.

— A dlaczegożby nie mieli znać, wielka rzecz! Przecież mógłby jakiś Francuz być w Polsce, widzieć kuligi, i wróciwszy do Francyi, urządzić coś podobnego, nieprawdaż?

— Tak—rzekłem—możliwe to jest.

— No, widzisz, widzisz!... Nie zapomnij pani: kulig, jak w „Maryi" Malczewskiego.

— Nie zapomnę.

— Chodźmyż, panowie, chodźmy! Zaraz tu pani przyślę Grzybowskiego, niech się paniusia z nim rozgada, a jak przystanie, to niech paniusia z nim przyjdzie na próbę. Kulig, jak w „Maryi" Malczewskiego—powtórzył jeszcze raz, składając na ręce aktorki pocałunek.

I uradowany pewnością zwycięztwa, pociągnął nas za sobą do gospody, gdzie właśnie obozowała jego trupa.

V.

— A co, prawda, że dzielna kobieta!—zawołał wesoło dyrektor, który odzyskał był już dobry humor i werwę.—Podobała ci się, nieprawdaż?

— Tak! — rzekłem, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Żywa, bo żywa, co prawda, ale serce ma złote. A jak ona gra, król jedzie, królowa pogania! Zakochasz się z pewnością, ręczę, że się zakochasz.

I prawił tak dalej trzy po trzy, przeskakując z kamienia na kamień, i nie zważając na to, że mu nic nie odpowiadam. Szedłem za nim milczący, smutny i z siebie niezadowolony. To, o czem się tu dowiedziałem, przejmowało mnie wstrętem, i wystarczyło najzupełniej, ażeby mi zbrzydzić instytucyę wędrownych scen, dla których do niedawna żywiłem współczucie. Nabyłem przeświadczenia, że sztuka była tu jeno pozorem, pod którym się ukrywało niechwalebne rzemiosło. Widerkiewicz, amantka i lichwiarz, widocznie z sobą związani, wydawali mi się trójką olbrzymich pająków, rozsnuwających wokoło brudne sieci.

Myślałem o tym biednym, nieznanym poecie, o którego sztuki losach rozstrzygali tacy ludzie. Sumienie wyrzucało mi brak odwagi. Byłem zły na siebie, iż zamiast oprzeć się zachciankom Widerkiewicza, przyczyniłem się mimowoli do pognębienia tego nieszczęsnego poety, nie podniósłszy głosu w jego obronie.

— Biedak—myślałem—poświęcił byt bez troski, rzucił się w wir koczowniczego aktorskiego życia, dla dopięcia swego celu, dla urzeczywistnienia swych marzeń, a teraz w chwili, gdy się już tak blizkim sądzi mety, zamierzają go pozbawić owoców tej ofiary. Kto wie, może to rojenie wszystkich jego dni, wszystkich jego nocy bezsennych, może to właśnie

jego złoty sen, może to poemat całego życia!... I to ja, ja się przyczyniłem do tego!—tak sobie wyrzucałem z goryczą.—Potakiwałem Widerkiewiczowi, gdy postawił ów dziwaczny pomysł z kuligiem.. Czyż nie należało oprzeć się temu? Jako dziennikarz, mogłem tu użyć swojego wpływu, i ochronić biednego poetę od zawodu.

Ale wrodzona nieśmiałość i samolubstwo szukały wybiegów, aby mnie uniewinnić wobec własnego sumienia.

— Cóż znowu — tak się pocieszałem — czy to mój obowiązek? Nie znam wcale tego człowieka, dlaczegoż miałbym się dla niego na przykrość narażać? Powiadają, że to waryat, i rzeczywiście musi to być jakiś szaleniec, skoro się mógł zadurzyć w takiej kobiecie... Zresztą, to jego rzecz; jeżeli ustępstwo, którego od niego wymagają, jest dla niego rzeczywiście tak wielką ofiarą, to niechaj sam broni swej sprawy; jeżeli rzecz tego warta istotnie, to będzie zawsze dość czasu, aby go popierać.

Bijąc się z myślami temi, kroczyłem w milczeniu za mym przewodnikiem, który odzyskał był już zupełnie dawny humor i swobodę. Wreszcie stanęliśmy przed gospodą, którą czasowo zamieniono w świątynię sztuki.

W obszernej izbie, u której pułapu wisiał duży mosiężny świecznik o pięciu ramionach, mieściła się kancelarya dyrekcyi. Przez zabrudzone szyby wdzierało się tylko chore światło do tego przybytku, napełnionego kwaśnym jakimś dymem.

Umeblowanie składało się z sosnowego stołu, takichże ław, kilku dębowych stołków i ogromnej, oszklonej szafy, na której półkach stały grube zapylone księgi, o grzbietach ze złoconym hebrajskim napisem.

Na ścianach, pośród festonów pajęczyny, wisiało kilka jaskrawych, kolorowanych sztychów biblijnej treści. Po kątach leżały kupy brudnego, szychem

obszytego rupiecia, dalej w nieładzie książki bez okładek, stosy nut i zardzewiałego żelaztwa. Na oknie stało kilka niedopitych kufli piwa; po podłodze plątały się kawałki zatłuszczonego papieru, niedopałki papierosów i niedogryzki jakiegoś jedzenia.

Na stołkach i ławkach, wzdłuż ścian i około stołu, siedziało kilkanaście postaci obojej płci. Na twarzach ludzi tych malowało się oczekiwanie, nuda i niezadowolenie. Ze skrzyżowanemi nogami, z papierosem w ustach, rozpierały się niedbale kobiety, z których twarzy sypał się grubo ziarnisty puder lichego gatunku.

Na jednym końcu stołu grało dwóch zaspanych młodzieńców w zatłuszczone karty. Na środku izby stał jakiś nieogolony jegomość, w fantastycznem syberynowem *poncho*, w słomianym kapeluszu i wypełzłym wełnianym szaliku, okręconym naokoło szyi.

Na widok dyrektora zwróciły się oczy całego towarzystwa w naszą stronę. Widocznie oczekiwano jego przybycia z gorączkową niecierpliwością.

— Pan Aleksander Wisłocki, redaktor ze Lwowa! — zawołał znów mój przyjaciel z naciskiem, jak gdyby chciał powiedzieć: oto jest anioł pocieszyciel, oto jest Mesyasz oczekiwany!

Ze wstydem tu przyznać muszę, że słowa te słabe tylko zrobiły wrażenie. Kto wie, czy pojawienie się wołu, z któregoby można wykroić kawałek pieczeni, nie byłoby wśród tej zgłodniałej czeladki silniejszego wywołało efektu? Bo i czemże może być redaktor ze stolicy dla próżnego żołądka prowincyonalnego artysty? To kubek w kubek to samo, co góry na księżycu!

Więc też zaledwie kilka sztywnych ukłonów dostało mi się skutkiem tej szumnej rekomendacyi i wszystkie oczy zwróciły się znów ku dyrektorowi, pełne ciekawości i groźnego prawie niezadowolenia. Niewątpliwie oczekiwano czegoś innego i obawiano się zawodu.

Jednakże dyrektor znał widocznie swoich ludzi i odczuł całą grozę położenia, bo sięgnął niezwłocznie do kieszeni i wyjąwszy portmonetkę, dobył z niej kilkanaście guldenów.

— Macie, podzielcie się, dzieci — zawołał wesoło, wręczając pieniądze jegomości w wełnianym szaliku.

— *A propos*—dodał, zwracając się do mnie. — Muszę ci przedstawić. Pan Fryckiewicz, nasz tenor, znakomity w „Łobzowianach..." Mógłby doskonale śpiewać partyę Jontka. Sam to przyznasz, jak go usłyszysz.

Tenor skłonił mi się majestatycznie.

— Hm, hm! — chrząknął donośnym głosem.— Śpiewało się przecież Jontka, śpiewało z powodzeniem. Ale teraz nie jestem dysponowany, hm, hm! Ta słota! Katar mi spadł na piersi, hm!

— Nie tyle słota, ile wódka, hi, hi, hi!—wtrąciła półgłosem rumiana dziewczyna, o pospolitych rysach, krępej budowie i zażywnej tuszy, siedząca tuż niedaleko.

— Małpa!—mruknął tenor, przeszywając ją spojrzeniem pełnem gniewu.

— Nasza koryfejka, panna Wygrzewalska, z warszawskiego baletu — rzekł dyrektor, pociągając mnie ku prześladowczyni tenora. — Grywa role naiwne z wielkiem powodzeniem.

— Hi, hi, hi!—śmiała się koryfejka, pokazując białe zęby i mrużąc oczy zalotnie.

— Kochane, drogie dziecko!—ciągnął dalej nowy przyjaciel, obejmując jej głowę rękami i składając na jej czole ojcowski pocałunek.—To jest główna podpora naszej sceny. Tańczy, powiadam ci, jak anioł, jak anioł prawdziwy. Ale, ale—dodal, macając się po kiaszeniach.—Mam tu coś dla pani.

I wyciągnąwszy z waterproofu paczkę angielskich cukierków, które mu w sklepie dał otyły Nice-

forowicz, wręczył je naiwnej podporze błotowskiego baletu.

— Ach, to od mojego tatuńcia, hi, hi, hi! — zawołała najczystszym podolskim akcentem dziewczyna.

— Naturalnie! — potwierdził, śmiejąc się, dyrektor.

Poczem, nachyliwszy się ku niej, szepnął jej coś do ucha, co ją wielce zabawiło.

— To ojciec karmelkami panią karmi?—rzekłem z uśmiechem.

— Ojciec? Hi, hi, hi!... Pan myśli dlatego, że ja powiedziałam od mego tatusia?—odrzekła, wkładając do ust olbrzymi karmelek.

— Właśnie.

— Hi, hi, hi! gdzież tam! To taki sobie zwyczajny kibic.

— Kibic?

— A jakże, kibic! To niby tyle, co facet, hi, hi, hi!... Ja go tylko tak z figlów nazywam tatuńciem.

— Z figlów?

— No, tak, hi, hi, hi!... Dlatego, że on to lubi, hi, hi, hi!

— Niech się teraz pani nie śmieje — rzekłem z powagą.

— Dlaczego?—zapytała, częstując mnie karmelkami.

— Można się zadławić.

— Eh, zadławić, hi, hi, hi! Przecież to cukier, to się rozpuści.

— Kochane, drogie dziecko!—zawołał znów dyrektor, składając pocałunek na czole koryfejki, która tak widocznie brała urząd naiwnej na seryo. — Ale chodź, chodź, bo mi się tu jeszcze zakochasz—dodał, klepiąc mnie po ramieniu.—Muszę ci przedstawić naszą śpiewaczkę... Pani Lisowska... Emilia Lisowska. Powiadam ci głos, jak dzwonek! Żeby tylko

była orkiestra, tobym z nią i Fryckiewiczem „Halkę” nawet mógł wystawić.

I, uchwyciwszy mnie za rękę, popchnął mnie w stronę trzydziestoletniej może blondynki, która, paląc papierosa, spoglądała na nas ciekawie.

— A gdzież mąż pani? — zapytał, uśmiechając się ironicznie.

— Kazał przeprosić pana dyrektora, że nie może przyjść.

— Znów?... Cóż tam takiego?

— Ma migrenę—odparła żałośnie kobieta.

— Znamy się na tych migrenach, ha, ha, ha!— zawołał, wygrażając palcem zakłopotanej.—Żeby też dyabli wzięli tego doktora; znów nie będzie można odbyć próby.

I przechyliwszy się ku mnie, szepnął mi do ucha:

— Szelma doktór! Wystaw sobie, rozpija męża, aby się mógł wygodniej do żony umizgać.

Tymczasem rzuciła się cała brzydka płeć ku jegomości, który mógłby śpiewać Jontka, niby stado zgłodniałych wilków, cisnących się do upragnionej zdobyczy. Nawet zaspani młodzieńcy zaniechali gry. Rozpoczęły się ciche szepty i swary, i głośniejsze nawet wybuchy niezadowolenia. Widocznie za mało było pieniędzy, i wobec wygórowanych żądań kolegów, nie mógł sobie tenor dać rady z podziałem.

W ogólnym tym szturmie na kasę nie wziął udziału jeden tylko z towarzystwa. Był to mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, słusznego wzrostu, lecz wątłej budowy, jedna z tych postaci, które się widuje na winetach. Blada cera, szerokie czoło, duże, czarne, gorączkowym blaskiem świecące oczy i smutny uśmiech, igrający około ust, nadawały twarzy jego wyraz szczególny. Trzymając w ręce jakiś zeszyt dość spory, siedział nieruchomy i jak gdyby wpatrzony wgłąb własnej duszy. Zgiełk, który go otaczał, nie zdawał się go wcale obchodzić; widocznie należał do innego świata.

Było coś marzycielskiego w jego twarzy, coś, co chwytało za serce i zjednywało współczucie. Był tam jakiś wyraz bolesny, świadczący, iż życie tego człowieka nie było ścieżką wysłaną różami, był jednak zarazem jakiś rys, zdradzający energię i mężtwo, który mówił, że to jeden z wierzących i walczących—jeden z tych, którzy zwykli iść przebojem. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to musi być autor zapowiedzianego dramatu.

— Kto to?—spytałem dyrektora.

— Gdzie?... Gdzie?

— Ten tam w kącie, za stołem?

— To właśnie nasz tragik i poeta... Panie Grzybowski — zawołał — panie Grzybowski, chodźże pan tu!... Muszę pana zapoznać z moim przyjacielem.

I wymienił nasze nazwiska, kładąc nacisk na wszystkie dostojeństwa, które mi narzucił.

Poeta mruknął coś niewyraźnie, spoglądając na mnie lękliwie i nieśmiało. Podałem mu rękę do powitalnego uścisku; — dłoń jego paliła gorączkowym żarem.

— Wystaw pan sobie, co za szczęście!—zawołał Widerkiewicz.—Pan Wisłocki przyrzekł mi, że się w Błotowie zatrzyma do niedzieli, ażeby być na przedstawieniu „Występnej miłości” Będzie zdawał sprawę z przedstawienia w „Gazecie,” ha, ha, ha!... No, i cóż pan na to?

Poeta rzucił mi znów trwożliwe spojrzenie.

— Obawiam się bardzo, czy się sztuka panu spodoba—rzekł cichym głosem.

— Nic się pan nie bój — pocieszał Widerkiewicz. — Już ja panu ręczę za przyjazną ocenę, ha, ha, ha!... Mnie pan tylko słuchaj, to na tem dobrze wyjdziesz z pewnością... Nieprawdaż, Olesiu, co?

Chrząknąłem, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Ale, ale—zawołał, jak gdyby sobie coś nagle przypomniał. — Czy widziałeś się pan z panną Gołębską?... Chce się z panem widzieć koniecznie.

Rumieniec oblał twarz biednego poety.

— Ze mną?... ze mną? — zapytał drżącym głosem, który dławiło wzruszenie.

— No, tak, z panem... ha, ha, ha!

— Czyż nie przyjdzie na próbę?

— Owszem, przyjdzie, przyjdzie, ale chce pana wprzód widzieć koniecznie. Mówiła mi kilka razy: jeżeli pan zobaczysz pana Grzybowskiego, to go pan poproś odemnie, żeby tu przyszedł przed próbą, mam mu coś powiedzieć... Czy ja wiem, jakie tam państwo macie interesa? No, idź-że pan i wracajcie prędko na próbę—dodał, widząc, że się nie rusza, przygnębiony wrażeniem, jakie na nim wywarły te niespodziewane zaprosiny.—Mówię panu przecież, że panna Gołębska na pana czeka.

Na te słowa zerwał się poeta i chwyciwszy czapkę, wybiegł pośpiesznie, roztrącając po drodze swych towarzyszów.

— Waryat! — zawołał za nim Widerkiewicz.— Ha, ha, ha! waryat! Czy widziałeś kiedy, Olesiu, takiego waryata?

VI.

— Gdzie wun poszedł? — zapytał żyd, przystępując do dyrektora.

— Pod nóż!... Pod nóż, ha, ha, ha! — odparł Widerkiewicz. — Zaraz go tu przyprowadzi Gołębska związanego, jak barana.

— Ny, a kto wie, czy to tak prędko będzie?... Może woni tam długo zabawią?

— E, gdzietam, wrócą tu najdalej za pół godziny.

— To może dziś już próby nie będzie? Na co mają ludzie czekać daremnie?

— Nie, nie, niech czekają. Próby nie będzie tak, czy tak, bo niema Lisowskiego, Kamińskiego tak-

że nie widziałem. Ale puścić wszystkich do domu nie można, boby się Grzybowski obraził. Trzeba czekać, dopóki nie wróci. Potem się coś już znajdzie, aby go uspokoić. Wiesz, Olesiu, co zrobimy?— dodał, zwracając się do mnie. — Jest w tym domu restauracya, gdzie można dostać wcale niezłego wina... Ot, koncept doskonały! Zabierzemy z sobą pana Herszka, Wygrzewalską i Lisowską, i będziemy się bawili doskonale.

— Ny, to chłopcy się zaraz rozejdą — odparł żyd.—Skoro pójdziemy, to oni sobie pójdą także. Głupiby byli czekać teraz, gdy mają pieniądze.

— Przyślemy im piwa, to będą czekać — rzekł Widerkiewicz—zresztą powiem Fryckiewiczowi, żeby ich pilnował, to żadnego nie puści. No, chodźmy, chodźmy!

— Ależ, mój kochany — szepnąłem, chcąc zaprotestować, miałem bowiem już dosyć tego, co widziałem, a przytem piekła mnie nieznośna zgaga po wypitym szampanie.

— Co, nie chcesz? Kobiety jak anioły, przekonasz się—szepnął, mrugając oczyma.

— Już pół do czwartej — rzekłem, spojrzawszy na zegarek. — Chciałbym zobaczyć, czy niema do mnie jakiego listu z dyrekcyi, lub od mego klienta.

— Głupstwo! Poślemy tam kogoś, to się dowie. No, chodź, chodź, bez ceremonii! Będziemy się bawić jak dzieci.

I pociągnął mnie gwałtem niemal ku aktorkom, które skwapliwie przyjęły zaprosiny, w mojem zrobione imieniu. Niebawem siedzieliśmy za stołem, w brudnej izbie gospodnej; ja pomiędzy obiema aktorkami, które śmiejąc się i potrącając mnie co chwila łokciami, rzuciły się z głodem wilków na przyniesione ryby i rozbratle.

Widerkiewicz był w złotym humorze. Opowiadał miejscowe ploteczki, dworując sobie z afektów

Niceforowicza, adjunkta i lekarza, to znów dogadując mi i zapewniając, że się, jeżeli nie w Gołębskiej, to w jakiejś z obecnych pań, z pewnością zakocham. Żyd uśmiechał się, popijając wino i przypatrując się ciekawie spinkom mym i łańcuszkowi od zegarka. Widocznie taksował wedle tej miary wartość finansowej mojej osoby.

Co do mnie, siedziałem osowiały i z siebie niezadowolony, odpowiadając wtedy tylko, kiedy wprost do mnie zwracano rozmowę. Nie mogłem sobie darować, iż się dałem zaciągnąć w to nieciekawe towarzystwo.

Tymczasem zaspokoiły obiedwie moje sąsiadki pierwszy głód i pragnienie. Obiedwie zatem jęły mi się przypatrywać ciekawie, uśmiechając się zalotnie i mrużąc oczy. Łańcuszek mój i spinki zwróciły ich uwagę. Musiałem się więc znów poddać rewizyi, którą zrana przebyłem w handelku.

— To ładny kawałek—zawyrokował żyd, zważywszy w ręce moją dewizkę. Dukatowe złoto, ts, ts, ts! A zegarek takoż ekstrafein!... Strach, co to musi kosztować!

Na te słowa westchnęły obiedwie aktorki. Równocześnie też uczułem na prawej i na lewej nodze nacisk dwojga nóg.

Przekonałem się, że pod stołem istnieje rozgałęziona sieć telegraficzna!

Odkrycie to zrobiła panna Wygrzewalska.

— Czyje to nogi? hi, hi, hi! — zawołała, zaglądając pod stół.

— Ny, i mnie ktoś kopie—zauważył żyd.

— Dyrektor, hi, hi, hi! — parsknęła naiwna.— Dyrektor telegrafuje na dwie strony, hi, hi, hi! Ej, no, jak powiem Gołębskiej, to będzie kapelusz, hi, hi, hi!

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Lisowska.— Dyrektor się adresuje do pana Herszka...

— No i cóż, no i cóż!—tłómaczył się Widerkiewicz.—Tak ciasno przy tym stoliku.

— Hi, hi, hi!—śmiała się koryfejka.

— Jak ona się śmieje — szepnęła mi do ucha Lisowska, opierając się czule na mojem ramieniu. — Nieprawdaż, co za gęś? Zabierz mnie pan z sobą do Lwowa — westchnęła, opierając się mocniej jeszcze.

— A mąż?—rzekłem, zdziwiony tą propozycyą.

— Et, głupstwo! Co tam mąż!... Już mi obrzydło pracować na takiego pijaka.

— A doktór?—dorzuciłem zcicha.

— O! już panu plotkę powiedzieli — odparła, marszcząc brew. — Pewno ta Wygrzewalska. Żebyś pan wiedział, co to za zazdrośnica i plotkarka... Z palca sobie wyssała.

— Czy tak?—rzekłem, aby coś powiedzieć.

— Spodziewam się! Przecież wszyscy wiedzą, że doktór kuruje mego męża, a co się tyczy mnie, to dalibóg, przysięgam panu, że tyle!

I złożywszy dwa palce, klasnęła paznogciami na dowód swej niewinności.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale mnie trąciła w ramię piękna koryfejka. Przywołany w ten sposób do porządku, zwróciłem się szybko w tę stronę.

— Co się pan tak umizgasz do mężatki, hi, hi, hi!—zawołała, pokazując białe, zdrowe zęby.

— O, o, już zazdrości — zaśmiał się Widerkiewicz. — A to dyabeł, nie dziewczyna... Ejże, bo powiem tatuńciowi!

— No i cóż, hi, hi, hi! przecieżem z nim ślubu nie brała... Jakby się ze mną ożenił, to co innego, ale tak, to dlaczegóż mam siedzieć, jak na niemieckiem kazaniu

— Nie miałby roboty! — szepnęła mi w ucho Lisowska.

— No, mówże pan co do mnie, bo się nudzę — zawołała koryfejka, potrącając mnie znów w sposób dość energiczny.—Cóż, jakże się panu podobam?

— Nadzwyczaj!... Jestem zachwycony! — odparłem.

— Czy się pan naprawdę zadurzył w Lisowskiej?—szepnęła mi do ucha.

— Ale gdzietam!—odparłem zcicha.

— Ja też sobie zaraz pomyślałam, hi, hi, hi!— szeptała, śmiejąc mi się w ucho.— Taka stara, patrz pan, zęby ma zepsute i zmarszczki pod oczami, hi, hi, hi! Niech się pan Widerkiewicza zapyta. Ho, ho, co to było?... Ma męża i bałamuci się z doktorem, a jak zobaczy, że z kimś rozmawiam, to pęka z zazdrości. Ręczę, że powie Niceforowiczowi, żem z panem poszła na wino, i że się w panu kocham, hi, hi, hi!

— Czy pani się tego obawia?

— Ale cóż znów! gdzietam!... Przecież Niceforowicz niema żadnego do mnie prawa, dalibóg, jakem uczciwa dziewczyna, że niema! Żeby mnie pan zechciał, tobym tylko pana kochała—dodała z zalotnym uśmiechem.

W tej chwili uczułem lekkie trącenie w łokieć. To pani Lisowska powoływała mnie w ten sposób do siebie. Położenie moje stawało się rozpaczliwem, tembardziej, że obiedwie moje sąsiadki, rozochocone winem, z coraz większą natarczywością objawiały mi swoje afekty. Wykręcałem się jak mogłem, komplementując obie te panie naprzemian.

Niebawem Widerkiewicz zaczął tracić na humorze. Co chwila zapytywał mnie, która godzina. Czas płynął i płynął, a Grzybowski nie wracał. Widocznie nie udało się Gołębskiej skłonić go do pożądanego ustępstwa.

To go niepokoiło wielce. Co chwila wysyłał kasyera na zwiady, co chwila sam wybiegał do kancelaryi teatru, aby zasięgnąć języka. Wreszcie, nie mogąc się doczekać, rozpuścił zniecierpliwionych aktorów, pożegnał się z nami, pobiegł do amantki, nie zapłaciwszy oczywiście rachunku.

Uczyniłem to z przyjemnością, rad wielce, że się pozbyłem mojego tyrana i że się raz przecie wydobędę z towarzystwa, które mnie wcale nie bawiło. Głowa mi ciężyła, gardło piekła nieznośna zgaga. Pozostawiwszy więc obiedwie rozmarzone winem aktorki pod opieką kasyera teatralnego, pobiegłem do swojej gospody.

Zastałem tam list od dyrekcyi banku, a wenątrz depeszę nadeszłą do biura już po moim wyjeździe. Była to odezwa dziedzica Terpiłówki, który oznajmiał, iż z powodu nieprzewidzianej przeszkody spóźnić się musi o dwa dni. Z porównania dat wypadało, że się lada chwili spodziewać mogę jego przybycia.

Wiadomość ta ucieszyła mnie wielce. Dalszy pobyt w Błotowie nie uśmiechał mi się wcale, zwłaszcza teraz, gdy skutkiem dziwnego zbiegu okoliczności, udało mi się z gruntu poznać wszystkie jego tajemnice. Myśl, iż niesłusznie posądzałem mego klienta o lekkomyślność i opieszałość w interesach, sprawiła mi niemniej wielką radość; niema bowiem nic przykrzejszego nad sprawy pieniężne z ludźmi nie pojmującymi ich ważności.

Pełen otuchy, kazałem sobie podać herbatę, po której wypiciu poszedłem spać, aby wypocząwszy po przebytej burzy, módz z trzeźwym umysłem i pokrzepionemi siłami przystąpić do urzędowania.

Ale napróżno wiłem się długi czas na niewygodnej pościeli hotelowej, przywołując sen, który stronił od mej powieki. Wspomnienia wrażeń, doznanych w ciągu dnia, nie dawały mi spokoju. Przed oczyma snuły mi się postacie ludzi, których poznałem, niby korowód zapustnej jakiejś maskarady.

— Co za dziwny świat—myślałem—żyjący tylko obłudą i podstępem... Jakże wykolejeni ci ludzie, którzy pod pozorem kapłaństwa sztuki uprawiają swe nędzne rzemiosło... Chorych serc ich nie uzdrawia ta krynica zdrowej wody, z której dozwolono im co

dnia czerpać pokrzepienie. Dusze ich martwe są, a myśl zwraca się tylko ku podstępom i wyzyskowi. Ale—tak rozumowałem dalej—jestże to ich wina, że takimi są, i czyż nie należałoby raczej winić społeczeństwa, iż ono jest główną przyczyną ich moralnego upadku?... Zamiast żądać od nich, aby szczerze służyli pojęciom prawdy i piękna, co powinno być właściwem ich zadaniem, spycha ono ich gwałtem w błotną kałużę, żądając od nich jedynie zadowolenia grubych żądz swych i próżności... Więc też słuszną i sprawiedliwą jest ta wzgarda, którą ci upadli odpłacają swym gorszycielom. Ani ich o to winić można, gdy zepchnięci na tę drogę, wyzyskują słabostki tych, którzy usiłują sprowadzić ich na manowce... Jest to tylko chleb oddany i walka dwóch nieszlachetnych równie zapaśników. Kto wie nawet, czy szlachetniejszymi jeszcze nie są ci właśnie, których potępiamy; wzgarda, którą okazują swym gorszycielom, jest poniekąd dowodem, że moralne uczucie niezupełnie obumarło w ich piersi.

Filozofując w ten sposób, popadłem w stan półsnu, a półjawy, w którym postacie Widerkiewicza, Herszka, Lisowskiej, Grzybowskiego, Gołębskiej, Wygrzewalskiej i Fryckiewicza przesuwały się przed mojemi oczami. Zdawało mi się, że głowa moja jest korbą, którą porusza Widerkiewicz, a nogi rodzajem pedałów, wprowadzonych w ruch za pomocą tej korby i poruszających dwa miechy, spiewające tenorem i sopranem. Miechami temi byli Fryckiewicz i Lisowska.

Widerkiewicz kręcił korbą, to śpiesznym, to wolnym ruchem, a w miarę tego poruszały się moje pedały, wydobywając z miechów coraz piskliwsze tony, ku wielkiej uciesze dygnitarzy błotowskich, między którymi zauważyłem Niceforowicza, klaszczącego zawzięcie tłustemi dłoniami, i sekretarza rady powiatowej, objawiającego zachwyt swój rykiem cielęcia.

Po niejakim czasie zaszła zmiana w scenach mojego widzenia. Tym razem byłem maryonetką w rękach Widerkiewicza, który pociągając sznurek, przywiązany do mego tułowiu, skłaniał mnie do wykonywania rozmaitych poruszeń. Miałem w jednej ręce miecz katowski, a w drugiej butelkę, i przechadzałem się pełen dumy i zadowolenia po scenie, piejąc „kukuryku" zachrypłym głosem.

Nagle wystąpił z za kulisy Grzybowski, będący również maryonetką w ręku amantki. Zbliżył się do mnie, deklamując: „O ty, która serce mi zabrałaś!" i przyciskając do piersi świeżo uprasowany czepeczek nocny. Ujrzawszy go, chciałem go winem poczęstować, ale Widerkiewicz szarpnął sznurkiem, skutkiem czego, rąbnąwszy mieczem, ściąłem głowę deklamującemu poecie.

Odzyskawszy chwilowo po tym wysiłku władzę, podniosłem odciętą głowę i chciałem ją znów osadzić na tułowiu, ale z za kulis wypadło wesele krakowskie, z Herszkiem i Wygrzewalską na przedzie. Niceforowicz, który, przebrany za krakowiaka, w drugiej tańczył parze, wyrwał mi z rąk głowę poety i wręczył ją Herszkowi, odbijając mu równocześnie tancerkę. Potem okrążyli mnie wszyscy dziką sarabandą; postacie tanecznIków zaczęły się z sobą plątać, wiązać i coraz bardziej powiewne przybierać kształty. Myśl moja utonęła w tym chaosie, aż wreszcie zmorzył mnie sen zdrowy i wolny od marzeń, w którym wytrwałem aż do rana.

VII.

Słońce zaglądało do mego okna, gdym otworzył oczy. Spojrzałem na zegarek; było wpół do 8-ej. Zerwałem się więc z pościeli i kazałem podać kawę, aby w razie przybycia koni z Terpiłówki, módz natychmiast podążyć na miejsce mojego urzędowania.

Kończyłem właśnie śniadanie, gdy mnie z gospodnej sieni doleciał brzęk dzwonków i turkot bryczki. Był to mój klient, pan Stanisław Borecki, który z powodu pogrzebu szwagra nie mógł stawić się w terminie i z którym w pół godziny potem znajdowałem się już w drodze do Terpiłówki.

Miły to bardzo był człowiek, przystojny, wykształcony i pomimo smutku, który go przygniatał, rozmowny. Niebawem też zapomniałem w miłem jego towarzystwie o wrażeniach, doznanych w ciągu dnia wczorajszego, wpośród dziwolągów błotowskich.

Ranek był jasny i świeży. Ponad skibami, strojnemi wdzięczną zielenią, unosiły się skowronki, odmawiając swój harfiany różaniec. Na ugorzyskach pasły się stada bydła rogatego, szczypiąc chciwie pożywną wiosenną paszę. W dali widniały lasy, pogrążone w zadumie. Leciutki wietrzyk wiał od pól, napawając nas dziką jakąś wonią. Zdawało mi się, że mnie tchnienie jego nawskróś przewiewa ciepłem, zdrowiem i błogością.

Jechaliśmy, rozmawiając z sobą o interesie, który mnie sprowadził w te strony. Pan Stanisław miał w swym majątku trzysta pięćdziesiąt morgów, oddalonych od głównego folwarku. Gospodarka na tym obszarze była nadzwyczaj trudna i niewdzięczna. Chłopi z sąsiedniej wsi palili łany i worywali się w grunta. Dozór był prawie niemożliwy, a uprawa z powodu oddalenia kosztowna wielce i mozolna. Słowem, był ten obszar kulą u nóg młodego gospodarza.

Wypadało tam folwark postawić osobny, na co nie było pieniędzy, lub też odprzedać tę cząstkę, wyrobiwszy dla niej osobną hypotekę, co jednak przedstawiało wiele trudności, a mało korzyści. Najlepszem wyjściem było rozparcelowanie tych gruntów, co z powodu ich położenia w pobliżu zamożnej wsi sąsiedniej, napomyślniejsze jeszcze przedstawiało widoki.

Majątek był mniej więcej do połowy swej wartości obdłużony. Należało więc, chcąc przystąpić do parcelacyi, spłacić długi w stosunku do części, która się rozsprzedać miała, wyrobić osobną hypotekę, rozparcelować grunta i t. d. Wszystko to wymagało znacznego zachodu i nakładu. Pan Stanisław nie miał czasu, ani pieniędzy; udał się więc do banku, w którym służyłem, a do którego zakresu należała także parcelacya. I oto właśnie cel, dla którego zostałem wydelegowany w te strony.

Miałem zbadać, czy się na miejscu znajdują chętni nabywcy, mający dostateczne fundusze, aby zapłacić pełną wartość rozparcelowanych gruntów. W tym tylko razie miał zakład przystąpić do interesu. Nie mieliśmy bowiem zamiaru sprowadzać obcych kolonistów, i pragnęliśmy nie dopuścić do tego, aby kapitały nasze zostały uwięzione w parcelach, których administracyą zajmować się nie byliśmy w stanie.

Badania te wielkiego odemnie wymagały trudu. Nie żałowałem jednak pracy, pragnąc koniecznie interes ten doprowadzić do skutku. Chciałem pomódz mojemu gospodarzowi, dla którego po bliższem poznaniu szczerą powziąłem sympatyę. Terpiłówka była pięknym bardzo majątkiem. Wydzieliwszy Majdan, tak się nazywał obszar, który miał być rozpacelowany, można ją było w znacznej części z długów oczyścić i uzyskać nadto dosyć spory fundusz, któryby klienta mojego postawił na nogi.

Pracowałem więc od świtu do zmierzchu, nie żałując trudu. Starałem się pozyskać dla swych zamiarów miejscowego proboszcza, odwiedzałem chłopów, których mi wskazano, rozsyłałem agentów celem wyszukania i zjednania kupców, i wysłuchiwałem sprawozdania tych, którzy powrócili z wycieczki. Wieczory spędzaliśmy z panem Stanisławem na czytaniu gazet i pogadance; czasem zasiadaliśmy do pi-

Tak upłynęło dni trzy. Czwartego dnia, po obiedzie — była to właśnie niedziela — przyniesiono nam z poczty dzienniki.

— Patrz pan — zawołał pan Stanisław. — Teatr w Błotowie... Pierwsze przedstawienie „Występnej miłości."

— Wiem, wiem — odparłem wesoło, przypomniawszy sobie Widerkiewicza. I ubawiony tem wspomnieniem, opowiedziałem panu Boreckiemu całą moją przygodę.

— Grzybowski, powiadasz pan?... Grzybowski? — zawołał, gdym mu wspomniał o biednym poecie. — Czy pan nie wie jak mu na imię?

— Nie wiem... Wszak musi być na afiszu.

— Niema — odparł, przyglądając się zapisanej ćwiartce uważnie. — Ach! co za szkoda... To mnie bardzo zajmuje... Jakże wygląda ten Grzybowski?

Opisałem mu jak najdokładniej biedaka.

— Bóg raczy wiedzieć!... Zdaje mi się, że to on... Ale nie, to przecie być nie może!

— Kto taki? — zapytałem rozciekawiony.

— Zdaje się, że to mój domowy nauczyciel z lat dziecinnych, trochę poeta i trochę narwany... Powiadasz pan, mniej więcej czterdzieści lat?

— Takim się mi wydawał.

— Dziwna, dziwna!... Czy niema pan ochoty być na tem przedstawieniu?

— Owszem, przyrzekłem nawet, że będę, ale zapomniałem o tem zupełnie.

— W takim razie niema co zwlekać! Jaśku, powiedz Michałkowi, niech zaprzęga do wózka... Musimy śpieszyć, bo już słońce się zniża. Jeżeli to on, to trzeba go koniecznie wyrwać z tej jaskini.

VIII.

Niespełna w godzinę potem stanęliśmy w hotelu. Scena mieściła się w szopie, przylegającej do zna-

znanej już nam gospody, gdzie się znajdowała kancelarya dyrekcyi. Rojno tu było i gwarno. Gromada wyrostków obojej płci staczała zacięte walki, cisnąc się do szczelin, przez które można było zobaczyć, co się dzieje w teatrze. Wrzask i pisk zagłuszały odgłosy muzyki, dolatującej z głębi budynku. Inni czatowali na stosowną chwilę, aby się wślizgnąć do wnętrza. Olbrzymi Fryckiewicz pilnował wchodu, nie mogąc sobie dać rady z tą wrzawliwą czeredą.

Spostrzegłszy nas, z tem większą energią przystąpił do sprawowania swego urzędu.

— A pójdziesz hołota, hm, hm... Ustąpcie się, hm!—wołał ochrypłym głosem.—Czy nie widzicie jeden z drugim, że państwo idą, hm, hm!... Ej, jak którego lunę — dodał, podnosząc gruby kostur do góry.

Dzięki temu energicznemu wystąpieniu, rozbiegła się dziatwa w prawo i w lewo, tak jak stadko spłoszonych wróbli, otwierając nam przystęp do przybytku wędrownej Melpomeny.

— Tu, proszę panów, kasa na lewo! — rzekł Fryckiewicz, uchylając kapelusza.—Zaraz się spektakl zaczyna.

Przy kasie siedział jeden z zaspanych młodzieńców, których przed kilku dniami poznałem w kancelaryi teatru. Obok niego stał pan Herszko, trzymając rękę na miseczce, na której leżała garść drobnej monety; za nimi kilku aktorów, ucharakteryzowanych i ubranych na scenę. Panowie ci spoglądali niechętnem i podejrzliwem okiem na Herszka i jego towarzysza, nie mając widać zaufania do ich manipulacyi.

Zażądaliśmy dwóch krzeseł, w którymś z pierwszych rzędów. Zaspany młodzieniec odciął z kwitaryusza dwa bilety, a Herszko wyciągnął skwapliwie ręce po pieniądze i schował je pospiesznie do stolika, zamykając na klucz szufladkę dla większego bezpieczeństwa.

— Kochany, drogi Oleś! — zawołał Widerkiewicz, który się w tej chwili zjawił, jak gdyby wyrósł z pod ziemi.—A jużem myślał, że mi słowa nie dotrzymasz... Niechże cię uściskam!

I chwyciwszy mnie w objęcia, złożył mi na twarzy dwa pocałunki.

— No, jakież masz miejsce?... Numer 31... To w drugim rzędzie, będziesz miał sekretarza za sąsiada... Chodź, chodź, sam cię zaprowadzę. Tędy, proszę panów, tędy! Ach, żebyś ty wiedział, jakie miałem kłopoty. No, ale Bogu dzięki, udało się. Ha, ha, ha! Niceforowicz rozsprzedał pięćdziesiąt sześć biletów. To pan Borecki, nieprawdaż? — dodał, szepcąc mi w ucho.

— Tak.

— Zapoznajże mnie, proszę ciebie.

Uczyniłem zadość jego żądaniu. Wygadany dyrektor wziął w obroty mego klienta, opowiadając mu cuda i dziwa o swojem towarzystwie i o sztuce, którą mu się udało zdobyć dla sceny. Wreszcie dotarliśmy do naszych miejsc, i sekretarz rady powiatowej oswobodził mego towarzysza, zawiązawszy z nim rozmowę.

— Do widzenia, do widzenia! — zawołał dyrektor, podając mi rękę.—Zobaczymy się po spektaklu, nieprawdaż?... Przyjdź tu do restauracyi, muszę z tobą pogadać! Ale, ale—dodał, odchodząc. — Zrobiłeś konkietę, olbrzymią konkietę, powiadam ci, ha, ha, ha!... Przyjdź do restauryacyi koniecznie; będzie Gołębska, Wygrzewalska i Niceforowicz. Zabawimy się, jak dzieci!

Salę, jeżeli tak można nazwać ten przybytek, napełniał swąd lamp naftowych, zapach piżma i ów nieznośny gorączkowy opar, który jest ciżby oddechem. W pierwszych rzędach pełno już było publiczności, która zaledwie się mogła pomieścić w tych zbitych szeregach wązkich krzeseł, przymocowanych sznurkiem do siebie. Mimo to napływali goście co-

raz nową falą, napełniając dalsze rzędy. Widerkiewicz mógł być zadowolonym z powodzenia.

Sześć kinkietów, zaopatrzonych w mosiężne rewerbery, oświetlało szafę skąpem i jak gdyby chorem światłem. Ciemno się paliły kopcące lampy; widocznie za mało było tlenu w powietrzu.

Pierwsze rzędy krzeseł zajmowała miejscowa śmietanka: kobiety wystrojone pretensyonalnie, z całemi ogrodami kwiatów na kapeluszach, sztywne, nadęte, podobne do oranżeryjnych doniczek w zupełnym rozkwicie, mężczyźni w odświętnem ubraniu, niezgrabni w swej wspaniałości, ale mimo to uroczyści i widocznie z siebie zadowoleni. Między nimi spostrzegłem Niceforowicza, dławiącego się w wysokim stojącym kołnierzyku. Wyglądał tak, jakby miał na głowie półmisek jajecznicy i obawiał się, aby nie oblać nowego tużurka.

Na podwyższeniu znajdowała się scena, zakryta dotychczas podartą i niedbale połataną kurtyną, przez której otwory wyglądali co chwila krzątający się na scenie artyści. Czterech żydów w chałatach przedstawiało orkiestrę. Skrzypce, bas, klarnet i cymbały, napełniały szopę niesfornemi dźwiękami, starając się uprzyjemnić chwile czekającej publiczności.

Sekretarz rady powiatowej bawił mnie tymczasem rozmową, opowiadając miejscowe ploteczki. Dowiedziałem się, że pani aptekarzowa, ażeby mężowi uniemożliwić odwiedzanie teatru, pozamykała na klucz wszystkie jego ubranie, że lekarz odebrał na poczcie paczkę, którą natychmiast zaniósł do Lisowskiej, a w której, jak zapewnia pani pocztmistrzowa, znajdowały się sprowadzone ze Lwowa pończochy, że wreszcie Grzybowski zażądał od Widerkiewicza, aby mu sprawił parę rajtarskich butów, pod pozorem, że rola tego wymaga, na co jednak Widerkiewicz nie chciał żadną miarą zezwolić.

Wreszcie ozwał się dzwonek i kurtyna zaczęła się zwolna podnosić. Z krzesła swego widziałem

usiłowania rosłego parobczaka, windującego ją liną do góry. Niestety, coś się zepsuło w maszyneryi i zasłona zatrzymała się o dwie stopy od ziemi, ukazując nam szereg świec stearynowych poprawianych w butelki, kilka lamp z potłuczonemi szkiełkami, towarową skrzynię z napisem Błotów i narysowaną na wierzchu butelką, parę nóg kobiecych w białych pończoszkach i parę rajtarskich butów z ogromnemi ostrogami.

Były to kinkiety, suflerska budka, i dolne kończyny zatrudnionych na scenie aktorów.

— To Gołębska i Grzybowski—szepnął mi sekretarz.—Ciekawą rzecz, zkąd on wziął te buty?

— Musiał mu je sprawić Widerkiewicz — rzekłem.

— Ale gdzieżtam... Widerkiewicz mówił właśnie, że nie trzeba.

— W takim razie sprawił je sobie sam — odparłem, ażeby przeciąć rozmowę. — Nie słyszałem, aby z nieba spadały rajtarskie buty.

Tymczasem jednak nie chciała z miejsca ruszyć uparta zasłona, pomimo rozpaczliwych wysiłków maszynisty, któremu w pomoc pośpieszyło kilku niezajętych aktorów.

— Zaraz będzie, zaraz! — pocieszał głos jakiś za sceną.

Ale kurtyna trwała w swoim uporze, ku wielkiej uciesze muzykantów, przyglądających się ciekawie odsłaniającemu się na scenie widowisku. Zrobił się zamęt, gwar i bieganina. „Puszczaj, ciągnij! No razem!"—wołały liczne głosy. Wreszcie przybył na scenę Widerkiewicz i usunął zaporę.

— To on!—szepnął mi pan Borecki.—Ale jakżeż dziwnie wygląda!... Nigdybym go nie poznał, gdybym się go nie spodziewał.

Rzeczywiście dziwnie wyglądał biedny poeta w olbrzymich rajtarskich butach, przy pałaszu i w stroju, który miał przypominać czasy Ludwika

XVI, ale który co do ścisłości wiele pozostawiał do życzenia. Ucharakteryzowany dziwacznie, wyznawał ciężkiemi trzynastozgłoskowemi wierszami miłość swoją amantce, która spoglądając na krzesła zalotnemi oczyma, witała znajomych spojrzeniem i uśmiechem.

Był cały świat pomiędzy nim a nią. Ona, wyłącznie sobą i swymi przyjaciółmi zajęta, myślą daleka i wygłaszająca swą rolę monotonnym głosem pozytywki;—on, głęboko przejęty tem, co mówił, kładący w każde słowo, w każde spojrzenie, w ruch każdy całą swoją duszę.

Dla niewtajemniczonego była to gra, nieumiejętna może, przesadna, ale, bądź co bądź, pełna ognia i życia;—dla tego, kto wiedział, jaki go z tą kobietą łączy stosunek, była to prawda. Biedny poeta spowiadał miłość swoją tej kobiecie.

— To on się w niej kocha? — zapytał Stanisław.—W tej komedyantce?

— Tak jest!

— Biedak! Żal mi go serdecznie... Patrz pan, jak się ubrała.

— To ma być kostyum z czasów Ludwika XVI—szepnąłem z uśmiechem.

Amantka miała krótką suknię, która jej zaledwie do połowy kolan sięgała, szwajcarski stanik upudrowane włosy.

Dramat nie był złym, ni dobrym; — widziałem dużo równie lichych na lepszych scenach. Była to familijna tragedya, w której brat zabija brata, rozkochawszy się w jego żonie. Zbrodnia ta pociąga za sobą cały szereg innych, w które występny, poślubiwszy bratową, popada. Wreszcie ścigany wyrzutami sumienia i oszalały... lecz dajmy pokój, tego co się później stało, nie mogę teraz powiedzieć.

Pełno w tej sztuce było „zabijaństw", pełno widm, pełno okropności, pełno też, jak zwykle u początkującego, reminiscencyj z rozmaitych znanych

tragedyj. Ale to wszystko było powiązane z sobą dość logicznie i w sposób, który mógł nawet zająć niezbyt wybredną publiczność. Całe wrażenie psuła jednakże licha gra aktorów, którzy zdawali się parodyować samych siebie, a między którymi celowała amantka, fałszując najokropniej zamiary autora.

Wszelakoż największy dysonans tworzył kulig, wprowadzony tu, jak wiadomo, dla popisu Wygrzewalskiej, i dla przypodobania się jej protektorowi. Pojawienie się jego nie było wcale umotywowane i nie wpływało bynajmniej na dalszy przebieg sztuki. Publiczność jednak nie zauważyla tego wcale;— owszem, nawet oklaskiwała koryfejkę i wywoływała ją kilka razy, zachęcona ku temu przez Niceforowicza, który się nie posiadał z radości i zachwytu.

— A więc jej uległ — rzekłem do pana Stanisława.—Wątpię, abyśmy go wyrwali z jej szponów.

— Biedak!—odparł smutnym głosem. — Trzeba jednak koniecznie próbować!

Gra i wzruszenie zdawały się męczyć biednego poetę. Oczy jego płonęły gorączkowym żarem, a głos, drżący i przytłumiony, zdradzał widocznie osłabienie. Ale bo też i trudną była jego rola, mianowicie w czwartym akcie, gdy dręczony wyrzutami sumienia i ścigany widmami tych, których pomordował, malował w długich monologach swoje uczucia.

Nagle odezwały się w bocznej kulisie jakieś stłumione głosy, jakieś dziwne krzątanie się, jakiś szelest niezwyczajny. Zaniepokojony, spojrzał poeta w tę stronę. To, co ujrzał, musiało na nim wywrzeć przygnębiające wrażenie, bo zadrżał na całem ciele, zachwiał się, i szczękając zębami, jął dyszeć, jakgdyby z piersi nie mógł wydobyć głosu.

— Brawo, brawo! — zawołano, klaszcząc z licznych stron. Kilka pań zaniosło się od rzewnego płaczu.

Chwilę jakąś stał poeta, wsłuchując się w ów szelest złowrogi, niebawem jednak przezwyciężył nie-

moc chwilową, podniósł w górę rękę i zaczął zaklinać niewidzialne widmo, które go ścigało w jego przywidzeniu. Głos mu drżał, osłupiałemi oczyma wpatrywał się w stronę, zkąd się coraz głośniej odzywał ów hałas niepokojący.

Wtem wypadło na scenę dwóch ludzi, borykających się z sobą.

— Szpaczek!... Ha, ha, ha! Szpaczek!—zawołały liczne głosy.

— Pst!... Wyrzucić go! — protestowano z innych stron.

— Co to jest?—zapytałem sekretarza.

— To Szpaczek się upił i robi awanturę — odparł, trzęsąc się od śmiechu.—To szewc, sławny pijanica. O, to dopiero heca... ha, ha, ha!

Tymczasem wyrwał się pijak z ramion swego przeciwnika. Zatoczywszy się, podszedł ku przerażonemu poecie, który z podniesioną ręką domawiał swego monologu:

— Wracaj do grobu, złowroga postaci!

— Ot, że nie — odparł pijak zachrypłym głosem.—Nie pójdę, aż mi pan za buty zapłaci.

Poeta zachwiał się, chwycił się obiema rękami za głowę, i runął jak długi na ziemię.

IX.

Na widok ten osłupiał Szpaczek, jakgdyby zdziwiony własną śmiałością, i nie pojmując skutków swego wystąpienia. Szopę napełniła wrzawa trudna do opisania.

— Szpaczek, ha, ha, ha!... Zaśpiewaj coś, Szpaczku — wołali jedni, ubawieni zakłopotaniem pijaka.

— Precz, łajdaku! Wyrzucić go!—krzyczeli inni. Wreszcie pojawił się na scenie Widerkiewicz z Fryckiewiczem, i wyprowadził pijaka, który tłóma-

czył się, że mu się za buty należy osiem guldenów i że przyszedł upomnieć się o swoją pracę.

Po jego odejściu uspokoiła się powoli wrzawa publiczności. Uwaga wszystkich zwróciła się znów ku przerwanej sztuce.

— Brawo Grzybowski!... Brawo!—zawołało kilka nieśmiałych głosów. Za tym przykładem poszli inni i niebawem zabrzmiała szopa rzęsistemi oklaskami. Widocznie nie zdawała sobie publika sprawy z zaszłego wypadku, sądząc, iż zemdlenie artysty jest udaniem i że tak wypadło z roli.

A biedny poeta zdawał się nie słyszeć tej owacyi. Leżał tam, gdzie upadł, podnosząc od czasu do czasu rękę, która znów opadała bezwładnie. Jęk bolesny wydobywał się z jego piersi.

— Zachorował!... Dyrektorze, Grzybowski zachorował! Ratujcie go! — ozwał się z paki towarowej, która zastępowała budkę suflera, głos przytłumiony.

— Chodźmy, chodźmy go ratować! — zawołał pan Stanisław, pociągając mnie za sobą.

I pośpieszyliśmy razem z lekarzem, który się znalazł pod ręką, za kulisy, gdzie tymczasem przyniesiono chorego. Biedny poeta leżał na jakimś stosie teatralnego rupiecia, nieprzytomny i bezwładny. Kilku aktorów krzątało się koło niego, usiłując go ocucić.

— Trzeba go nasamprzód ztąd zabrać — rzekł lekarz, zbadawszy tętno chorego. — Trzeba go zanieść do mieszkania, tam mu zrobimy lodowe okłady.

— Cóż to jest?—zapytał pan Stanisław.

— Nie wiedzieć co! — odparł lekarz, podnosząc choremu powiekę. — Źrenica mocno zwężona, puls twardy i wolny, głowa gorąca. Widocznie uderzenie na mózg. Być może, że się z tego wywiąże zapalenie, być może tyfus!... Ale nie, tyfus się nie objawia tak gwałtownie. Tyfus rozwija się powoli,

a Grzybowski nie był przecie chorym, skoro grał do ostatniej chwili.

— Widziałem go przed kilku dniami — rzekłem na to. — I zauważyłem, że oczy jego miały blask gorączkowy, a ręce paliły żarem.

— Tak pan powiadasz!... W takim razie jest to najniezawodniej tyfus—odparł lekarz, kiwając głową.—Biedaczysko!... Ale co tu robić z tym fantem?... Do szpitala daleko, a tu potrzebaby wielkiej pieczołowitości.

— Biorę na siebie koszta kuracyi! — zawołał pan Stanisław.—Czy mogę go zabrać na wieś, tamby znalazł spokój i wygodę.

— Hm, dziś jeszcze nie!... Okropna gorączka, ale być może, że to skutek wrażeń, wywołanych przez tego Szpaczka... Zobaczymy, jaki to przebieg weźmie za kilka dni.

— Niechże się konsyliarz zajmie, aby mu tymczasem na niczem nie zbywało... Oto pieniądze na opędzenie pierwszych potrzeb — rzekł pan Stanisław. wsuwając doktorowi paczkę banknotów do ręki. — Wszak mogę na to liczyć, nieprawdaż?

— Ależ oczywiście, oczywiście! — zawołał lekarz, przypatrując się mojemu klientowi z zadziwieniem.

— Ja tu się będę dowiadywał!... Trzeba konsyliarzowi wiedzieć, że mnie chory bardzo interesuje, bo to mój pierwszy nauczyciel.

— Może pan dobrodziej być spokojnym!

Zabezpieczywszy w ten sposób los biednego poety, którego przeniesiono do schludnej, wynajętej w tym celu izdebki i umieszczono pod opieką jakiejś zacnej urzędniczej rodziny, wróciliśmy późną nocą do Terpiłówki.

Zabrałem się nanowo do pracy, robiąc wszystko, co w tych warunkach można było uczynić. Ale wysiłki moje nie przynosiły pożądanego owocu. Interes nie posuwał się wcale i nie rokował pomyśl-

nego skutku. Mogę zapewnić, iż przeprowadzenie parcelacyi jest o wiele trudniejszem od napisania artykułu o tym przedmiocie, zwłaszcza, jeżeli się sprawy tej nie rozumie.

Rzecz cała rozbijała się o to, iż nie sposób było znaleźć kupców na grunta, które zamierzyliśmy rozsprzedać drogą parcelacyi. Rozsyłani przezemnie agenci powracali z niczem ze swych wycieczek. Ci z chłopów, którzy słynęli jako bogacze, nie mieli ochoty do zakupu gruntów, nie leżących tuż pod ich ręką. Jedni spekulowali na upadek swych sąsiadów, których grunta pragnęli zagarnąć; drudzy nie mieli odwagi rozstać się z uciułanemi pieniędzmi. Inni odwlekali sprawę do przyszłego roku, spodziewając się zebrać w jesieni większy zasób grosza. Inni wreszcie mieli do kupna ochotę, lecz nie posiadali funduszów. Trafiali się wprawdzie żydzi, tych jednakże pragnął pan Stanisław od kupna wyłączyć.

Zniechęcony temi doświadczeniami, chciałem już dać za wygranę i powrócić do Lwowa, zrzekając się niemożliwego interesu. Ale gospodarz mój nie chciał na to zezwolić żadną miarą;—trudno mu było pożegnać się z nadzieją pomyślnego załatwienia tej sprawy, dla której tyle już poniosłem trudów.

Zatrzymał mnie więc, prosząc, abym nie zrywał interesu, nie przekonawszy się dowodnie o jego niemożliwości. Liczył na moją pilność, na spryt mych agentów i na możliwy zwrot w usposobieniu chłopów. Pozostałem więc, zrzekając się dalszych dyet, na wypadek jeżeliby interes nie przyszedł do skutku, i postanowiłem szczęścia próbować na innej drodze.

Nadzieje moje opierałem na licznych w tej okolicy rzemieślnikach. Sporządziłem spis wszystkich sąsiednich młynarzy, stelmachów, kowali i stolarzy, licząc, że w warstwie tej znajdą się ludzie zasobni, którzy się dadzą do kupna nakłonić. Zdawało się,

iż plan ten powinienby wydać pomyślne owoce Ziemia była dobra, cena przystępna, ułatwienia, które ofiarowałem, bardzo znaczne—nie ulegało zatem wątpliwości, że ludzie ci, jako inteligentniejsi, rozumieją całą doniosłość korzyści, jakie im stręczyłem.

Dzięki pieczołowitości swych opiekunów, wrócił za kilka dni do zdrowia biedny poeta, przynajmniej o tyle, iż go można było przewieźć do Terpiłówki. Przybył nam więc nowy towarzysz, z którym spędzaliśmy wieczory na rozmowie, unikając jednakże wzmianki o teatrze i o zajściu, które się dla niego stało przyczyną tak bolesnego wzruszenia. Pan Stanisław ślubował sobie, że pupila swego z opieki już nie wypuści, zamierzając mu powierzyć czynność jakąś w swojem gospodarstwie rozległem i zabezpieczyć w ten sposób przyszłość dawnego nauczyciela.

Wiadomości, które nadchodziły z Błotowa, utwierdzały go w tym zamiarze. Sposób, w jaki postąpił Widerkiewicz z biednym poetą, oburzył przeciwko niemu opinię publiczną, którą zniechęciła dla wędrownej sceny niespodziewana przerwa ostatniego przedstawienia. Zdawało się widzom, iż zostali pokrzywdzeni. Powstała też przeciwko dyrektorowi i jego towarzystwu wrzawa tak wielka, iż żaden z dawnych protektorów wędrownej sceny nie miał odwagi stanąć w jego obronie.

Czyją sprawką było pojawienie się Szpaczka, o tem rozmaite krążyły pogłoski. Jedni utrzymywali, że to była sprawka pani aptekarzowej, która pijanego szewca namówić miała do tego kroku, drudzy twierdzili, że to był figiel panny komisarzówny, która w ten sposób spodziewała się obrzydzić panu adjunktowi „komedye i komedyantki.” Byli wreszcie i tacy, którzy dowodzili, że to był przypadek, ani bowiem pani aptekarzowa, ani panna komisarzówna nie były w stanie wymyślić czegoś równie dowcipnego.

Cokolwiekbądź, intryga, czy też fatalność, dość

że się teatr błotowski nie mógł już podnieść z tego ciosu. Napróżno usiłował Widerkiewicz czas jakiś walczyć z przeciwnościami, zapowiadając coraz to bardziej jarmarczne widowiska; zniechęcona publiczność nie dała się przebłagać i stroniła wytrwale od jego szopy. Koniec końców przyszło do bankructwa;—Herszko położył areszt na dekoracyach i garderobie, zadając w ten sposób cios ostateczny pomysłowemu dyrektorowi, i towarzystwo rozpierzchło się, jak stado kuropatw, skoro zabitym zostanie kogut, który mu przewodził.

O tem wszystkiem nie wspominaliśmy oczywiście biednemu poecie, unikając pilnie wszystkiego, coby się dlań mogło stać powodem wzruszenia.

Tymczasem powrócili ajenci moi ze swych wycieczek, ale niestety, żaden z nich nie przywiózł mi pożądanych wiadomości. Ani w Błotowie, ani też w poblizkich miasteczkach i wsiach nie udało się namówić rzemieślników do kupna wiejskich parceli. Wszystkie nadzieje rozbiły się o uprzedzenia tych ludzi, którzy wzbiwszy się ponad chłopów, poczytywali się za coś lepszego i uważali osiedlenie się na chłopskich gruntach i pracę rolną za despekt dla swego mieszczańskiego honoru.

Przekonawszy się dowodnie o niemożliwości przeprowadzenia tego interesu, pożegnałem mego zacnego gospodarza i wyjechałem do Lwowa. W Błotowie zatrzymałem się na poczcie, aby zabrać listy, które do mnie nadeszły, i wysłać depeszę do banku, donoszącą o moim powrocie. Z ciekawości wstąpiłem do przybytku „największych panów”, gdzie nie zastałem nikogo. Na stole, około którego przed dwoma tygodniami tak gwarne kipiało życie, wylegiwał się drzemiąc kot sklepowy;—z drugiego pokoju dolatywało przeciągłe chrapanie.

— Łut kawioru i pół butelki porteru! — zawołałem, uderzając laską o kramnicę, ażeby kogoś ze służby przywołać.

Z przerażoną twarzą wybiegł do mnie subiekt handlowy, wielce zdziwiony tem niespodziewanem żądaniem. Widocznie popadło było miasteczko w swój letarg zwyczajny po odjeździe teatru, który je niegdyś galwanizował swem gorączkowem życiem.

Wpośród zawodowych zajęć i rozrywek zapomniałem wkrótce o Terpiłówce, parcelacyi, Widerkiewiczu, błotowskim teatrze i biednym poecie. Jednakże w rok jakoś po tych zdarzeniach spotkałem pana Stanisława we Lwowie u Żorża na obiedzie. Spostrzegłszy mnie, ucieszył się wielce i zaprosił do swego stolika. Dowiedziałem się z wielką przyjemnością, iż mu się powiodło uskutecznić większą sprzedaż lasu, dzięki której stawia folwark na Majdanie i ma nadzieję podnieść znakomicie swe gospodarstwo.

— Cóż Grzybowski? — zapytałem w toku rozmowy, przypomniawszy sobie biednego poetę.

— Waryat, proszę pana, oczywisty waryat!... Zakontraktowawszy sprzedaż lasu, oddałem mu kontrolę nad tym interesem. Prowadził ją przez cztery miesiące najsumienniej i chyba już nie znajdę równie pilnego i zacnego urzędnika. Nieszczęście chciało, że mu do rąk wpadła gazeta z doniesieniem, że Widerkiewicz i Gołębska zawiązali nowe towarzystwo. Nie sposób było waryata utrzymać. Perswadowałem, zwlekałem, prosiłem, ażeby się zatrzymał do czasu, aż sobie znajdę nowego urzędnika. Nic nie pomogło... Uciekł mi piechotą z Terpiłówki. Musiałem mu rzeczy i należne pieniądze pocztą wysłać do Drohobycza.

Wenus w podróży.

Pewnego dnia—a był to gorący dzień czerwcowy — zstąpiła Wenus Milezyjska ze swego piedestału...

Sprzykrzyło jej się być wiecznie przedmiotem uwielbienia gapiących się u stóp jej filistrów. Znudziły ją komunały o doskonałem pięknie, o sztuce, o naturze, które się nieustannie obijają o jej uszy.

Zaczęła powątpiewać, ażali prawdziwemi są te zachwyty, jakie ogólnie budzi prawdziwa doskonałość jej kształtów. Umyśliła tedy puścić się w świat *incognito*, aby się przecież raz przekonać, czy też istotnie boskie wdzięki jej tak powszechny wzbudzą podziw, gdy nieznana i aureolą sławy nieotoczona zjawi się wpośród ludzi.

Energiczna to bardzo kobietka!... Już Horacy i Owidyusz podnosili ten ciekawy rys jej charakteru. Nie zwlekając zatem, wykonała to, co umyśliła. Skorzystawszy z przywileju, który, jak wiadomo, służy boginiom, uczyniła się na chwilkę niewidzialną, zmyliła czujność strażników galeryi, i wymknęła się niepostrzeżenie z Louvru na ulicę.

Pojawienie się nagiej kobiety na asfaltach bulwaru ściągnęło w mgnieniu oka tłumy ciekawych. Zuchwalstwo tego wystąpienia było istotnie très chic,

i *pschutt*, i *v'lan!* Ze wszystkich też stron śpieszyła gawiedź, przynęcona wonią skandalu. Mężczyźni otoczyli boską, pożerając oczyma cudowne jej kształty. Niektóre kobiety przypatrywały jej się ciekawie i zazdroszcząc, bardziej może zachwycone bezczelnością jej występu, aniżeli czarownym powabem. Inne odwracały oczy z wstydliwem oburzeniem.

— *Oh là là une folle, une folle!* — wołały gawrosze, przypadając do niej i śmiejąc się do rozpuku.

Zanurzona w zgiełkliwym tłumie, nie mogła kroku postąpić bogini. Ciżba otaczała ją zewsząd żywym pierścieniem; śmiech i wrzawa rosły z każdą chwilą... Stała więc milcząca, zakłopotana i bezradna, rozmyślając, czyby nie wypadało się ulotnić i wrócić do bezpiecznego schronienia, gdy wtem przystąpiło do niej dwóch sergotów.

— *M'mzelle! s'il vous plait!*—rzekł jeden z nich, ujmując ją grzecznie pod ramię, podczas gdy ją drugi bez ceremonii za prawą rękę pochwycił.

I przywoławszy zakrytego fiakra, usadowili „niezwalczoną" w karecie. Jeden z nich wsiadł z nią do powozu.

— *Au violen!*—zawołał na woźnicę.

Konie ruszyły, wóz się potoczył, i *mater amorum invicta* odjechała w towarzystwie sergota, by stanąć przed komisarzem policyi.

* * *

Dygnitarz ten był przystojnym, mniej więcej czterdziestoletnim mężczyzną, ale bujne życie paryzkie wycisnęło na jego twarzy i całej osobie owo piętno znużenia i przedwczesnej zgrzybiałości, które właściwe jest tym, którzy zbyt prędko żyli. Z oczu jego wygasłych wyczytać można było snadnie, iż dla przytępionych zmysłów jego utraciły już ponętę

uciechy proste i niewyszukane — takie, jak je nam przynosi życie.

Widocznem było, że sama rozkosz wystarczyć mu już nie może, i że dla obudzenia zmierzchłych żądz jego potrzebuje ona koniecznie jakiejś przyprawy, jakiejś domieszki—mniejsza o to, chociażby nawet zgnilizny, któraby „pańskim" zapachem swoim smak jej podniosła. Ideałem jego mogła być tylko kobieta w rodzaju tej, która w tej chwili siedziała w jego gabinecie—niemłoda już, zwiędnięta, dosyć pospolita, ale wytresiona, wymalowana, wykosmetykowana, wonniejąca, jednem słowem, pełna tego, co się szykiem nazywa, a niekiedy i przez niektórych wyżej cenionem bywa od piękności.

Komisarz spojrzał sennem okiem na aresztantkę.

— Waryatka — pomyślał, przypatrując się jej z uwagą.

— Kto pani jesteś?—zapytał z litośnym uśmiechem.

— Wszak pan widzisz — odparła w poczuciu swej piękności.

— No, tak, widzę—odparł jowialnie.—Ale chciałbym się dowiedzieć, jak się pani nazywa?

— Nim panu na to odpowiem, zechcij mi wytłómaczyć, dlaczego mnie tu przyprowadzono?

— Wszakże to rzecz jasna—zaśmiał się komisarz.—Jak mogłaś pani tak... bez wszelkiego ubrania wyjść na ulicę?

— Nie czułam wcale zimna; owszem, znajduję, że dzień dzisiejszy bardzo gorący.

— *Elle est impayable!*—szepnął komisarz, zwracając się do swej przyjaciółki. — I jeżeli nie jest waryatką, to istotnie trudno odmówić szyku jej czelności.

— *Elle est rouée comme potence* — odparła wymalowana jejmość ze śmiechem.

— No, tak, niezawodnie—rzekł komisarz, zwracając się znów do oskarżonej. — Mieliśmy dziś dwa-

dzieścia pięć stopni w cienu... Prawdopodobnie wpłynął też upał ten na postanowienie pani... Z tem wszystkiem jednak, czy pani nie czujesz, żeś się wybrała zbyt lekko?

— Bynajmniej. Wszak miałam już przyjemność oświadczyć panu, iż wcale zimna nie czuję.

— A srom, a względy moralne — ciągnął dalej komisarz z lekkim odcieniem ironii.

— Czyż to jest wina, którą mi zarzucają?—spytała oskarżona, patrząc na niego z zadziwieniem.

— Nie inaczej, łaskawa pani... Czy pani tego nie pojmujesz?

— Oczywiście, że nie.

— Zechciejże mi pani wyłuszczyć swe poglądy.

— Z największą chęcią - odparła Wenus.—Ani wątpię, że się pan ze mną zgodzisz, bo to, co myślę, uznanem jest, o ile wiem, powszechnie.

— Słucham, słucham.

— Pozwoli pan, że go wprzód zapytam, czy jestem piękną?—rzekła naiwnie bogini.

— To rzecz gustu — odparł komisarz, przypatrując się jej ciekawie. — Co do mnie przynajmniej, wolę kobiety rude od blondynek... Rudy kolor włosów jest bardzo modnym w tej chwili.

— Nie o to mi chodzi, pytam pana, czy nie znajdujesz, iż jestem piękną bezwzględnie?

— Hm, dziwne pytanie—rzekł, śmiejąc się komisarz.—Dajmy na to, że tak; cóż dalej?

— Wtedy muszę pana jeszcze zapytać, czy pan jesteś idealistą czy realistą, naturalistą czy werystą, impresyonistą czy też symbolistą, bo od tego zależeć będzie to, co panu odpowiem.

— Ściśle rzeczy biorąc, nie mam w tej mierze wyrobionego zdania, przypuśćmy jednakże, iż jestem idealistą, cóż wtedy?

— Wtedy pan nie możesz upatrywać nic zdrożnego w mojem wystąpieniu, bo pojęcie doskonałego

piękna łączy się z pojęciem dobra, a tem samem niemoralnem być nie może.

Komisarz i utrefiona dama wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Widzę—rzekł pierwszy—że pani nader pilnie studyowałaś Cousina...

— Tak jest, panie—przerwała bogini.—Ale już greccy filozofie stwierdzili łączność nierozerwalną piękna i dobra... Wszak pan musiałeś słyszeć coś o kalokagatii?

— Słyszałem, słyszałem — odparł dygnitarz z drwiącym uśmiechem.—Lecz to wcale sprawy nie zmienia... Zechciej mi pani wymienić swe nazwisko i powiedzieć, gdzie jest twoje mieszkanie—dodał, biorąc pióro do ręki, ażeby spisać protokół.

— Czy ta wiadomość panu koniecznie jest potrzebna?

— No, jakże?... Przecież muszę wiedzieć, kim pani jesteś.

— To musi pozostać tajemnicą.

— Zmiłuj się pani... To przecież niepodobna... Nagą pani pozostawić nie mogę... Muszę kogoś posłać do twego mieszkania, aby ci przyniósł jakieś okrycie.

— Nie mam żadnego.

— Jakto?... Wszak pani nie zechcesz utrzymywać, żeś się dotąd obchodziła bez najpotrzebniejszego odzienia?

— Nie inaczej.

— Hm—mruknął zniechęcony.—W takim razie pozostaje mi tylko przekazać sprawę pani sądowi policyi poprawczej, co z wielką będę uczynić musiał przykrością.

— *Sergeant!*—dodał, zwracając się do stojącego przy drzwiach żołnierza.—Postaraj się w magazynie o szaty jakieś dla tej pani i odprowadź ją następnie do więziennej celi.

* * *

Bogini udała się milcząc za swym przewodnikiem. Nie zdawało jej się, aby jowialny komisarz żywił względem niej srogie zamiary. Daleko groźniej od niego wyglądał nieboszczyk mąż jej, Wulkan, w chwili, gdy jej wyrzucał zbytek uprzejmości dla walecznego—Panie świeć jego duszy!—Aresa.

A jednak i to się przebyło!... Jowisz, Mars i Wulkan pomarli, cały olimp pogański runął w gruzy, a ona trwa jako uosobienie doskonałej harmonii, jako ideał niezrównanego piękna, wiekuista, niezwalczona! Dlaczego więc nie miałaby przebyć złego humoru komisarza, którego zewnętrzny wygląd i u.ożenie świadczą wymownie, iż nie musi bywać srogim dla płci niewieściej.

Z tem wszystkiem dziwiła ją wielce przygoda, jakiej doznała. Poobtłukane ręce odrosły jej były cudownym sposobem. Jaśniejąca majestatem doskonałego piękna, sądzila się bezpieczną od wszelkiego szwanku, a oto siedzi w więziennej celi w aresztanckiem ubraniu, oskarżona o wykroczenie przeciwko moralności publicznej.

— Co za dziwacy ci ludzie—myślała, podparłszy śliczną główkę różaną dłonią. — Czego oni właściwie chcą odemnie?... Wszak to, co dotychczas widziałam, wcale się nie zgadza z tem, co z ust ich słyszalam po tysiąc razy. Komisarz policyi mówił, że jest idealistą, a mimo to osadził mnie w więzieniu...

— No, nie mam do tego żalu—dodała po chwili z uśmiechem—bo debiut mój na ulicy zachwiał grubo wiarę moją w kalokagatię... Mężczyźni pożerali mnie oczyma, w których płonęła zwierzęca pożądliwość... Kobiety przypatrywaly mi się z zazdrością, inne odwracały się z gniewem odemnie; ulicznicy szydzili z mej ułomności, sądząc, iż jestem szaloną... Oto są uczucia, które wzbudziłam swoim widokiem... uczucia z pewnością niemoralne!.. Gdzież więc jest

owa nierozerwalna łączność pomiędzy pięknem a dobrem, o której bają idealiści?

— Mimo to nie powinniby mnie więzić ci ludzie—ciągnęła dalej marząc — jeżeli rzecz tę wezmą ze stanowiska, na którem stoją realiści, naturaliści i weryści, boć przecie twierdzą, iż zdrożnego nie ma nic w naturze... „Prawda, nie ma nic nad prawdę!" wołają w niebogłosy. Toż przecie prawdą jest twarz moja, ręce, nogi i wszystko ciało... Symboliści by mnie także potępić nie powinni, jeżeli zważą, iż harmonia kształtów moich jest uzewnętrznieniem i symbolem wewnętrznej harmonii.

— Nie, nie ma obawy!—dodała, nabierając otuchy.—Tak, czy owak, łaskę u nich znaleźć muszę... Systematy ich filozoficzne kulawe są, to niezawodne! Panuje w nich, tak jak niegdyś przy budowie wieży Babel, pomieszanie języków. Ale ponad tym zgiełkiem i gwarem kłócących się z sobą estetycznych szkolarzy unosi się w chwale swojej absolut piękna, wszystkim widomy, przez wszystkich odczuty i pojęty. Otóż w imię tego doskonałego piękna, którego jestem wyobrazicielką, nietylko mnie wszyscy unie winnią, ale i wszyscy uwielbią.

* * *

Tak rozmyślała bogini, siedząc w swej celce, ubrana w grubą aresztancką odzież, gdy wtem znów wszedł sergot i zawezwał ją do komisarza policyi.

— Uwalniam panią—rzekł dostojnik uprzejmie— na prośbę mej przyjaciółki, która się zainteresowała twym losem. Postanowiła cię zabrać z sobą i otoczyć swoją opieką... Spodziewam się, że jej nie dasz powodu do skargi i że będziesz zadowoloną z losu, który ci się trafia. Suknie, które ci tu dano w magazynie, odeślesz mi, skoro w nowe obleczesz się szaty.

Bogini spojrzała na swą opiekunkę, która się jej przypatrywała przez złotą lornetkę oczyma jubilera, szacującego wartość jakiegoś klejnotu. Zrazu chciała Wenus rzucić się na szyję swej orędowniczce, ale wzrok zimny utrefionej damy powstrzymał ją w tym zapędzie. Podała jej więc tylko rękę, wynurzając kilku słowami swe podziękowanie.

— Nie tracąc czasu, jedziemy do domu! — zawołała przyjaciółka komisarza. — Mam zamiar wziąć cię z sobą dziś do *Folies Bergère*... Musisz się więc wprzód ogarnąć i zwlec to szkaradne aresztancie ubranie.

— *Au revoir mon p'tit chien!* — dodała, podając rękę komisarzowi policyi.

— *Au revoir ma biche!* — odparł dygnitarz, odwzajemniając uścisk jej dłoni.—*Au revoir mam'zelle*— dorzucił ze skinieniem głowy w stronę bogini.

Po chwili unosił powóz obiedwie kobiety ku jednemu z wykwintnych przedmieść Paryża.

— *T'es gentile ma p'tiote!*—rzekła ukosmetykowana jejmość pieszczotliwie, ściskając rękę bogini.— Brak tobie wprawdzie *du chien*, ale to się znajdzie z czasem. Już ja się tego podejmuję, aby cię przerobić na nasze podobieństwo. W *Folies Bergère* zobaczysz mnóstwo bogatych ludzi; cały paryzki świat wykwintny... Nie wątpię, że znajdziesz tam wielbicieli. Jeżeli będziesz rozsądną, to z pewnością zrobisz karyerę... Wszak wiesz, że Paryż jest stolicą świata; powiadają, że to piekło koni, ale raj kobiet... kobiet takich, jak my, *ça va sans dire!*

— Cóż więc mam robić?—zapytała Wenus ciekawie.

— Oh, bagatela!... To samo, co i my — zaśmiała się utrefiona.—Śmiać się, bawić, hulać, traktować mężczyzn *en canaille*, oszukiwać ich, obdzierać z ostatniej skóry, rzecz wcale łatwa... Zresztą, występ twój dzisiejszy na ulicy i rozmowa z Arturem świadczą, że masz główkę nie dla formy tylko, że

jesteś śmiałą i że będziesz wiedziała, co masz zrobić w każdej okoliczności... Tylko, *ma cherie*... jak ci na imię?

— Wenus.

— Puah! Cóż za ohyda!... To starzyzną trąci już zdaleka. Będziesz od tej chwili Zulmą. Zulma, to arabskie imię. Imiona takie są *très bien portés*, *très sgoff*, obecnie.

— Otóż, moja kochana Zulmo, bawiąc się miłością, trzeba, żebyś jej broniła przystępu do własnego serca. Będę zresztą czuwała nad tobą; otoczę cię troskliwą opieką, a ty wzamian musisz mi się zwierzać ze wszystkiem, nie tając nic przedemną... Czy rozumiesz?

— Rozumiem.

— Bo to widzisz, moja Zulmo, nie ma dla nas większego nieszczęścia nad miłość... Kobieta naszego stanu, gdy się zakocha, traci głowę i leci nieodzownie w przepaść, ziejącą pod naszemi nogami. I nikt się nawet nie ulituje nad nią, gdy zginie, bo upadek jej śmiesznością jest tylko, nic więcej. Czy znasz „Dziewice z kamienia" Ponsarda?

— Słyszałam o nich.

— Otóż takiemi dziewicami z kamienia powinnyśmy być, jeżeli chcemy uniknąć sromotnego upadku.

— Ja właśnie jestem dziewicą z kamienia—odparła Wenus z uśmiechem.

Przybywszy do swego mieszkania, zabrała się Lea — tak było na imię przyjaciółce komisarza — do przeistoczenia bogini na obraz i podobieństwo paryżanek. Ale Wenus nie chciała żadną miarą słyszeć ani o farbowaniu włosów na kolor rudy, ani o napuszczaniu oczów atropiną, ani o różu, ani o bielidle, ani o podmalowywaniu oczów chińskim tuszem, ani o żadnej rzeczy, które *pschut'tu* są.

— Cóż znaczyłaby piękność — wołała—jeżeliby koniecznie potrzebowała jakichś domieszek, jakichś

sztuczek? Piękność jest prawdą, a nie fałszem i sztuczką. Jeżeli zatem piękną jestem, to się spodobam bez kosmetyków.

— Rób, jak chcesz—odparła Lea.—Może masz i słuszność! Paryżanie zmienni są; może być zatem, iż zrobisz wrażenie, będąc inną od innych i występując wolna od fałszów, jaśniejąca szczerością swej urody. Tylko o jedno prosić cię będę gorąco: weź gorset koniecznie. Nie będzie cię gniótł wcale, bo to gorset hygieniczny.

— Ależ nie, daj mi pokój!

— Spójrz tylko, jak grubą jesteś w pasie, daleko grubszą odemnie. Żadna z mych sukien ci się nie przyda. Chybabyś wzięła którą z mych przeszłorocznych—dodała z westchnieniem.

— To daj mi którą z nich—rzekła bogini.

— Ależ nie, to nie ma sensu!—zaprotestowała Lea. — Nie mogłam wtedy nosić gorsetu. Wyglądałabyś, jak wieża Eifel, bez żadnego wcięcia w pasie.

— Za nic w świecie nie włożę gorsetu.

Chwilę jeszcze nalegała Lea. Wreszcie, widząc, iż nie przekona upartej, przychyliła się do jej żądania.

Ubrały się więc każda po swojemu: jedna wygorsowana, wytrefiona, wymalowana, wykosmetykowana, woniejąca, jak saszecik piżmowy — druga, jaśniejąca szczerością swej urody, w sukni skromnej, zbyt przestronej, nie uwydatniającej wdzięku jej kształtów, i wsiadłszy do fiakra, kazały się wieźć do wykwintnego teatrzyku.

* *

Rzecz dziwna! Tu, w tej dusznej atmosferze, przesiąkniętej wonią odurzających pachnideł, pod surowem światłem lamp elektrycznych, pośrod tego przepychu, będącego tylko dziełem nieudolnej ludz-

kiej ręki, w otoczeniu kobiet, których cała piękność jest sztuką jeno, fałszem i ułudą, zmierzchła ponęta bogini.

Duże jej błękitne oczy wydawały się małemi w porówaniu do oczu, podmalowanych chińskim tuszem, a blask ich nie dorównywał blaskowi źrenic rozszerzonych atropiną. Alabaster jej ramion i karku nie mógł iść w zawody z bielidłem, które pokrywało ramiona innych kobiet; róże lic jej zbladły w zielonkawem świetle, a koral ust nie wytrzymywał porównania z ustami malowanemi karminem.

Te z kobiet, które mniej miały od niej włosów, a ubóstwo swoje łatały szynionem, przewyższały ją sutym warkoczem. Cera jej wydawała się grubą, przy cerze tych, które ultramaryną wymalowały siatkę żył na wytynkowanem ciele.

Milcząca i poważna w majestacie swej piękności, gasła wobec tych kobiet, które ku sobie rwały oczy wyzywającem spojrzeniem, hałaśliwym uśmiechem i wesołością, pełną wyuzdanej swobody.

Bogini czuła to, iż mierzchnie w tem otoczeniu i że sztuka, blichtr i fałsz tryumf nad prawdą i pięknem odnoszą. Ale uczucie to nie upokarzało jej wcale. Zdziwionem okiem patrzyła wokoło ciekawie, nie pojmując zaślepienia tych ludzi, mijających prawdę, a goniących za kłamną ułudą. To, co zachwycało ten tłum bezmyślny, wydawało jej się szpetnem i pospolitem. A jednak wszystkie twarze dokoła gorzały, wszystkie oczy błyszczały, wszystkie usta śmiały się rozkosznie. Widocznem było, iż ludzie ci używają tu pełni uciechy.

Zamknąwszy się w poczuciu własnej wyższości, kroczyła obok Lei milcząca wzdłuż ścieżek palmowego ogrodu. Tu i owdzie witały jej towarzyszkę kobiety, tak jak ona wystrojone, wymalowane i jaśniejące brylantami. Od czasu do czasu zbliżał się do niej jakiś mężczyzna, o znużonej twarzy i zuchwałem spojrzeniu, ażeby z nią kilka słów wymie-

nić. Na boginię nie zwracał nikt baczniejszej uwagi. Szła zamyślona i milcząca, nie ożywiona wcale tą gorączkową wesołością, która wrzała dokoła niej.

— *Sapristi, dégourdis toi donc!* —szeptała jej Lea co chwila na ucho. — Mówiłam ci, abyś się ubrała inaczej... Nie chciałaś, stało się; toż przynajmniej teraz miną nadrabiaj!

Ale napomnienia te nie odnosiły żadnego skutku.

* * *

Lea i Zulma przeszły się kilka razy po ogrodzie; wreszcie weszły do *foyer* i usiadły na kanapie. Jakiś mężczyzna średnich lat, w którym na pierwszy rzut oka poznać można było wykwintnego hulakę, zbliżył się do nich i rozpoczął z Leą rozmowę.

— *Ou diable as tu pêché ce Cendrillon?* — szepnął jej do ucha, przypatrując się bogini z ironicznym uśmiechem.

Lea powiedziała mu, wśród jakich okoliczności poznała swą towarzyszkę.

— Niepodobna! — zawołał, śmiejąc się rubasznie. — Z tą niewinną minką... Ależ to chyba waryatka!

— Zaręczam ci, baronie, że ma głowę zdrowszą odemnie i od ciebie.

— *Merci du compliment!*—odparł z udanym dąsem—ale pozwolisz, że temu nie uwierzę...

— Dlaczego?

— Bo ją widzę w twem towarzystwie, a na tej przyjaźni ty możesz tylko dobrze wyjść, nie ona.

— *Farceur!* — zaśmiała się Lea, uderzając go wachlarzem po ramieniu.

— No i cóż ty z nią zrobić zamyślasz?—zapytał znów mężczyzna.

— Wprowadzam ją w świat... Piękna jest; może się jej los jaki zdarzy.

— Wiesz co, zawieź ją do Pekinu... Tam właśnie wybierają żonę dla cesarza... Możesz na tej swadźbie zrobić interes złoty.

— Głupstwa gadasz, baronie.

— Bynajmniej, mówię ci szczerą prawdę... Tu nie zrobicie interesu. Mówiłem przed chwilą o tem z Raulem i z James'em, bośmy was zauważyli w chwili, gdyście weszły do ogrodu. Wszyscy się zgodzili na to, że pupilka twoja niema widoków. *Ch'est iune „outsider!"* [1]) — powiedział lord James.

— Dlaczego?... Czyż nie jest piękną, młodą?— zapytała Lea skwapliwie.

— Niema szyku.

— Bo młoda jest... niedoświadczona!... Surowy jeszcze materyał, ale się z czasem wyrobi.

— Jakaś ty naiwna, moja Leo... Czy myślisz, że któryś *fin de siècle* ostrzyłby sobie zęby na niegotowe rzeczy.

— Niegotowe, niegotowe! — zawołała Lea. — Dajcie jej tylko hotel, służbę, konie, perły, brylanty, a zaręczam wam, że zaćmi wszystkie gwiazdy *fashionu*.

Mężczyzna rozśmiał się ironicznie.

— Nie, moja Leo, nie—rzekł, podając jej rękę do pożegnalnego uścisku.—Radzę ci stanowczo, jedźcie do Pekinu... Zobaczysz, że mi kiedyś podziękujesz za dobrą radę.

To rzekłszy, wykręcił się na obcasie i poszedł ku ogrodowi.

Zaniepokojona tem, co powiedział, spojrzała Lea w stronę, gdzie przed chwilą siedziała jej towarzyszka. Jakież było jej zdziwienie, gdy jej nie spo-

---

[1]) Koń wyścigowy, do którego nikt niema zaufania.

strzegła. Tylko suknie, które jej była pożyczyła, leżały porzucone na kanapie. Usłyszawszy to, co mówił mężczyzna, ulotniła się nie tracąc czasu bogini.

* * *

Jakim cudem dostała się Wenus do Pekinu, tego wytłómaczyć nie jestem w stanie. Prawdopodobnie zajechała tam, wsiadłszy na promyk którejś z gwiazd Wielkiego Wozu. A może się tam przeniosła wysiłkiem woli, w sposób taki, jak ten, który został opisanym przez Flammariona w *Uranii*.

Cokolwiekbądź, pewnem jest, że w dniu piątym miesiąca drewnianego psa, pierwszego roku panowania obecnego cesarza chińskiego, co najzupełniej odpowiada porze, w której opuściła *Folies Bergère*, znalazła się w Pekinie, w pałacu cesarskim, wśród owych tysiąca dziewic, z pomiędzy których miano wybrać kandydatki na żonę dla młodego władcy.

Komisya, złożona z dwunastu radców pod przewodnictwem mandaryna o szklanym guziku, księcia Beng-Ceng-Deng (trzykrotne *tschyn* jego imieniowi!), miała dokonać tego wyboru. Wenus stanęła na prawem skrzydle orszaku dziewic, przewyższająca głową swe poprzedniczki, i miała, jako numer pierwszy, poddać się ocenie światłej komisyi.

— Co to za olbrzymka? — rzekł książę Beng-Ceng-Deng, który był małego wzrostu, przypatrując się ciekawie bogini. — Zapewne gdzieś aż od granic cesarstwa, tam, gdzie się rasa nie przechowała w nieskazitelnej swej czystości.

— Niezawodnie—wtrącił jeden z radców.—Cerę ma białą, jak papier, podobną do cery europejskich barbarzyńców... Ani się umyła do cery naszej rasy, jaśniejącej barwą dojrzałej cytryny.

— I oczy jakieś dziwne—dodał drugi—całkiem proste, nie ukośne wcale... Już z tego samego powodu przyznać jej piękności nie mogę.

— Patrzcie na jej policzki — zawołał przewodniczący. — Widzicie, jak są brzydko gładkie... Nie widać wcale kości, która przecież wystawać powinna.

-- A te nogi!... Niech wasza książęca mość raczy popatrzeć na nogi — zauważył któryś z sędziów. — Osobliwa rzecz, że jej nie krępowano nóg w dziecinnych latach.

— Ha, ha, ha, istotnie! Cóż to za stępory olbrzymie — zaśmiał się książę. — Zrujnowałaby skarb cesarski wydatkiem na pantofle.

Niewybredny dowcip mandaryna wywołał huczne śmiechy. Członkowie komisyi przypatrywali się ze zdziwieniem nogom bogini, szydząc z ich wrzekomej wielkości. Każdy z nich sadził się na dowcip, śmiejąc się do rozpuku.

— No, mój kwiecie lotosu — rzekł w końcu książę — wracaj do tych, którzy cię tu przysłali... Wszak prawda, moi panowie, że te nogi... ha, ha, ha!... że te nogi... hu, hu, hu!... są dostatecznym powodem do usunięcia kandydatki od konkursu.

— Oczywiście!—zabrzmiały głosy.

— Wszak zgadzacie się na to wszyscy?

— Wszyscy, wszyscy!

— No, moja kochana — zaczął książę i urwał nagle. —Cóż u licha! Gdzież się podziała?... Nawet i nóg jej nie widać, choć przecież dosyć wielkie, ha, ha, ha!... Prawdopodobnie skryła się zawstydzona... No mniejsza o to; czas nagli! Przystąpmy do badania zalet drugiej kandydatki.

*
* *

Nie większe powodzenie znalazła Wenus i w innych krajach, jakkolwiek niemal całą w swej wędrówce zwiedziła ziemię. W Holandyi, gdzie ideałem niewieściej piękności są rubensowskie typy, nie przyznano jej wdzięku, twierdząc, że jest nadto chuda.

Doskonała piękność w tej krainie powinna ważyć co najmniej trzysta funtów i wyglądać tak, jak gdyby była ulepiona ze szmalcu.

Podobny sąd wydano o niej i w Turcyi, bo i tam jest tusza nieodzownym warunkiem piękności. Gdziekolwiek się pokazała, wszędzie się dopatrzono czegoś, co nie odpowiadało miejscowym pojęciom o doskonałem pięknie. Tu była za dużą, owdzie znów za małą, a jaki przeciwko niej podniesiono zarzut u Hottentotów, tego powiedzieć nie mogę, bo papier, aż dotychczas cierpliwy, gotówby się znarowić.

Nawet w Niemczech, gdzie powstała myśl o istnieniu absolutnego piękna — o piękności *an sich*, jak mówią filozofowie niemieccy — nawet w Niemczech nie oddano jej należnego hołdu. Z cyrklem w ręku zabrał się jakiś anatom do mierzenia jej kształtów, i znalazł, że prawe jej ucho jest niżej osadzonem od lewego, a prawa część czaszki węższą od lewej... *Es geht Nichts über die deutsche Gründlichkeit!* Nie masz jak gruntowność niemiecka!

Niezrażona temi niepowodzeniami, przybyła Wenus w końcu do Warszawy i... wpadła do mego pokoju.

Jakim sposobem wniknęła do mojej izdebki? Wleciała tam przez okno na promieniu księżyca. Dlaczego mnie właśnie zaszczyciła swojemi odwiedzinami? Tego nie wiem! Prawdopodobnie uczyniła to z wdzięczności, bacząc na to, że byłem zawsze wiernym jej czcicielem. Ale nie, to niepodobna! Wdzięczność nie należy wcale do przymiotów niewieścich. Niezawodnie był to więc kaprys tylko, któregoby sama nie zdołała wytłómaczyć. Cokolwiekbądź, dzięki jej i za to. Tyle się człowiek w życiu nacierpi z powodu niewieścich kaprysów, że doznać z ich przyczyny miłego wrażenia jest niewątpliwie niespodzianką, za którą wdzięcznym być wypada.

*
* *

— Mam prośbę do ciebie, mój poeto — rzekła, opowiedziawszy mi przygody swej dotychczasowej podróży.—Jak widzisz, nie zrażam się wcale... Przybyłam tu do Warszawy, ażeby wystąpiwszy raz jeszcze *incognito*, przekonać się ostatecznie, ile jest prawdy w tem, co się w Paryżu codzień obija o moje uszy... Chcę się dowiedzieć, czy rzetelnemi są zachwyty filistrów, gapiących się od lat tylu przedemną; czy istnieje pojęcie absolutu piękna, żyjące w piersiach każdego człowieka i zrozumiałe każdemu umysłowi?

— Otóż, mój kochany—dodała, kładąc mi poufąle rękę na ramieniu i topiąc w oczach moich oczów swych szafiry — proszę cię, powiedz mi, jako znający to miasto,. gdzie się mam ludziom pokazać, w jakich warunkach i t. d., ażeby cel mój osiągnąć?... Znudziły mnie dotychczasowe moje niefortunne występy i dlatego umyśliłam pójść za twoją radą.

Żądanie jej wprawiło mnie w kłopot niemały. Nie chciałem odmówić prośbie, która w jej ustach była rozkazem, a bałem się narazić ją na szwank, o którym, znając naszą publiczność, wiedziałem, iż jest nieunikniony.

— Gdybyśmy tak ogłosili — rzekłem wymijająco—że Wenus Milezyjska przyjechała do Warszawy, tobym mógł ręczyć za olbrzymie powodzenie.

— Drwisz chyba—odparła.—Wszak wiesz, że chcę wystąpić *incognito*.

— No tak — bąknąłem zakłopotany. — Możeby jednak można powiedzieć, że sławna piękność, która w Paryżu ogólne budzi uwielbienie...

— Cóż znowu—przerwała niecierpliwie.—Przecież ci mówiłam o przygodach, jakie mnie spotkały w Paryżu.

Nie było rady; musiałem być szczerym.

— Widzisz, moja pani—rzekłem—co do mnie, spodziewam się, że nie wątpisz wcale, iż jak zawsze, gorącym twoim jestem czcicielem... Ale publiczność

nasza... jakżeby to powiedzieć?... publiczność nasza jest wielką panią i nie lubi się trudzić myśleniem... Trud ten pozostawia ona Anglikom, Niemcom, głównie zaś Francuzom, do których szczególniejsze ma zaufanie... Właściwie mówiąc, widzi ona wszystko oczami Francuzów i czeka zawsze na to, co Paryż orzeknie, aby sobie potem przyswoić to zapatrywanie.

Gdy to mówiłem, błysnęła mi nagle myśl nowa.

— Mam!—zawołałem uradowany.

— Cóż takiego?—spytała ciekawie.

— Mamy tu kółko ludzi, którym publiczność nasza powierzyła trud myślenia o rzeczach takich, o jakich nie można zasięgnąć zdania z Paryża... Ogół nasz ufa ślepo temu, co powiedzą... Oni robią deszcz i pogodę w naszem mieście... Otóż więc zaprosimy ich, aby orzekli, co sądzą o twojej piękności... Nie wątpię, iż będą zachwyceni twoim widokiem i rozniosą twoją sławę dokoła, a wtedy publiczność nie odmówi ci swego uwielbienia.

— A więc publiczność tutejsza jest trzodą owiec Panurga, nie mogącą się obejść bez reklamy? — spytała żałośnie.

— No, niby tak; ale cóż w tem dziwnego?... Ufa ona ślepo tym ludziom, którzy, zasłużenie czy niezasłużenie, w to nie wchodzę, ale, bądź co bądź, stanęli na świeczniku.

— Któż są ci panowie, którym chcesz powierzyć sąd o mojej piękności?

— Oh, ludzie zacni i światli; ci sami, którzy u nas sądzą wszystkie konkursy... Wezmą udział w tym sądzie pp...

* * *

Wymieniwszy kilka nazwisk, urwałem nagle, widząc, że przy mnie już niema nikogo. Bogini znikła; *abiit, erupit, evasit!* jak mawiał nasz profesor ła-

ciny. W miejscu, gdzie siedziała przed chwilą, unosiła się różowa chmurka, a woń lilii, rozlana po pokoju, świadczyła, że to, co widziałem, nie było złudzeniem.

Na podłodze koło kanapy leżał wonny zeszycik, którego tam przedtem nie było; widocznie zgubiła go bogini, uciekając skwapliwie. Podniosłem go drżącą dłonią. Mam cześć wielką dla kobiet piszących, a widok drobnego pisma, którem zeszyt ten był zapisany, podniósł w oczach moich urok boskiej Cyprydy.

Na pierwszej kartce jaśniał szumny napis: „Wycieczka w dziedzinę doświadczalnej estetyki", karty zaś zapełnione były aforyzmami, spisanemi *au hasard de l'inspiration*, i pozostającemi z sobą w luźnym tylko związku. Przepisuję kilka z nich tu, w nadziei, iż jakiś późniejszy filozof zbuduje na tej podstawie estetykę przyszłości.

*

Tak zwana filozofia piękna jest cieniem konia, na którym jedzie cień człowieka. Tem samem prawem, jakiem zbudowano jej systemat, możnaby wznieść systematy filozofii, mody, przypadku, kaprysów niewieścich, wygranej na loteryi i t. d.

*

Niema piękna i niema brzydoty na świecie, pojęcia te bowiem są tylko wypadkową ewolucyą, którą umysł człowieka przebywa.

*

Ideałem piękna dla małpy jest małpa.

*

Gdyby się ludzie rodzili z sześciennemi głowami, toby się im twarz owalna wydawała potwornie brzydką, tak długo, ażby się przyzwyczaili do jej widoku.

*

Największym filozofem był ten, który pierwszy

powiedział: „Nie to piękne, co piękne, jeno to, co się komuś podoba.”

*

Francuzi są Chińczykami zmienności, a Chińczycy Francuzami zastoju.

*

Ogólnie rzeczy biorąc, zmienia się pojęcie piękna wedle czasu i południka, ale i to określenie nie jest dokładnem.

*

Pojęcie piękna jest rzeczą czysto osobistą. Ilu jest ludzi na świecie, tyle jest estetyk, ale i tego nie można brać dosłownie, bo to, co się wyda pięknem człowiekowi w chwili gdy się weseli, będzie budziło jego wstręt w chwilach smutku. Każdy widzi w danym przedmiocie to tylko, co tam wniósł sam... w danej chwili.

*

Estetycy są szarlatanami *(sic)*, a krytyka szkolarska papugą, powtarzającą wyrazy, których nie rozumie.

*

Tak zwana przedmiotowa krytyka jest morskim wężem. Każdy człowiek, o ile nie jest hipokrytą, widzi własnemi oczyma i sądzi własnym umysłem.

*

Estetyka w swoim dzisiejszym stanie jest dziurą, którąby dopiero należało okręcić mosiądzem, ażeby z niej zrobić armatę.

*

Jednem słowem, teorya piękna niema racyi bytu; istnieje tylko teorya wrażeń.

———

Rodzina mojej żony.

Poznałem ją na balu wioślarskim.

Podobała mi się okrutnie.

Zdaje się, że i ja zrobiłem na niej korzystne wrażenie, wybrała mnie bowiem tego wieczora dwa razy do tańca.

Rączka jej drżała w mem ręku. Rozmawiając ze mną, patrzyła z upodobaniem na bukiet, który jej ofiarowałem w kotylionie, a przypinając mi order do fraka — srebrną gwiazdę, we wnętrzu której wśród niezabudek pieściły się z sobą dwa białe gołąbki—spiekła ogromnego raka.

Być może, iż powodem tego wszystkiego było zakłopotanie, nie mające nic wspólnego z moją osobą. Był to pierwszy występ jej w świecie, nic więc dziwnego, że była wzruszoną. Ale ja — tacy to już zawszę ci mężczyźni!—powiedziałem sobie:

— Podobałeś jej się, bratku!... Kujże teraz żelazo póki gorące!

Ażeby zdobyć jej względy, rozmawiałem dłuższy czas z jej matką, tańczyłem z dwiema jej siostrami, z których jedna nie umiała taktu utrzymać, a druga całem brzemieniem swojego ciała zwisła na mojem ramieniu.

Jedno i drugie nie było wcale zabawnem, ale cóż robić! Chciałem się jej podobać, musiałem nadskakiwać jej rodzinie. Przykrość ta zresztą opłaciła mi się sowicie. Zdawało mi się, iż widzi przymus, który sobie zadaję, i że mi jest wdzięczną za tę ofiarę. Oczy jej miały wyraz taki, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Ja wiem, że to nie dla nich, tylko dla mnie i serdecznie panu za to dziękuję.

Wróciłem do domu rozmarzony, śniąc o jej hebanowych włosach, wilgotnych koralowych ustach i drobnych ząbkach, tak białych, tak równych, że człowiek dałby się na kawałki przez nie poszarpać.

Było to śliczne dziewczatko, krągłe, świeże, rumiane, podobne do... Ech! wszystkie porównania wydawały mi się wtedy blademi, tak bardzo oczarowała mnie Helcia swoim urokiem dziewiczym.

Szczególniej upajał mnie dźwięk jej głosu, brzmiący mi teraz w uszach bez przerwy—głosik jasny, świeży, młody, pełen jakiejś dziwnej pieszczoty. Marzyłem o tem, jakieby on modulacye przybierał, wynurzając miłosne zaklęcia i jakby słodko z ust tych brzmiały słowa:

— Ja ciebie kocham nad życie, mój drogi, jedyny!

Była jakgdyby umyślnie na żonkę dla mnie stworzoną. Odgadywałem w niej wszystkie cnoty i zalety, w które, marząc, zwykł byłem stroić upragnione snów swoich ideały.

Na pierwsze zaraz wejrzenie znać było, że jest czystą jak kotek — wrażenie, którego się nie zawsze doznaje, widząc strojną nawet wykwintnisię.

Świeża i skromna jej sukienka harmonizowała wybornie z cerą i barwą jej włosów. Nie było w jej ubraniu nic krzyczącego, nic z owego fałszywego wykwintu, który zdradza próżność i dysharmornię wewnętrzną. Widać było, iż umiałaby poprzestać

na małem i ozłocić sobie przędzę życia, chociażby się na nią szare tylko złożyły nici.

Rozmawiałem z nią wiele w czasie kontredansa.

Oczarowała mnie wdziękiem swej prostoty i jasną duszy pogodą. Mówiła, że lubi taniec, lecz że jej zabawa po za domem nie nęci. O rodzinie swej wyrażała się z wielką czułością, a dźwięk jej głosu i blask jej źrenic świadczyły, że to co mówi, mówi szczerze.

Powiedziała mi, że lubi kwiaty — upodobanie, które, o ile nie wypływa z przelotnego kaprysu, dobrze świadczy o kobiecie. Kwiat wymaga starannej pieczy, trzeba go skrzętnie z kurzu ocierać, wystawiać na słońce, lub też chować w cieniu, pamiętając o nim bez przerwy. Potrzeba na to wewnętrznego spokoju, łagodnego usposobienia i dobrotliwości, potrzeba nawet pewnego zasobu poezyi, nie tej, która się do orlich zrywa lotów, bo pozałamywawszy trzewiki, nie umie chodzić po ziemi, lecz tej, która ziemską glinę ozłaca i opromienia swym urokiem.

Na tle tych wrażeń zacząłem haftować czarowne sny—uroczą sielankę, w której Helcia żyła przy moim boku. Nie żywię roszczeń wygórowanych i nie żywiłem ich nawet wtedy, więc też nie potrzebowałem gonić za posagiem.

Byłem młody, miałem kawałek chleba w ręku i świat przed sobą otwarty. Nawet o urządzenie domu nie potrzebowałbym się tak bardzo kłopotać.

Nieboszczyk stryj mój zapisał mi trzy tysiące rubli; na zbudowanie gniazdka, o jakiem marzyłem, wystarczało to najzupełniej, zwłaszcza, jeżeliby ta, którą wybiorę, skromne miała wymagania.

Obraz tego gniazdka stał mi przed oczyma. Wyobrażałem sobie, że będzie jasnem, ciepłem, cichem i wygodnem. Dużo w niem będzie słońca, dużo kwiatów i powietrza, a głównym jego wdziękiem będzie ład i schludność wzorowa.

Przy szczupłych swoich dochodach — miałem podówczas dziewięćset rubli rocznej płacy — nie mogłem marzyć o wystawnem życiu. Chciałem więc w tem gniazdku mojem znaleźć to wszystko, czego w świecie szukać nie mogłem i czego, zważywszy moje usposobienie, świat mi dać nie mógł żadną miarą.

Chciałem, gdy po dziennej pracy wrócę do domu, módz odetchnąć harmonią i spokojem, w pośród otoczenia, w którego widoku mógłbym znaleźć zadowolenie moich estetycznych instynktów. Tę harmonię, ten ład, ten wdzięk, to wreszcie serdeczne ciepło, którego pożądałem gorąco, mogła tam wnieść tylko kobieta taka, jaką w Helci przeczuwałem. Ona byłaby owem słońcem, opromieniającem moje życie i złocącem szarą dolę, jaka mi przypadła w udziale, ona wierną towarzyszką moją, ona powiernicą wszystkich moich uczuć i myśli.

*
* *

Korzystając z zaprosin matki, odwiedziłem rodziców Helci w kilka dni po tym balu. Państwo Rakowscy mieszkali przy ulicy Śliskiej, na drugiem piętrze w oficynie, zajmując dość obszerne mieszkanie, w którem jednakże ciasno być musiało tak wielce rozrodzonej familii.

Helcia miała cztery siostry: dwie starsze, a dwie młodsze od siebie; oprócz tego trzech braci, z których najstarszy, Ludwik, kończył gimnazyum.

Wyżywienie tak licznej rodziny ze szczupłej emerytury, jaką pan Rakowski pobierał, musiało być nielada trudnym do zgryzienia orzechem; prawdopodobnie więc ze względów koniecznej oszczędności odnajmowała pani Rakowska pokój jeden siostrze męża, starej pannie Izabeli, która się w pokoju tym mieściła wraz z nieodstępnym pieskiem, kotkiem, kanarkiem i innym staropanieńskim inwentarzem.

Widocznie spodziewano się moich odwiedzin i musiała być często mowa o mnie w czasie, który je poprzedził, cała bowiem, nieznana mi jeszcze część rodziny, przypatrywała mi się z ciekawością, której utaić nikt sobie nie zadawał pracy.

Zrozumiałem odrazu, iż od najstarszego aż do najmłodszego wszyscy tu widzą we mnie konkurenta do ręki Helci, i że mniemanie to jest powodem zajęcia, jakie wzbudzałem.

Pan Rakowski, jego żona i panna Izabela przystąpili z okolicznościową miną do badania moich zamiarów, kołując dyplomatycznie, aby się dowiedzieć o tem, czego taić nie myślałem wcale.

Powiedziałem im otwarcie, że jako urzędnik kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, pobieram dziewięćset rubli rocznej płacy, że mi już życie kawalerskie zbrzydło i że chciałbym się ożenić. Pochwalili bardzo ten zamiar, zwłaszcza, gdym wyznał, że za posagiem gonić nie myślę, wyżej ceniąc serce, niż pieniądze.

Śledztwo to zajęło tak dużo czasu, iż dnia tego wcale się do Helci zbliżyć nie mogłem. Siedziała tam biedaczka zarumieniona, nagabywana ciągle przez starsze siostry, które, śmiejąc się, szeptały jej co chwila coś w ucho.

Widocznie musiała być tam mowa o mnie, młodsze bowiem rodzeństwo, które także brało udział w tej rozmowie, podbiegało kolejno do mnie, przypatrywało mi się z uwagą, a potem wracało z uśmiechem do swych sióstr, aby im udzielić swoich spostrzeżeń.

Zdawało mi się, że siedzę na cenzurowanem, z tą jednak różnicą, że nikt mi spostrzeżeń swoich nie wyjawiał — jakkolwiek wszyscy oczami pożerali kolejno moje oczy, mój nos, wąsy, krawat, tużurek, jednem słowem, wszystkie części mojego ciała i ubrania. Czułem, iż w ten sposób pochwytują ka-

żdy ruch mój, każde moje słowo. Nie powiem, aby uczucie to było nader przyjemne.

Mimo to siedziałem jakiś czas jeszcze, czekając, czy mi los do Helci zbliżyć się nie pozwoli; wreszcie, nie mogąc się tego doczekać, a spostrzegłszy, iż odwiedziny moje trwają już znacznie dłużej, niż trwać powinna pierwsza etykietalna wizyta, pożegnałem nowych moich znajomych.

Prosili mnie, abym nie zapomniał o ich domu. Nie zwlekając, skorzystałem niebawem z tych zaprosin.

* * *

Śmiać mi się nieraz chce, gdy słyszę żonkosiów, wspominających z takiem rozrzewnieniem o czasach, gdy się starali o swoje żony, iżby się nieraz zdawało, że to były chwile najszczęśliwsze w ich życiu. Trzeba być albo wielkim idealistą, albo nie mieć wcale pamięci, by twierdzić coś podobnego, bo co do mnie, oświadczam, iż każdy konkurent jest męczennikiem, który z kościami do nieba dostać się powinien.

Czas moich konkurów był rodzajem piekiełka, pełnego drobnych, lecz nie mniej bolesnych udręczeń, wpośród których płynęło mi życie pasmem szarych dni, nie opromienionych żadną jaśniejszą chwilą. Pocieszała mnie tylko nadzieja, że po ślubie zmieni się to na lepsze, i że uwiózłszy do domu moją narzeczoną, będę mógł swobodniej odetchnąć.

Starając się o Helcię, nie miałem ani razu sposobności zbliżenia się do niej i zawiązania z nią poufniejszej rozmowy. Nie przyszło między nami do owej wymiany uczuć i myśli, któraby mi dała bliżej poznać moją narzeczoną.

Rodzina jej broniła mi do niej przystępu, niby bajeczne smoki, strzegące zaczarowanych księżniczek.

Ile razy zawitałem do domu ich rodziców, brał mnie zaraz ojciec w arendę. Widocznie zdawało mu się, że konkurent do ręki panny obowiązany jest bawić przyszłego teścia. Więc też, gdy tylko przyszedłem, sadzał mnie natychmiast do rumelpikiety, a że grać wcale nie umiem i głowę czem innem miałem zajętą, musiałem każdą taką zabawę kilku złotymi opłacić.

Zaledwie się ze szpon jego wyrwałem, brały mnie znów w opiekę żona jego lub siostra. Musiałem wtedy słuchać opowiadania o niezrównanych cnotach ukochanego Azorcia, opasłego mopsa, który wiecznie spał na kanapie, a do mnie korsykańską czuł nienawiść.

Innym razem zabawiała mnie pani Rakowska, z domu Węsierska, „urodzona w salonach i przywykła stąpać po dywanach," i skazana na pędzenie życia, jakiego żadne jeszcze z Węsierskich nie zaznało.

Nawet i wtedy, gdy się już o rękę Helci oświadczyłem, niepodobna mi było zbliżyć się do niej i zawiązać z nią jakiejś poufniejszej rozmowy, rodzeństwo bowiem jej szpiegowało nas nieustannie. Zaledwie mówić zacząłem, potrącały się starsze siostry, Janka i Marynia, łokciami, podczas gdy podlotki i chłopcy okrążali nas bez przerwy, lub też zaglądali przezedrzwi, wpośród szeptów i tłumionych śmiechów.

Wszystko to drażniło i onieśmielało biedną dziewczynę, a mnie gniewało nad wszelkie wyrazy. Rozmowa rwała się co chwila i niepodobna było odnaleźć przejścia do serdecznych wynurzeń.

Tak tedy, jakkolwiek wiecznie blizka, nie była nigdy ze mną. Co dnia śpieszyłem do niej, pełen snów i nadziei; co wieczór wracałem do domu smutny i znękany, bo była mi jak gdyby cieniem, którego nie mogłem pochwycić.

Ilekroć się do niej zbliżałem, pełen czułości i nadziei, zawsze stawali pomiędzy mną a nią: to pan Rakowski z wiekuistą rumelpikietą, to ciocia Izabela z Azorciem, to pani Rakowska z trenami obywatelskiej córki, urodzonej w salonach, to wreszcie któreś z rodzeństwa mojej narzeczonej.

W niedziele i święta proszono mnie zawsze na obiad; potem wychodziliśmy na przechadzkę lub do teatru. Wyglądaliśmy wtedy, jak konwikt; pani Rakowska bowiem lubiła zabierać z sobą wszystkie swe pociechy, których, co prawda, pozostawiać w domu bez nadzoru nie byłoby rzeczy bezpieczną.

Szli tedy przodem malcy, których wiecznie trzeba mieć na oku, bo się nieustannie potrącali i nie uważali na przechodniów i jadące powozy. Dalej kroczyły Helcia, Zunia i Marynia w towarzystwie Ludwika. Za niemi podążałem ja, prowadząc ciocię Izabelę pod rękę, a korowód zamykali państwo Rakowscy.

Ta ciocia Izabela była moją plagą. Prawdopodobnie musiała mieć jakiś kapitalik, na który liczyli Rakowscy, gdyż była nader wymagającą. Cała rodzina starała się o jej względy, zdawało się jej więc, że i ja, jako konkurent do ręki jej bratanicy, powinienem jej nadskakiwać. Ile razy wyszliśmy na przechadzkę, wieszała się natychmiast na mojem ramieniu, obarczając mnie przytem narzutką lub szalem i żądając, bym się w dodatku opiekował nieznośnym Azorciem, do którego wszystkie psy, spotykane na ulicy, czuły antypatyę.

Wycieczki te bywały niekiedy połączone z przyjemnościami szczególnego rodzaju, gdy np. deszcz padał, gdy ciocia Izabela była zmęczoną, lub gdy któreś z młodszych dzieci, przejadłszy się łakociami, zachorowało. Wtedy trzeba było całą tę karawanę odwozić dorożkami do domu, gdyż w jednej trudno było wszystkich pomieścić. Mnie zazwyczaj przypadało zająć miejsce na koźle obok pijanego i wódką cu-

chnącego dorożkarza, co mnie oczywiście w dobry humor wprowadzać nie mogło.

Każda z tych przechadzek kończyła się popasem u Loursa lub w Szwajcarskiej Dolinie, popasem, którego koszta oczywiście musiałem ponosić. Koszta te, aczkolwiek znaczne, były jednakże drobnostką w porównaniu do wydatku, jaki za sobą pociągał każdy nasz pobyt w teatrze.

Pani Rakowska zabierała z sobą wszystkie dzieci, rzekomo w nagrodę pilności i dobrego sprawowania. Pytała mnie wtedy, czy nie mam nic przeciw temu, aby Józio, Frania, Zosia i Julek poszli z nami? Oczywista rzecz, iż z uśmiechem odpowiadałem, że mi to wielką przyjemność czyni, chociaż w duchu posyłam tych bębnów do dyabła.

Kupowałem więc zazwyczaj dwie loże, jedną obok drugiej, gdyż w jednej całego taboru pomieścić było nie sposób. Przyszła teściowa strofowała mnie wtedy, że robię zbytki. Czyniła to chyba dla formy tylko, boć przecie widziała, że niepodobieństwem jest wszystkich w loży pomieścić, a wiem, iż jako córka obywatelska, urodzona w salonach i przywykła stąpać po dywanach, byłaby mi za złe wzięła, gdybym które z jej dzieci posadził na podrzędniejszem miejscu.

Były więc konkury moje połączone z wydatkami, nie licującemi wcale z mojem stanowiskiem, ani z płacą, jaką pobierałem. Nie mogło być inaczej przy tak licznie rozrodzonej familii. Co chwila zdarzały się jakieś imieniny, o których zapomnieć nie mogłem, bo mnie o nich z góry nie zaniedbano nigdy uprzedzić.

Nie jestem wcale skąpym, ale wyznam otwarcie, że mi ciężyły te wydatki, któremi sobie zjednywać musiałem tę żarłoczną a nienawistną mi szarańczę. Ten żal psuł mi wszystką uciechę i przerażał

mnie rozmiar, jakie przybierały koszty, ile razy chciałem przyjemność jakąś zrobić mojej narzeczonej.

Nie mogłem jej oczywiście tego powiedzieć, że wyłącznie dla niej przynoszę bukiety i cukierki. Musiałem więc na to patrzeć z uśmiechem, jak nieznośne bębny w przeciągu kilku minut wypróżniały do dna bombonierki, które jej ofiarowałem, lub jak któraś z jej sióstr przywłaszczała sobie kwiaty, przezemnie dla Helci przyniesione.

Powoli przyzwyczaiła się ta zacna rodzina do tego rabunku, któremu stale musiałem ulegać. Był to jak gdyby rodzaj serwitutu, którego się pozbyć nie mogłem.

Pan Rakowski krzywił się, gdy nie wygrał tyle, ile wygrać zamierzał; Zunia i Marynia dąsały się, gdym przypadkiem nie dostarczył biletów do teatru na przedstawienie jakiejś nowości. Dzieci zaglądały mi w ręce, czy nie przynoszę cukierków, a Ludwik zaciągał wiecznie u mnie drobne pożyczki, których oczywiście nigdy nie zwracał.

Gniewała mnie szczególnie poufałość tego zepsutego chłopca, który, obrawszy sobie mnie za powiernika, zaczął mi się wywnętrzać z oburzającym cynizmem. Wpadał najczęściej w tym celu do mojego biura i opowiadał mi swe łobuzerskie sprawki, za które się niekiedy wstydzić musiałem przed kolegami, słuchając zwierzeń przyszłego mego szwagierka.

Ale nietylko we własnym domu i w biurze prześladowała mnie ta hołota. Od czasu do czasu nachodzili mnie Julek i Franio, przewracając do góry nogami całe moje mieszkanko.

Nic się nie mogło ukryć przed ich ciekawością; plądrowali po wszystkich kątach, napierając się tego, to owego, częstokroć rzeczy, które miały dla mnie wartość pamiątkową, a które prawdopodobnie potem żydom za kilka groszy sprzedawali.

Nagabywaniom tym ulegałem zazwyczaj. Cóż miałem robić? Wolałem podarować im to, czego się napierali, wiedząc dobrze, iż w razie odmowy, sami sobie rzecz pożądaną bez ceremonii przywłaszczą. Wszakże i tak kradli mi cygara i papierosy, ile razy zaszczycali mnie swemi odwiedzinami. Musiałem udawać, że nie widzę tej grabieży, nie chcąc miłych swoich szwagierków zawstydzić.

* * *

Nie opędziłem się od tej szarańczy nawet i po ślubie.

A jednak, gdym po weselnej uczcie Helcię uwoził do domu, gdym z oczu stracił panią Rakowską, z domu Węsierską, która, szlochając, patrzyła na mnie takiem okiem, jak na rozbójnika, gdym pożegnał tonące we łzach siostry mej żony, gdym wreszcie drzwiczki powozu zatrzasnął przed nosem mych szwagierków, którzy gwałtem nas chcieli do domu odprowadzić, zdawało mi się, że to wszystko skończone i że moja żona teraz już przecie do mnie należy.

— Nareszcie, nareszcie!—zawołałem, chwytając ją za rękę.

Drgnęła pod mojem dotknięciem, spoglądając na mnie z takiem przerażeniem, jak gdyby istotnie widziała we mnie dybiącego na życie jej mordercę. Chciałem ją ułagodzić i uspokoić pieszczotą, ale się odsunęła, nerwowym wybuchając płaczem.

Na widok ten osłupiałem, nie pojmując narazie, że całodzienna krzątanina, oraz widok łez matki i całej rodziny, żegnającej ją tak, jak gdyby szła na tracenie, mogły tak dalece rozdraźnić jej nerwy. Zdawało mi się, że mnie nie kocha, owszem, nawet, że wstręt czuje do mnie, i że tylko, ulegając rodzinom, oddała mi rękę.

Obrażony w swej dumie, cofnąłem się wgłąb powozu, pogrążając się w ponurem zamyśleniu. Nie wesołą wydała mi się przyszłość, do której dążąc uparcie, tylu doznałem udręczeń.

Rzecz dziwna! Oziębłość, którą tu okazałem i która, zdaniem mojem, byłaby powinna obrazić Helcię i bardziej jeszcze rozżalić, przyczyniła się do uspokojenia rozdrażnionej.

Spojrzała na mnie zdziwionem okiem; widocznie spodziewała się czegoś innego. Być zresztą może, iż spostrzegła, jak przykre zrobiła na mnie wrażenie tkliwość jej niewczesna i że starała się pokonać wzruszenie.

Milcząc dojechaliśmy do domu. Wysadzając ją z powozu czułem, jak dłoń jej drżała w mojem ręku. Podałem jej ramię i zaprowadziłem, nie przemówiwszy słówka, do tego ciepłego gniazdka, które dla niej z taką miłosną zbudowałem troskliwością. Harmonia i ład, jakie tu panowały, sprawiły na niej przyjemne wrażenie. Od kwiatów na oknie i na żardinierce, aż do gotowalni, pełnej drobiazgów i wykwintnego rupiecia, wszystko tu tchnęło myślą o niej, wszystko jej mówiło o mojej troskliwości.

Przypatrywała się wszystkim szczegółom naszego domowego urządzenia z zajęciem i dziecięcą uciechą. Potem spojrzała na mnie z wdzięcznością, lecz jak gdyby zawstydzona, i ująwszy dłoń moją, uścisnęła ją serdecznie.

Biedne dziecko! co też jej nagadać musiano, zatruwając jej z góry rozkosz tej chwili jedynej, która drugi raz już w życiu nie powraca, skoro ją do takiego doprowadzono rozdrażnienia!

Nazajutrz rano, zaledwieśmy zasiedli do śniadania, zabrzmiał hałaśliwie dzwonek w przedpokoju. Całe rodzeństwo mej żony wpadło z hałasem do naszego mieszkania. Nie było sposobu ustrzeżenia się przed tymi natrętnymi gośćmi, których miałem wielką ochotę za drzwi wyrzucić.

Chłopcy zaczęli plądrować po pokojach, dotykając brudnemi rękami wszystkich przedmiotów; dziewczęta przypatrywały się siostrze swej z bezczelną ciekawością, która mnie gniewała, a Helcię wprawiała w zakłopotanie.

Za nimi przybyli niebawem państwo Rakowscy, razem z ciocią Izabelą i nieodstępnym Azorciem. Teść, teściowa i panna Izabela rozrzewnili się tak, jak gdyby z dziesięć lat Helci nie widzieli. Nieznośni ludzie! Przed ślubem nie dawali mi się do niej przybliżyć, obecnie, gdym ją wydarł z ich szponów, gdy już była moją, powracali znów, zazdroszcząc mi tego szczęścia, które zaledwie posiadłem.

Przeklinałem w duchu te niewczesne odwiedziny, mącące mi spokój tego pierwszego dnia naszego pożycia, zatruwające mi tę chwilę, którą byłbym tak chętnie przepędził sam na sam z moją żoną, a słowami kłamać musiałem wdzięczność za ten dowód rodzicielskiej troskliwości i kochania. Przymus ten niecierpliwił mnie nad wszelkie wyrazy; najbardziej zaś gniewało mnie to, iż najazd, który mnie tak oburzał, sprawiał Helci tak wielką uciechę.

Nie było rady! Trzeba było czemś ugościć tych najeźdźców, którzy przyszedłszy, wrośli w ziemię i zdawali się nie myśleć wcale o odejściu. Może się wyniosą, gdy ich nakarmię i napoję. Nie mając w domu dostatecznych zapasów dla nasycenia tak licznej rzeszy, posłałem do najbliższej restauracyi po kotlety i wino.

Tym razem nie żal mi było wydatku, gdyż mi się opłacił. Nie pozbyłem się wprawdzie tak rychło najezdników, ale im przynajmniej zatkałem usta. Jedząc i pijąc, nie mieli czasu się rozczulać. Być może, iż przyszli do przekonania, że się Helci tak źle nie dzieje, skoro można w jej domu jeść kotlety i popijać je węgrzynem.

Podobne najazdy powtarzały się od tej pory co dnia. W niedziele i święta wpadała hurmem cała

rodzina i napełniała mi ciche gniazdko moje zgiełkiem i gwarem. W dnie powszednie zaś nawiedzali mnie jej członkowie pojedynczo. Zrazu przychodził często teść mój z zamiarem grania w rumelpikietę. Odmówiłem mu stanowczo, oświadczając, iż karty nigdy się w moim domu znajdować nie będą.

Ciocia Izabela nachodziła nas zrazu także razem ze swoim nieodstępnym Azorciem, który natychmiast wskakiwał na kanapę i zęby na mnie szczerzył, gdym go ztamtąd spędzał, ku wielkiemu oburzeniu właścicielki. Niepodobna go było tego oduczyć. Zdawało mu się widocznie, żem dla jego wygody kupił ten garnitur hebanowy, wybity jasno-niebieskim adamaszkiem.

Zniecierpliwiony porwałem go raz za kark i wyrzuciłem do przedpokoju, co nader dramatyczną wywołało scenę i skłoniło ciocię Izabelę do zaniechania swych odwiedzin w czasie mojej w domu obecności.

Teściową moją potrafiłem także zrazić niebawem. Nieznośną była mi ta baba, zaglądająca we wszystkie garnki i usiłująca pochwycić rząd w moim domu.

Raz, powróciwszy z biura, zastałem wszystkie meble poprzestawiane tak, iż mi się wydało, że zabłądziłem do cudzego mieszkania.

Lubię bardzo porządek i dążę zawsze do tego, aby w gniazdku mojem panował ów ład, który miłe oku czyniąc wrażenie, podnosi wartość wszystkich, choćby nawet mniej cennych gracików. Posuwam to zamiłowanie aż do pedanteryi. Brak symetryi i harmonii, jaki obecnie tu znalazłem, obraził moje estetyczne uczucie.

— Czemuż kazałaś meble poprzestawiać? — zapytałem.

— To mama tak ustawiła—odparła Helcia naiwnie.—Mówiła, że tak będzie lepiej!

— Ależ moje dziecko, czemuż mamie dajesz gospodarować w naszem mieszkaniu?

Spojrzała na mnie takiem okiem, jak gdybym powiedział coś niedorzecznego. Nie pojmowała tego, aby można było mamie zabronić mieszania się w nie-swoje rzeczy.

— Mama zawołała kucharkę i stróża i zarządziła sama, jak wszystko ma stać — rzekła tonem głębokiego przekonania.

— Otóż tak nie będzie, jak mama zarządziła, tylko tak, jak ja chcę!—zawołałem oburzony. — Cóż znowu! Przecież jestem panem u siebie! Niechaj mama rządzi we własnym domu, ale nie u nas!

I zawoławszy kucharkę i stróża, kazałem wszystko wrócić do dawnego porządku!

Teściowa moja obraziła się wielce moim uporem. Wistocie była to niesłychana samowola! Jak mogłem zmieniać jej zarządzenia? Była przecież z domu Węsierską, „urodzoną w salonach i przywykłą stąpać po dywanach"; musiała zatem wiedzieć lepiej odemnie, jak dom urządzić należy.

Cokolwiekbądź, nie ośmieliła się już zmienić tego, co zarządziłem. Zaczęła mnie tylko unikać starannie, ale z postępowania Helci poznałem, że ją przeciwko mnie wrogo usposabia.

Nawet i rodzeństwo, które codziennie na dom mój urządzało napady, zachodziło już tylko wtedy, gdy mnie nie było w domu. Helcia, która miała wielką słabość dla swej rodziny, pozwalała Julkowi i Franiowi bezkarnie plądrować po moim kredensie i w moim sekretarzyku.

Malcy wypijali mi wino i likier, których kilkanaście flaszek miałem w zapasie, i wypalali cygara moje i papierosy, śmiecąc popiołem i niedopałkami w mieszkaniu, którebym tak rad był utrzymać w czystości.

Nie taiła się ta hołota przed siostrą ze swojemi złemi instynktami, a ona nie miała odwagi bronić im

wybryków, których się dopuszczali. Pieniądze, które jej dawałem na utrzymanie domu, szły tak, jak woda, i nie umiała się nigdy z nich wyliczyć. Prawdopodobnie czerpali z naszej kasy jej bracia, z których starszy, Ludwik, zawiązał z jakąś szwaczką miłosny stosunek.

Częstokroć, wracając do domu spracowany, napróżno szukałem w kredensie czegoś, czembym się mógł posilić. Znajdowałem tylko niedojedzone resztki sera, szynki lub kiełbasy, świadczące, że szarańcza przeszła tym szlakiem.

Kładłem się tedy spać o suchym kawałku chleba i szklance herbaty, przeklinając w duchu tę zacną familię, która mi zatruwała życie.

I nie mogłem się nawet Helci poskarżyć, bo się stała cierpką, drażniona wiekuiście przez swoją, nieprzyjaźnie dla mnie usposobioną rodzinę.

Zapanowały pomiędzy nami chłód i naprężenie, które zdawały się wzrastać z dniem każdym, niemal z każdą chwilą. Czułem, że ta kobieta nie jest moją, że ją trzyma jej rodzina, i że w tej głuchej walce, którą z rodzicami i rodzeństwem Helci toczę, nie ja zwyciężam, lecz ona.

Ogarniała mnie wtedy zazdrość, której się wstydziłem, lecz której pokonać nie mogłem żadną miarą, czując, jak mi się zwolna, lecz statecznie, grunt z pod nóg usuwa. Im bardziej bowiem starałem się żonę moją do siebie przyciągnąć i oderwać ją od mych rywali, tem większy czuła żal do mnie, tem większy pomiędzy nami otwierał się przedział.

Bezradny wobec swych nieprzyjaciół, nie mogłem się nawet przyznać do tego, że z nimi walczę, że pragnąłbym żonę usunąć od ich wpływu. A jednak nie mogłem obojętnie patrzeć na to, jak mi wydzierano szczęście, którego pragnąłem tak gorąco.

Więc też, zraziwszy sobie rodzinę mej żony, uzyskałem to jeno, iż teraz już nie potrzebowałem spoglądać na twarze tych ludzi, którzy mi zatruwali

spokój domowy. Mimo to byli oni tu, pomiędzy mną a Helcią, zawsze, przynosząc mi zarówno moralny, jak i materyalny uszczerbek.

* * *

Pomimo podwyższenia płacy, jakiego skutkiem awansu dostąpiłem, nie mogłem do kupy związać rozchodu z przychodem. Kilka razy zwracałem uwagę Helci na to, iżby należało gospodarować oszczędniej krwawo zapracowanym groszem, w końcu jednak dałem za wygranę i zaniechałem napomnień, które nic nie skutkowały, lecz dawały tylko powód do spazmów i płaczu.

Wyrzucała mi rzekome skąpstwo moje, tłómacząc się, że temu nie winna, iż pieniądze idą. Życie jest drogiem w Warszawie, a kto nie ma dostatecznych funduszów na utrzymanie domu, ten się żenić nie powinien. Wszakże na mnie wędki nie zarzucała, nie ciągnęła mnie do siebie; sam tego chciałem, co mi teraz cięży tak wielce. Czyż wyrzuca pieniądze, czyż się stroi, czy bywa w świecie, czy wreszcie kogo przyjmuje u siebie, oprócz najbliższego rodzeństwa?

Rozżalając się coraz bardziej, narzekała, że jej świat zawiązałem, że ją chcę poważnić z rodziną i nie dopuścić do niej żadnej istoty żywej. Już i tak mieli jakoby wszyscy gadać, że ją trzymam w domu na uwięzi, że jej nie pozwalam doświadczać żadnej przyjemności, że jej nigdy nie prowadzę na koncert lub do teatru i t. d. Ci „wszyscy", byli to oczywiście rodzice jej, bracia i siostry, którzy ją przeciwko mnie poduszczali.

Rozdrażnienie jej przypisywałem po części stanowi, w jakim się znajdowała. Milczałem więc, aby jej gorzej jeszcze nie rozdrażniać, i pokrywałem niedobór mojego budżetu ostatkami spadku, który mi stryj zapisał. Jednakże i to się niebawem wyczerpa-

ło, i na pokrycie wydatków, jakie za sobą pociągnęła słabość Helci, musiałem już dług zaciągnąć.

Troskliwa o zdrowie córki, zamieszkała teraz teściowa, razem z dwiema starszemi córkami w moim domu, i musiałem im odstąpić wygodne materacowe łóżko moje, tudzież obiedwie otomany; sam zaś sypiałem na wąziutkiej kozetce, którą trzeba było krzesłami sztukować...

Wetując dawną porażkę, pochwyciła teraz pani Rakowska ster mego gospodarstwa, rządząc się tak, jak szara gęś po niebie i nie zważając wcale na moją osobę.

Mniejsza o niewygodę, jakiej teraz doznawałem i krzątaninę, którą wniosła do mojego domu, a którą stan chorej poniekąd usprawiedliwiał; daleko nieznośniejszym był ów ponury niepokój i ta duszna, gorączkowa atmosfera, które tu zapanowały od czasu jej przybycia.

Matka i córki przesuwały się około mnie z twarzami wywróconemi do góry podszewką, przerażone, pełne nienawiści, przybierając wśród ciągłych szeptów taką minę, jak gdyby choroba żony mojej nie pozostawiała żadnej nadziei. Pod pozorem, że Helcia potrzebuje spokoju, nie przypuszczały mnie do niej wcale.

Wyglądało to tak, jak gdybym był zbrodniarzem bez sumienia, a ona ofiarą, którą litość chronić nakazuje przed znęcaniem się srogiego tyrana. Śmiać mi się teraz chce z tego wszystkiego, ale wtedy doprowadzało mnie ich postępowanie wprost do rozpaczy.

Nie było to wcale zasługą mojej teściowej, ani też jej córek, że Helcia szczęśliwie przebyła chorobę; wszystkie trzy czyniły co tylko mogły, aby zwiększyć jej rozdrażnienie. Bóg nam dał synka, czerstwego, zdrowego chłopaka, który mi się wydawał podobnym do mojej żony.

Chciałem mu dać imię Jan, aby uczcić pamięć mego stryja, ale teściowa moja postanowiła, że będzie miał świętego Mateusza za patrona. Ponieważ takiem miało być życzenie Helci, więc się temu nie opierałem wcale, jakkolwiek mi się nie zdawało koniecznem, aby syn mój nosił imię ojca pani Rakowskiej, którego znać nie miałem przyjemności.

Lekarz, przezemnie do chorej przyzwany, zalecał, aby matka sama dziecię swe karmiła. Ale teściowa oparła się temu stanowczo. Żadna z jej rodu nie mamczyła jeszcze, więc i jej córka mamką nie będzie. Nie było sposobu przekonać jej, że natura sama rozstrzygnęła tę sprawę i że karmienie własnego dziecka nikomu ujmy nie przynosi. Przyjąłem mamkę, aby uniknąć wszelkich sporów i przyśpieszyć wyzdrowienie żony, które mnie przecież od opieki teściowej uwolni.

Dotych czasowe doświadczenia przekonały mnie, iż rzeczy iść tym trybem nie mogą. Wydatki wzrosły, a dług, który zaciągnąłem w czasie choroby żony i który obecnie spłacać musiałem, zmniejszał moje dochody.

Nie można się było spodziewać, aby Helcia, ulegająca podszeptom moich wrogów, zrozumiała nasze położenie i zaprowadziła konieczną oszczędność w gospodarstwie. Niepodobna było również żądać od niej, aby zerwała z rodziną, która, niby zgłodniała szarańcza, nachodziła dom nasz, aby nas objadać i niszczyć nasz dobytek.

Ażeby ją więc usunąć z pod tego wpływu, umyśliłem wynieść się z Warszawy na prowincyę. Dowiedziawszy się, iż w Piotrkowie otworzyła się posada zarządcy warsztatów, podałem się o to miejsce i uzyskałem je szczęśliwie.

Przykro mi było opuszczać Warszawę, którą kocham i gdzie mam tylu przyjaciół, lecz czyż mogłem tu dłużej pozostać? Nietylko do Piotrkowa, ale

i na koniec świata byłbym chętnie pojechał, byle się raz uwolnić od tej szarańczy.

Było płaczu co niemiara, gdym Helci oznajmił tę wiadomość. Żal jej wzmógł się jeszcze na widok rozpaczy, jaka ogarnęła całą jej rodzinę, która się domyślała, iż przeniesiono mnie na własne żadanie. Wszyscy widzieli w tem dowód mego czarnego charakteru i płakali nad losem tej biednej Helci, straconej teraz na wieki.

Najgłośniej wyrzekała pani Rakowska, która nie takiej spodziewała się partyi dla swego dziecięcia, „wychowanego w cieple uczuć rodzinnych i w dobrobycie.” Jakimże był los, który zgotowałem jej córce? Czemże starałem się uprzyjemnić jej życie? Trzebaż było niegodziwości abym ją pozbawił teraz jedynej pociechy, jakiej jeszcze doznać mogła w tej szarej doli, którą jej zgotowałem, oddalając ją od rodzinnego ogniska, od tych serc, które ją kochają, i uwożąc w świat, daleko, pomiędzy obcych i nieznanych ludzi!

Wszystko to drażniło moją biedną Helcię, potęgując oczywiście ów żal, jakim ją napełniała rozłąka z matką i rodziną. Widziała we mnie sprawcę tego nieszczęścia, które ją dotykało i serce jej napełniało się niechęcią ku mnie i goryczą. Płacząc, czyniła mi srogie wyrzuty i była nawet taka chwila, w której mi się zdawało, iż gotowa jest mnie porzucić.

Ale obawa ta nie zmiękczyła mnie wcale. Postawiłem sprawę na ostrzu noża, pozostawiając jej wybór pomiędzy mną a rodziną. Oczywiście wybrała mnie, poczciwa kobiecina, co, zdaniem mojem, tylko zaszczyt jej sercu i rozumowi przynosi.

Przybywszy do Piotrkowa, tęskniła zrazu biedaczka, czemu się wcale dziwić nie można, gdyż po raz pierwszy rozłączyła się z rodziną. Starałem się wynagrodzić jej czułością ten brak, jakiego doznała, i koić żal, który serce jej ściskał

Jakoż niebawem oswoiła się z tem nowem położeniem, zwróciwszy się z całym zapałem ku sumiennemu wypełnianiu obowiązków żony, matki i gospodyni.

W krótkim czasie spłaciliśmy nasze długi. Porządek w domu panował jak najlepszy. Mogłem teraz z zaoszczędzonego grosza przyjemne jej kiedy niekiedy robić niespodzianki. Jednakże powstrzymywała mnie od wszelkich wybryków, twierdząc, że mając dziecko, powinniśmy myśleć o przyszłości.

Wyswobodzona z pod szkodliwego wpływu, jaki na nią wywierała rodzina, i pozostawiona sama sobie, stała się oszczędną i roztropną, a zadowolona z losu, jaki jej zgotowałem, odwzajemniała miłość moją serdecznem uczuciem.

I nie dziw! Nikt jej teraz nie drażnił, nikt jej nie zniechęcał, nikt jej wrogo przeciw mnie nie usposabiał; więc też odczuła niebawem różnicę pomiędzy błogim spokojem, w jakim się teraz mogła kołysać, a owem gorączkowem rozdrażnieniem, które ją trawiło wtedy, gdy ulegała wpływowi swej rodziny.

Przeczucia moje nie omyliły mnie. Znalazłem przy jej boku ów spokój, ową harmonię i owo serdeczne ciepło, o którem marzyłem i którego pożądałem tak gorąco. Ona jest wierną moją towarzyszką i słońcem, opromieniającem moją dolę. I dobrze nam jest razem w tem schludnem mieszkanku, pełnem światła i kwiatów, które ona własną pielęgnuje ręką—tak dobrze, iż nie pożądamy niczego, jak tylko, aby się nic nie zmieniło w naszem życiu.

Do „swoich" pisywała zrazu bardzo często, potem coraz rzadziej, nie mając czasu na czułostkowość i gruchanie, a nie czując potrzeby serdecznych wynurzań, znalazłszy teraz we mnie powiernika swych uczuć i myśli.

Zdaje się, że ją teraz już nie bardzo ciągnie do Warszawy. Niedawno temu przypomniałem jej, że za kilka dni przypadają imieniny jej ojca i spy-

tałem, czy nie zechce na dzień lub dwa do rodziców pojechać?

— Eh, nie! — odparła po krótkim namyśle.— Powinszuję tacie listownie... Nie mogę przecież porzucić gospodarstwa i dziecka dla zabawy.

Możecie sobie wyobrazić, jak ja ją za to wycałowałem serdecznie...

U „naszych.”

I.

Kurs faluje tak jak morze; *aggio* wznosi się, to spada. Kto wczas umie kupić, sprzedać, ten jest mądry pan!

Takim „mądrym panem” był właśnie pan August Goldstück, właściciel domu bankowego i szef firmy „August Goldstück i Spółka”.— zwany pieszczotliwie Aronem.

Młody Gucio, lub, jeżeli kto woli, Aronek, objawiał już w dziecinnym wieku „rozum bardzo delikatny.” Chodząc do szkół, zaopatrywał swych kolegów w papier, pióra, ołówki, tudzież w cukier owsiany, smażone migdały, chleb świętojański, pestki z bani i inne tym podobne smakołyki. A co na handelku tym uzyskał, to w nowe wkładał zakupy, kierując się już podówczas zasadą, iż pieniądz jest dlatego płaski, żeby go można w ręku trzymać, a dlatego okrągły, ażeby nim można ciągle obracać.

W handelku tym nie gonił obrotny Aronek za wielkim zyskiem, wiedząc, iż lepiej zarobić pięć razy po pół grosza, niż raz jeden kopiejkę. Mimo to, jakkolwiek uprzejmy i usłużny, odmawiał jednak kolegom swoim kredytu statecznie.

— Jeden grosz kredytu, to dwa grosze kłopotu—mawiał, gdy go nagabywano.—Jabym ci dał pe-

stek z bani za grosz i kłopotałbym się, czy ty mi zapłacisz; tybyś zjadł pestki z bani i kłopotałbyś się, zkąd masz wziąć pieniądze, ażeby mi zapłacić... No, tak masz tu dwa grosze kłopotu: mój i twój... A gdzież są teraz pestki z bani i gdzie mój zarobek?

Słowem, była to bardzo delikatna głowa, z której możnaby już wtedy było wykroić rabina. Los pokierował Aronkiem inaczej i wykroił z niego porządnego kupca... No, niema nic straconego! Skoro mąka dobra, to i dobrem będzie wszystko, co się z niej zrobi. Można z niej upiec szabasową chałę, można z niej wymiesić łokszynę — wszystko jedno! I jedno i drugie będzie smakowało, rozumie sie, jeżeli młynarz, piekarz lub kucharka nie zepsują Bożego daru.

Chwalić Pana Boga, Aronek nie zepsuł się wcale, nawet wtedy, gdy wstąpiwszy do jednego z większych warszawskich kantorów na praktykę, został Guciem, nawet wtedy, gdy po półrocznej praktyce dostał pierwszą miesięczną pensyę i postąpił na pana Augusta.

Zrazu szło tępo i ciężko, bo handel, to tak, jak wóz... Pryncypał siedzi w nim i jedzie sobie wygodnie a wesoło; ale urzędnicy i praktykanci muszą wóz ten ciągnąć, nie przymierzając, jak jakie bydlęta.

Ciągnął tedy pan August wóz swojego pryncypała, pobierając zrazu piętnaście, potem dwadzieścia, potem dwadzieścia pięć i t. d. rubli miesięcznej zapłaty i rozmyślając, że daleko przyjemniej i weselej jest siedzieć na wozie i być ciągnionym, aniżeli spełniać rolę szkapy dorożkarskiej.

Wszelakoż rozpamiętywania te nie przygnębiały go wcale, lecz owszem, były dla niego bodźcem do pracy i napełniały go otuchą. Kiedyś, później — i on na takim wózku usiądzie i będzie sobie jechał wygodnie, jak pan. Wprzód jednak musi poznać mechanikę wózka, musi się nauczyć tej sztuki, jak się z jednego grosza robi dwa.

Ułatwiały mu to wrodzone zdolności, które obecnie w sobie doskonalił, sposobiąc się do obranego zawodu. Rozum, to nie głupia rzecz, ale sam dla siebie jest on tylko jak gdyby tępy nóż; ażeby krajał, trzeba go wprzód wyostrzyć wiedzą i doświadczeniem!... Poprzestawał więc na skromnem wynagrodzeniu, jakie pobierał, pocieszając się widokiem przyszłych korzyści.

Miesięcznej pensyi, którą mu płacono, nie wydawał tak, jak inni, na rozrywki. Żył regularnie, lecz bardzo oszczędnie, stosując zawsze rozchód do przychodu, owszem, nawet oszczędzając coś z otrzymanej pensyi.

A to, co zaoszczędził, wkładał zaraz w handel, utrzymując, że pieniądz jest od tego pieniądzem, ażeby nie próżnował. Kupował marki i guldeny po tanim kursie, sprzedawał je, gdy poszły w górę — i znów kupował i znów sprzedawał, zarabiając zawsze i powiększając swój fundusik.

Gdy doszedł do lat dwudziestu sześciu, posiadał już uciułany w ten sposób mały kapitalik, może z półtora tysiąca rubli, a może i więcej, bo przed nikim nie zwierzał się ze swych interesów. Nadto podwyższył mu pryncypał pensyę aż do sześćdziesięciu rubli miesięcznie, wielce zadowolony z jego usług, w których nieustannie składał dowody sprytu, pilności, akuratności i nieposzlakowanej rzetelności.

Zaczęły go teraz nagabywać *szatchuny*, to jest ci, którzy kojarzą małżeństwa, pobierając za to pewien procent od nowożeńców.

Nachodzili go co chwila, przynosząc mu fotografie, jedną piękniejszą od drugiej i zwierzając się, ile która z panien będzie miała *nadan*, czyli posagu.

Ale pan August, choć mu się podobała ta i owa, nie dał się wziąć na te obrazki. On wiedział, że miłość jest taką potrawą, której nie należy jeść na gorąco, bo człowiek tylko sobie język poparzy. Wie-

dział również, iż małżeństwa nie zawiera się na pół roku, ani na rok, tylko na całe życie, i że tu nie chodzi o żadne gruchanie przy księżycu, tylko o taką ważną rzecz, jak założenie gniazdka i wychowanie dzieci. Cóż dziwnego, że się namyślał?

Myślał tedy i liczył, zabierając się po kupiecku do tego interesu i układając w głowie plan przyszłego życia. Wreszcie, znalazłszy pannę gdzieś aż z Berdyczowa, z posagiem dziesięciu tysięcy rubli, wstąpił w śluby małżeńskie, podziękował pryncypałowi za posadę, wyszukał sobie wspólnika z równym kapitałem i założył kantor wekslowy na własną rękę...

Może kto powie, iż pan August źle zrobił, że przystępując do ożenku, powinien się był kierować sercem, a nie głową?... Niech tylko wszyscy robią tak, jak on a z pewnością dobrze będzie na świecie.

Szło teraz panu Augustowi, bez uroku, wszystko jak z płatka. Kupował warszawsko-wiedeńskie, to warszawsko-wiedeńskie szły w górę; kupował ruble, to rubel skakał zaraz po trzy, po cztery kopiejki w zwyżkę, tak, jakby to nie był rubel, tylko rozochocony, weselny *merszelik* [1]. Na giełdzie dziwili się ludzie, co to jest?

— Goldstück kupił... Goldstück kupuje!—wołali giełdziarze.

Znaczyło to tylko, że się kurs tego lub owego papieru z pewnością podniesie.

Rósł tedy majątek pana Augusta w górę, bo zwyczajem swoim, wszystko, co w handlu zarobił, to w nowe wkładał zakupy. I nie było takiego, któryby mógł powiedzieć, że handlując z nim, doznał krzywdy. Był ścisły w interesach, lecz kierował się zawsze kupiecką uczciwością. Zdaniem jego, była to rzecz naturalna, którą się nawet nie chełpił wcale, bo

---

[1]) Zwykle stary jakiś jowialny bywalec, wynajmowany w tym celu, ażeby talmudystycznemi anegdotami, przypowieściami i mimiką bawił gości weselnych.

jak mawiał: „tylko głupi może pluć do studni, z której wodę pije."

Wzrastało równocześnie z majątkiem jego także i znaczenie, które sobie u współobywateli wyjednać potrafił, biorąc chętnie udział w każdej pożytecznej pracy. Kochał wprawdzie pieniądze i zanim grosz jaki wydał, zwykł go był wpierw zawsze przynajmniej trzy razy obrócić; ale gdy chodziło o jakieś uczciwe a rozumne, dobro ogółu na celu mające przedsięwzięcie, to je zawsze hojnym wspierał datkiem.

Byli wprawdzie tacy, którzy utrzymywali, że pobudką tej hojności nie jest duch obywatelski, lecz próżność, i że pan August na cele publiczne tak znaczne ofiaruje sumy, ażeby nazwisko jego błyszczało w dziennikach, ale to jest całkiem głupie gadanie... Gdyby np. szpitale można budować z czystej filantropii i obywatelskiego ducha, toby może jeszcze wypadało zastanowić się nad tem, z jakich się ktoś przyczynił do tej budowy pobudek. Ale skoro szpitale budują się z cegły, kamienia, drzewa i żelaza, a za te materyały nie można płacić filantropią, tylko pieniędzmi, to już wtedy rzecz obojętna, czy ten, który tych pieniędzy dostarczył, powodował się filantropią, czy próżnością.

U Polaków bardzo dużo jest obywatelskiego ducha, ale bardzo mało pieniędzy, i dlatego to idzie u nich tak tępo każda robota, mająca jakiś cel publiczny na oku, a wymagająca ofiary. Bodaj się więc tacy na kamieniu rodzili, którzy każdą dobrą sprawę chcą i mogą hojnym wesprzeć datkiem, chociażby nawet pobudką, która ich do tego skłania, była chęć, aby o ich ofiarności pisano w „Kuryerach."

II.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada, lecz uczucie gardzi złotem, głuche na głos rachuby

Miał pan August trzech synów, którzy mu się wybornie udali. Najstarszy z nich kończył uniwersytet, sposobiąc się na lekarza; drugi był na praktyce w Berlinie u jednego z tamtejszych przyjació pana Augusta. Był to ten właśnie, który miał zostać następcą ojca i prowadzić dalej dom bankowy Augusta Goldstücka i Spółki w Warszawie. Najmłodszy, będący w szkołach jeszcze, uczył się bardzo dobrze.

Ale największą pociechą ojca, niejako dumą jego i rozkoszą, była córka, której na imię było Róża, hoża brunetka słusznego wzrostu i rysów twarzy może nieco grubych, lecz pięknych i miłym ożywionych wyrazem.

Główną jej pięknością były bujne czarne włosy i duże czarne oczy, o których możnaby rzec, iż były pełne jakiegoś wilgotnego żaru. Wyobraźmy sobie dwie lampki elektryczne, świecące w czarną noc, a zanurzone w jakiejś bezdennej krynicy; takiem było jej spojrzenie. Oczyma temi przypominała panna Róża nieboszczkę matkę swoją, którą pan August pochował przed kilku laty.

Kochał ją też ojciec z tego powodu bardzo, i pieścił, i hołubił nieustannie. A było coś śmiesznego i rzewnego zarazem w pieszczotach tego człowieka, który, mając wiecznie głowę interesami i cyframi nabitą, wyszukiwał najdziwaczniejsze porównania, aby dziecku wyrazić swe upodobanie.

— Ty jesteś moje miliony... Ty jesteś mój najdroższy kuponik! — mawiał, spoglądając na nią z wyrazem niewysłowionej tkliwości.

— A ty jesteś moja najukochańsza dywidenda! — odpowiadała Róża, odwzajemniając jego pieszczotę.

Nie było jednakże drwiny w tem napozór ironicznem odezwaniu się. Dziewczyna rosła w otoczeniu ludzi, goniących za pieniędzmi i powtarzała to, co się obijało o jej uszy. Wiedziała, że dywidenda musi być czemś dobrem i godnem pożądania,

skoro się o nią troszczą wszyscy tak gorąco i z takiem jej wyczekują upragnieniem. A więc wplatała to gdzieś zasłyszane miano do swojej pieszczoty, pragnąc ojcu wyrazić swe przywiązanie.

Pan August nie szczędził pieniędzy na wychowanie swej córki. Sprowadzał do niej guwernantki z Paryża i z Londynu; kazał ją uczyć języków, literatury, gry na fortepianie, rysunków, śpiewu, dając jej najlepszych i najdroższych nauczycieli. Żadna ofiara nie była mu w tym celu za wysoką.

I znów mówili ludzie, iż pobudką, która do tego skłania pana Augusta, jest próżność, a mieli istotnie pewną podstawę do tego zarzutu, chętnie bowiem opowiadał on każdemu, jak wiele go kosztuje wychowanie swej jedynaczki. Wszelakoż, ściśle rzeczy biorąc, była u tego człowieka, który wszystko na pieniądze obliczał, chełpliwość ta poniekąd wytłómaczoną. Zdawało mu się, iż blasku dodaje swej córce, opowiadając, jakie na jej wychowanie łożył sumy. I jemu samemu droższą była Rózia, im więcej na jej edukacyę wydawał pieniędzy.

Rozwijało się też dziewczątko pięknie, korzystając z tego troskliwego wychowania. Śpiewało, „jak kanarek," tańczyło, „jak wodospad," a kiedy grało na fortepianie, to różowe paluszki jej biegały po klawiszach tak, „jak młode baranki po łące."

Ojciec lubował się temi postępami, przysłuchując się piosnkom Schumana lub nocturnom Szopena, które Róża wykonywała z wielką biegłością i rzetelnem uczuciem.

— Ty jesteś moja słodka córka!—wołał raz wraz zachwycony.

— A ty jesteś mój słodki tato — odpowiadało dziewczę, niezrażone jednostajnością tej pieszczoty.

Jednakże Rózia rosła; młody dziewiczy pączek nabierał coraz więcej pełni rozkwitającego kwiatu. Kształty jej wypełniały się i zaokrąglały coraz więcej, a spojrzenie płomieniste niedawno jeszcze temu

stało się marzącem i nabyło jakiejś, jak gdyby aksamitnej miękkości. Wiek, muzyka, którą uprawiała, poezya, którą miłowała namiętnie, rozbudziły w niej ów romantyczny pierwiastek, który drzemie w piersi każdej semitki.

Zaczęła marzyć o sojuszu bratnich dusz, o miłości, która ziemię w raj zamienia, o całunkach rozkochanych ust, które się z sobą zlewają, jak dwa płomienie, w gorącym splecione uścisku. Ale marzenia te snuło dziewczę gdzieś w dal, w jasną jakąś, słońcem ozłoconą chmurkę bliżej nieokreślonej przyszłości, ku której serce jej rwało się w tęsknocie; dotychczas bowiem nie znalazło przedmiotu dla swego uczucia.

Aż raz w niedzielę po obiedzie — było to właśnie w zimie — wyszedłszy ze swą guwernantką na ślizgawkę, ujrzała młodego, smukłego bruneta, mogącego mieć co najwięcej lat dwadzieścia cztery, który cudów zręczności dokazywał na lodzie. Miał na sobie krótki, z bobrowym kołnierzem surducik, który uwydatniał jego harmonijne kształty i bobrową, z fantazyą na głowie osadzoną czapkę. Trudno było z odzieży rozpoznać, kto to taki, ale z wdzięcznego układu i ze swobody, z jaką się poruszał, można było wysnuć wniosek, że to ktoś, co posiada niezależność i przyzwoite w świecie stanowisko.

Było-li to z umysłu, czy przypadkiem, dość, iż nieznajomy młodzieniec nieustannie oskrzydlał pannę Różę, zręczne koło niej zataczając kręgi. Kilka razy spotykali się z sobą oko w oko.

Dziewczę spostrzegło, iż młody łyżwiarz ma rysy twarzy piękne, ożywione jakimś zuchwałym wyrazem i duże, czarne oczy, spoglądające na nią z zaciekawieniem i lubością. Spojrzenie to mieszało ją i radowało zarazem. Panna Róża wróciła do domu rozmarzona, więcej nawet, bo zakochana w pięknym młodzieńcu.

Chodziła od tego czasu co dnia z bijącem ser-

cem na ślizgawkę, ciesząc się nadzieją, że go spotka. Szła wesoła i pełna jakiegoś lubego niepokoju; powracała smutna i przygnębiona, doznawszy przykrego zawodu. Nie zdarzyło jej się już ani razu spotkać pięknego łyżwiarza, ani żadnego z jego przyjaciół, zauważyła bowiem, iż przyszedł był wówczas w gronie wesołej młodzieży, której zdawał się przewodzić.

Może inną sobie obrał ślizgawkę, a może to był przejezdny, bawiący tylko chwilowo w Warszawie? Niepewność ta dręczyła ją i rozmarzała coraz bardziej. Wreszcie pękły lody i z romansu panny Róży pozostało tylko wspomnienie; coś niby sen, w którym postać pięknego bruneta rysowała się na tle śniegu i drzew, okrytych okiścią.

Ale sen ten był jej drogim; pieściła go i powracała ciągle do niego. Upajając się jego czarem, a strojąc go barwami wyobraźni, podnieconej czytaniem powieści i rozmarzających poezyj, wygrzewała swój romans dziewczęcy, karmiąc go tęsknotą. I zamieniał się pod tym wpływem sen jej powoli w rzeczywistość, opanowując ją coraz bardziej, wnikając coraz głębiej w jej duszę i stając się życia jej potrzebą.

Pan Goldstück spostrzegł był przeobrażenie, jakie przebywała jego córka i zrozumiał, iż z dziewczęcego pączka rozkwita niewiasta. Prowadził ją teraz do teatru, na koncerty, na wieczory w domach przyjaciół, radując się wrażeniem, jakie wszędzie wywoływało pojawienie się panny Róży.

Ale jakkolwiek w kołach, w których się obracał, nie brak było przyzwoitej młodzieży, nie mógł się żaden pochlubić, iż zdołał na siebie zwrócić uwagę rozmarzonego dziewczęcia. Ani teatr, ani muzyka, ani towarzyskie zebrania, nie miały dla niej uroku. Marzyła o swym pięknym łyżwiarzu i tęskniła.

Jednakże sława panny Róży rozeszła się po

świecie i dyskretnie zaczęli pana Augusta wypytywać przyjaciele i *szatchuny*, czyby tego lub owego młodzieńca nie przyjął za zięcia. Zgłaszali się w ten sposób pretendenci z Berdyczowa, z Kijowa, z Wilna, a nawet z Krakowa, Lwowa i Brodów—pretendenci poważni, młodzi, urodziwi, a co najważniejsza, majętni.

Pan August rokował z agentami, korespondował z przyjaciołmi, poczytując ten rodzaj kojarzenia stadeł małżeńskich za właściwy. Wszakże to był właśnie sposób, w jaki Izaak pojął niegdyś Rebekę; wszakże i on sam przed trzydziestu laty poznał nieboszczkę swą małżonkę dzięki usłużnemu pośrednictwu *szatchunów!*

Wszelako rokowania te, jakkolwiek z wielką prowadzone usilnością, nie przynosiły długi czas pożądanego skutku; pan Goldstück bowiem wymagającym był, mając w tej mierze swój własny pogląd na rzeczy.

Tak jak dwa palce u ręki nie są sobie równe, tak też i ludzie różnią się z sobą. Co innego np. jest Bergstein, a co innego Bernstein, co innego Feiteles, a co innego Teiteles, jakkolwiekby się napozór zdawało, że tu żadna nie zachodzi różnica i że obadwaj gdzieś z Grecyi tak, jak Tales, Sofokles, Praksyteles i Apeles pochodzą.

Tymczasem tak nie jest wcale, familia Teitelesów bowiem jest bardzo piękną, jest *iches*, od dawien dawna zamożna i używająca wielkiego poważania, podczas gdy Feitelesowie są wprawdzie także bogaci, ale się z Teitelesami i co do znaczenia żadną miarą równać nie mogą.

Pan August, mając te względy na oku, nie kwapił się z wyborem pomiędzy licznymi konkurentami, którzy się zgłaszali, i przebierał pomiędzy Gold i Silbersteinami, Brylantami i Rubinami, Manelesami i Chanelesami, Cukiersüssami i Pomerancami, Lilien-

duftami i Rozenstokami, nie przymierzając tak, jakby to były ulęgałki.

Aż wreszcie zgłosił się ze Lwowa Teiteles, autentyczny, dwudziestosiedmioletni Teiteles, będący już doktorem medycyny, posiadający wcale pokaźny majątek i mający przed sobą widoki świetnej karyery. Był to właśnie zięć po myśli pana Augusta, bo i młody, i przystojny, wykształcony, i majętny, i pochodzący z wielkiej familii.

Gdy więc pretendent oświadczył swoje zamiary i nadesłał swą fotografię, uznał pan August za rzecz stosowną wtajemniczyć córkę swą w stan rozpoczętych rokowań. Ale panna Róża wybuchnęła na widok fotografii płaczem, który trudno było utulić i nie chciała o niczem słyszeć, twierdząc, że doktór Teiteles jest brzydkim i że mu nigdy serca swego nie odda.

Prawdę powiedziawszy, miała panna Róża poniekąd słuszność względną. Twarz pretendenta składała się z rysów nader charakterystycznych, a poczytywanych ogólnie za piękne i szlachetne. Miał nos i brodę Burbonów, usta o wydatnej Habsburskiej wardze, oczy i brwi właściwe członkom panującego włoskiego domu, a włosy nieco kędzierzawe, jak u portugalskich Braganzów. Ale wszystkie te piękności, razem wzięte, tworzyły typ osobny i wielce charakterystyczny. Dość było spojrzeć na fotografię doktora Teitelesa, by odrazu poznać, do jakiej rasy należy.

III.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada, ale miłość duszy tkliwej trwa, jak wryty w ziemię głaz.

Pan Goldstück zmartwił się wielce, usłyszawszy słowa swego dziecięcia. Zrazu usiłował je ła-

godnie nakłonić do swoich zamiarów, przedstawiając mu świetność i korzyści tego związku, ale daremnie! Panna Róża nie chciała słyszeć o lwowskim pretendencie, twierdząc, iż woli umrzeć, niż oddać mu swą rękę. Tęczowy sen pana Augusta prysnął, jak bańka mydlana; nie było po co doktora Teitelesa sprowadzać do Warszawy.

Ojciec przestał nalegać, ale dziewczę płakało i tęskniło. Uczucie, drzemiące dotychczas w jego sercu, rozbudziło się było skutkiem ostatnich zajść i spotęgowało, ogarniając całą jego duszę. Panna Róża przyszła do przeświadczenia, iż żyć nie może bez pięknego łyżwiarza.

Niepokój, który ją trawił obecnie, zaczął się odbijać na jej zdrowiu. Rumieniec spełzł z jej lica, podobnego niedawno jeszcze temu do dojrzewającej brzoskwini. Oczy jej, marzące przedtem i zadumane, nabrały gorączkowego blasku. Suchy jakiś, niedobry kaszel zaczął ją dręczyć coraz częściej, osłabiając i rozdrażniając jej nerwy. Pod wpływem tym stawała się coraz skłonniejszą do płaczu i tęsknej zadumy.

Zaniepokojony ojciec wezwał najbieglejszych lekarzy; ci jednak oświadczyli, że panna Róża zdrową jest zupełnie i że niemoc, która ją ogarnęła, musi mieć źródło w jakiemś moralnem cierpieniu. Pan Goldstück zadawał sobie teraz pytanie, jakie to może być cierpienie? Dziewczęciu nie zbywało na niczem; opływało we wszelkie dostatki. Nie miało czasu nawet niczego pożądać, bo natychmiast spełniano jego życzenia. Uciech światowych i rozrywek, ktorych mu ojciec nigdy nie skąpił, nie pożądało wcale. Nie była to więc nuda, która je rozstrajała i nękała. Pan August wpadł na myśl, że to prawdopodobnie musi być kochanie.

Jakoż, nie zwlekając wcale, zaczął córkę swą wybadywać w tym kierunku, a uczynił to z taką serdecznością, z takiem ciepłem, że panna Róża, roz-

rzewniona jego dobrocią, wyjawiła mu wśród pieszczoty swoją tajemnicę.

— No i czegóż się tu smucić?—zawołał uradowany.—Kochasz go, chcesz go, no, to go będziesz miała... Oj oj, wielki interes!... Chociażby to był jaki hrabia, to ja ci go kupię... Potrzeba będzie dać sto tysięcy, to się, Bogu dzięki, znajdą... A jak będzie potrzeba dać jeszcze dziesięć tysięcy, i jeszcze dziesięć tysięcy, i jeszcze dziesięć tysięcy, to także jeszcze nie tak wielki strach.... Tylko powiedz mi, kto on jest i jak się nazywa?

— Ja nie wiem, ojcze — odparła smutnym głosem panna Róża.

— Jakto, ty nie wiesz?... *Wie heist*, ty nie wiesz?—spytał pan Goldstück zdziwiony. Ty potrzebujesz przecie wiedzieć, jak się nazywa ten, w którym się kochasz.

— Widziałam go tylko raz jeden w życiu.

— Widziałaś go tylko jeden raz w życiu i kochasz go?

— Tak jest, ojcze, kocham go nad życie... Żyćbym nie mogła bez niego!

— *Heist ein stouss*; nie mogłaby żyć bez niego!... Zerwał się z fotelu i zaczął szybkiemi krokami chodzić po pokoju.

— No i jakże on wygląda? — spytał znów po chwili.—Trzeba go przecież szukać, skoro sam nie przychodzi, a ty nie możesz żyć bez niego.

— Słuszny jest i smukły... Ma czarne oczy i czarne wąsiki.

— No i co więcej?

— Jest bardzo zgrabny, umie się ślizgać doskonale.

— Nie o to chodzi... Ja się ciebie pytam, jak on wygląda?

— Ma krótki paltot z bobrowym kołnierzem i bobrową czapkę na głowie.

Pan Goldstück załamał ręce.

— No i jakże ty chcesz, żebym ja ci w maju szukał człowieka, o którym tyle tylko wiesz, że się umie ślizgać i że ma bobrowe futro i czapkę bobrową!—zawołał płaczliwym głosem.—Przecież teraz nikt nie chodzi w futrze... Wszyscy noszą letnie żakiety i jasne kapelusze—dodał żałośnie.

Dziewczę wybuchnęło płaczem nerwowym.

— No, nie płacz, nie płacz, moje ty miliony!— uspakajał pan Goldstück, pieszcząc i całując rozżaloną.—Nie płacz, będziemy go szukali, znajdziemy go, tylko nie płacz, mój ty skarbie jedyny... Jak skoro on się ślizga, to on musi także i pływać, albo jeździć na tych dwóch kółkach, jak się to nazywa?

— Na bicyklu—odparła panna Róża.

— Właśnie, właśnie: na bicyklu... Będziemy go szukali pomiędzy wioślarzami i cyklistami... Przecież to nie jest żadna szpilka, żeby się zgubił i żeby go nie można odszukać w Warszawie.

Zaczął też pan Goldstück uczęszczać pilnie na regaty i wyścigi, prowadząc wszędzie z sobą pannę Różę. Ludzie na giełdzie dziwili się, co to takiego i mówili, że Goldstück zwaryował, bo pan August nie mówił już teraz: *Ich nehm, ich gieb*, tylko powtarzał ciągle: *All hail* i *All right*...

Ale panu Goldstückowi nie chodziło wcale o popisywanie się z angielszczyzną, której nie rozumiał, lecz tylko o wyszukanie nie dającego się odszukać łyżwiarza. Powtarzał sakramentalne słowa, które słyszał, by sobie nadać cechę wielce w sporcie rozmiłowanego fantasty. Pragnął częstą swoją obecność w przystani i na torze upozorować w sposób jakiś, mniej lub więcej do prawdy podobny, by nie popaść w podejrzenie, iż polowanie na legendowego bruneta jest celem, za którym się ugania.

Niestety, pomyślny skutek nie uwieńczył tych poszukiwań, prowadzonych tak usilnie i z taką ostrożnością. Czarnooki łyżwiarz był najoczywiściej wyłącznie tylko łyżwiarzem, bo ani pomiędzy wioślarza-

mi, ani pomiędzy cyklistami niepodobna go było odszukać.

Panna Róża wychodziła z domu pełna otuchy, a wracała przygnębiona i znękana. Niepokój, który ją nieustannie trawił, oddziaływał coraz szkodliwiej na jej zdrowie. Ani podróż, ani pobyt w górach, ani porady najbieglejszych lekarzy nie przyniosły zdrowiu jej polepszenia. Zrozpaczony ojciec postanowił szukać ulgi dla córki w magnetyzmie i zażądał porady u doktora Ochorowicza.

Zbadawszy tajemnicę panny Róży, pokręcił doktór Ochorowicz głową. Wistocie, cóż mógł w tym wypadku pomódz magnetyzm; prędzej jeszcze magnetyzer. Można było wprawdzie przez suggestyę starać się nakłonić rozdrażnioną dziewczynę do spokoju. Więcej nawet, można było usiłować wmówić w nią, by o pięknym łyżwiarzu zapomniała.

Ale czyż się to uda w tym wypadku i wobec gwałtowności uczucia, jakie panną Różą owładło? Zdawało się, iż uczucie to zbyt już głębokie w umyśle dziewczęcia zapuściło korzenie, by je można ztamtąd wyplenić, zwłaszcza bez niebezpieczeństwa dla zdrowia pacyentki.

Mimo to przystąpił doktór Ochorowicz do działania. Po kilku minutach uśpił pannę Różę w obecności jej ojca, nie posiadającego się z radości na widok uspokojenia i ulgi, jakie wpływ magnetyzera zdawał się chorej przynosić.

— Ach! panie doktorze, czy ona będzie zdrowa? czy tylko będzie zdrowa? — pytał ze łzami w oczach.

— Nie wiem, szanowny panie — odparł doktór Ochorowicz. — Będę się starał wpłynąć na nią przez suggestyę, ale stanowczo za skutek zaręczyć nie mogę.

— Ach! panie doktorze! To mój skarb jedyny; to moje całe szczęście... Ja niczego nie będę żałował, byle ją uratować... Ja wszystko jej dam, wszystko dla niej zrobię, czego ona tylko zechce... Może ona

czego potrzebuje?... Panie doktorze, niech ją pan spyta, czego ona potrzebuje?... Panie doktorze, ja bardzo proszę, niech ją pan spyta o to!

Doktór Ochorowicz wzruszył ramionami, nie widząc celu takiego zapytania. Wszelako żal mu się zrobiło zrozpaczonego ojca, postanowił więc zadość uczynić jego życzeniu. I wykonawszy kilka pociągów odpowiednich, zapytał chorą:

— Panno Różo, czy mnie pani słyszy?

— Słyszę—odparła przytłumionym głosem.

— Powiedz mi pani, czego pani potrzebuje? — ciągnął dalej eksperymentatcr.

— Ja... potrzebuję... Maurycego—odparła z pewną trudnością dziewczyna.

— Powiada, że potrzebuje Maurycego — rzekł z uśmiechem doktór Ochorowicz, zwracając się do pana Augusta.

— Jakiego Maurycego?... Co za Maurycego?— pytał skwapliwie ojciec.

— Zkądże ja mogę wiedzieć? — odparł zagadnięty.

— Ja znam tylko Maurycego Nelkena, Maurycego Orgelbranda i Jana Maurycego Kamińskiego... Panie doktorze, jak pan myśli, którego z nich ona może potrzebować?

— Sądzę, że żadnego — odparł doktór Ochorowicz. — Zresztą możemy ją zapytać, co to za Maurycy?

I położywszy rękę na czole chorej, spytał ją znów.

— Panno Różo, jakiego pani potrzebuje Maurycego?

— Tego... którego... widziałam... na ślizgawce... Brunet... czarne oczy... bobrowe futro... i bobrowa... czapka.

— Ależ to niepodobna!—zawołał ojciec. — Ona widocznie bredzi w gorączce... Zkądże ona może wiedzieć, że mu na imię Maurycy?

— Prawdopodobnie musi wiedzieć, jak mu na imię.

— Ależ nie, bynajmniej... Pytałem ją niedawno o to... Odpowiedziała, że nie wie.

— Nie wiedziała na jawie, ale przypomniała sobie w śnie magnetycznym.

Pan Goldstück spojrzał na magnetyzera szeroko otwartemi oczyma.

— Nic w tem dziwnego, szanowny panie—ciągnął doktór Ochorowicz dalej.—Wypadki takie zdarzają się i w zwykłym śnie... Musiała słyszeć, że ktoś go nazwał Maurycym, ale wrażenie to zatarło się-było w jej umyśle... Obecnie przypomniała sobie to wrażenie, jak się to zdarza w zwykłym nawet śnie... Wszystko zależy od warstwy świadomości, w której się dany jakiś obraz utrwala.

— Maurycy! Maurycy! — zawołał pan Goldstück.—Trzebaż nam teraz szukać tego Maurycego!

IV.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada. Kto korzystać umie z chwili, ten jest mądry pan.

Suszył sobie teraz głowę pan August nad wynalezieniem sposobu odszukania tego Maurycego. Odkrycie jego imienia było do pewnego stopnia ułatwieniem, z którego należało skorzystać. Można już teraz było, na podstawie szczupłych danych, któremi się rozporządzało, ułożyć wezwanie do pięknego łyżwiarza, aby się zgłosił, celem porozumienia się w sprawie, która mu ustnie zostanie bliżej wyjaśnioną.

Jakoż po kilku dniach umieścił pan August w drobnych ogłoszeniach „Kuryera" wezwanie następującej osnowy:

„Młody, a ślizgać się umiejący brunet, któremu

na imię Maurycy, zechce się zgłosić do kantoru bankierskiego Augusta Goldstücka i Spółki w Warszawie, celem porozumienia się w sprawie ważnej, a osobiście i zblizka go obchodzącej.“

Gdy się to ogłoszenie w „Kuryerze“ pojawiło, zaczęli ludzie głową kiwać nad panem Goldstückiem, dziwując się, iż taki mądry człowiek, takich się głupstw dopuszcza. Bo czy to słyszane rzeczy: pierwej biegał ciągle do przystani wioślarskiej i na tor cyklistów,. powtarzając nieustannie: *All hail* i *All right*, a teraz szuka przez gazety jakiegoś łyżwiarza. Na co mu tego Maurycego? Prawdopodobnie chce się uczyć ślizgać na stare lata. Zwaryował, widocznie zwaryował!

Inni jednakże wietrzyli w tem tajemniczem ogłoszeniu jakiś zapaszek skandaliczny i domyślając się, że to o pannę Różę chodzić musi, haftowali na tem tle najnieprawdopodobniejsze plotki. Pomiędzy młodymi Maurycami zaś, a jest ich w Warszawie niewątpliwie z kilkanaście tysięcy, wywołało ogłoszenie pana Goldstücka ogromne wrażenie.

Skoro taki potentat finansowy wzywa do siebie w sprawie ważnej przez dzienniki, to musi tu chodzić nie o byle co. Kto wie, czy ten, który na podstawie tego wezwania zgłosi się do kantoru Augusta Goldstücka i Spółki, nie zrobi losu?

Wszyscy bruneci, owszem, wszyscy nawet szatyni, którym przy chrzcie świętym i nie świętym dano Maurycego za patrona, pośpieszyli hurmem na to wezwanie. Zgłosiło się też wielu rudych i blondynów, którzy sobie pofarbowali włosy, ażeby zadość uczynić wymaganym warunkom.

Pan Goldstück każdego pytał zaraz na wstępie: umiesz pan się ślizgać? Niektórzy odpowiadali twierdząco; inni nie przypuszczając, by człowiek poważny stawiał na seryo tak dziwaczne zapytanie, i sądząc, że ich pan August z mańki zażywa, wypierali się łyżwy stanowczo; inni wreszcie, przyznając się do

go otwarcie, że nie posiadają łyżwiarskiej sztuki, ɔiecywali święcie, że się jej w najkrótszym czasie yuczą, skoro tego wymaga potrzeba.

Drugich i trzecich odsyłał pan August oczywi:ie do dyabła i do stu piorunów; pierwszych zaś :zyjmował w swym salonie, gdzie za portyerą ukry-ı, przypatrywała im się panna Róża. Umówionem yło, że w razie pojawienia się autentycznego Mau-rcego, ostrzeże panna Róża ojca swego dzwonkiem tym wypadku.

Przesuwała się tedy procesya Maurycych przez ılon pana Augusta, ale w długim tym korowodzie ie pojawił się ten, którego szukano. Dzwonek mil-zał i milczał, a gospodarz zbywał gości swych po ɔlei, wyszukując zawsze coś, co interesanta czyniło .ezdolnym do wrzekomego interesu, do którego go ɔwołano.

Niepokój tego oczekiwania i tych zawodów ›zstrajał coraz bardziej chorą pannę Różę tak, iż .usiano w końcu zaprzestać ogłoszeń, które do do-.u pana Goldstücka ściągały tak wielką ilość gonią-rch za szczęściem Maurycych.

Dziewczyna popadła była teraz w dziwną jakąś ɔojętność i zmartwiałość. Całemi dniami siedziała, patrzona w jeden punkt i w ciężkiej pogrążona za-ımie. Nawet książki, w których niegdyś szukała ›zrywki i pociechy, nie nęciły jej teraz wcale. Pan ugust rozpaczał nad losem ukochanego dziecięcia, e widząc dla niego znikąd ratunku, ni pomocy.

Aż dnia pewnego zjawił się w kantorze młody przystojny brunet, szukający posady. Przybywał Berlina, z listem polecającym od jednego z przyja-ół pana Augusta. Pan Goldstück niechętnem okiem ;ucił na natręta. Tak jest, niezawodnie; to była łaśnie pora najstosowniejsza po temu! Pan Goldstück ie miał istotnie w tej chwili nic pilniejszego do ro-

boty! Cóż go obchodzi jakiś praktykant, szukający zajęcia?

Już, już miał go odesłać z niczem, wyrażając swe ubolewanie, gdy rzuciwszy raz jeszcze okiem na list swego przyjaciela, wyczytał tam imię i nazwisko kandydata, ubiegającego się o posadę.

— Moritz Feiteles! — zawołał, wytrzeszczając oczy.—Moritz Feiteles? — powtórzył raz jeszcze drżącym od wzruszenia głosem. — I pan się nazywasz Maurycy?

— Tak jest, nazywam się Maurycy — odparł zagadniony, patrząc zdziwionem okiem na pryncypała. — Dlaczegobym się nie miał nazywać Maurycy?

— Pan się nazywasz Maurycy i jesteś brunet?— ciągnął dalej pan Goldstück, przypatrując się młodemu człowiekowi z wyrazem ciekawości, podziwu, życzliwości i uradowania. — A umiesz się pan ślizgać?

Kandydat spojrzał na niego ze wzrastającem zdziwieniem.

— Dlaczego nie mam umieć się ślizgać? — odparł, uśmiechając się pobłażliwie, przekonany, że pan pryncypał musiał zwaryować.

Pan Goldstück zerwał się z krzesła, przecierając oczy.

— Pan byłeś tej zimy w Warszawie?

— Byłem.

— Pan masz bobrowe futro i czapkę bobrową?

— Mam!... Dlaczegobym nie miał mieć bobrowego futra i bobrowej czapki?

— Chodź pan do mojej córki! — zawołał pan Goldstück uszczęśliwiony, zapominając w radości, iż nie powinienby okazywać tak jawnie swego zadowolenia. — Chodź pan do mojej córki! — powtórzył raz jeszcze, chwytając za ramię i ciągnąc za sobą oszołomionego młodzieńca.

— Chciałaś Maurycego, to go masz! — rzekł,

stając przed córką swoją zdyszany. — Jest brunet i umie się ślizgać i ma bobrowe futro i czapkę bobrową!...

Panna Róża spojrzała na wpatrzonego w jej oczy młodzieńca. Twarz jej oblała się kraśnym rumieńcem. Pan Maurycy Feiteles był „autentycznie" owym, zeszłej zimy na ślizgawce widzianym Maurycym.

Młodzieniec pokraśniał także, ujrzawszy pannę Różę. Poznał ją odrazu; była to ta sama brunetka, którą widział ubiegłej zimy na lodzie i której twarz utkwiła mu w pamięci. Przypomniał sobie, iż odniósł był takie wrażenie, jak gdyby dziewczątko patrzyło na niego wtedy z ciekawością i miłym jakimś niepokojem. Tak, niezawodnie. Musiał się podobać, skoro pojawienie się jego tak wielce ucieszyło pana Goldstücka.

Świadomość ta napełniła go radością, raz dlatego, że mu istotnie w oko wpadła była piękna brunetka, a powtóre, iż sympatya panny Róży najświetniejsze otwierała mu widoki. Stał właśnie teraz na początku swej handlowej karyery. Otóż wejść w świat finansowy, w ten świat wielkich interesów, jako zięć Goldstücka, było to istotnie wielkim losem dla niezbyt zamożnego i nie posiadającego stosunków młodzieńca.

Wszystkie te myśli przesunęły mu się w jednej chwili przez głowę. Zrozumiał, że akcye jego stoją dobrze, lecz pojął równocześnie, że pragnąc kurs ten utrzymać i podnieść, powinien starać się utrwalić względy, któremi zaszczycała go piękna brunetka. Nie zwlekając też, podszedł ku niej, podał jej rękę, uścisnął dłoń i wymieniwszy swe nazwisko, zaczął mówić o spotkaniu na ślizgawce, o wrażeniu przyjemnem, które wtedy odniósł i które się głęboko wryło w jego pamięci.

A mówiąc to, podkreślał słowa spojrzeniem dużych swych czarnych, wyrazistych oczu, które do-

mawiały to, czego nie wypowiedziały wyrazy. Panna Róża zarumieniła się po raz wtóry. Była mile wzruczona tem, co powiedział, a bardziej jeszcze tem, szego nie domówił, a co przeczuwała.

Podobała jej się jego swoboda i ten takt, z jakim wybrnął z tego nieco trudnego położenia, w którem go postawiło rubaszne znalezienie się pana Augusta. Wdzięczna mu była zato, iż zwróciwszy rozmowę na inny przedmiot, zatarł niemiłe bądź co bądź wrażenie kompromitujących ją ojcowskich słów.

Rozmawiali więc jakiś czas jeszcze o przyjemnościach ślizgawki, które, niestety, dostępne są tylko w zimie i z których przeto śpiesznie należy korzystać, nim prysną lody. Pan Maurycy wyraził nadzieję, iż teraz, gdy się w Warszawie osiedlić zamierza, będzie mógł tej przyjemności używać w towarzystwie panny Róży, co w oczach jego podnosi urok tej rozrywki.

Wreszcie powstał, uścisnął raz jeszcze dłoń uradowanego dziewczęcia i pożegnał pana Goldstücka, który mu polecił, by przybył nazajutrz, celem umówienia się o posadę, jaką mu ofiarować zamierza.

Pan August nie posiadał się z radości. Miał go wreszcie, tego bruneta w bobrowem futrze i w bobrowej czapce, którego tak długo napróżno szukał; miał tego Maurycego, bez którego jego córka nie może żyć. Niech on sobie będzie łyżwiarz, to on mu się przecież nie wyśliźnie. Zresztą, interes to nie jest żaden lód; tutaj Goldstück mocno stoi, a co chce, tego może dokonać.

W oczach mu się dwoiło. Zdawało mu się, że kanapy, fotele, zwierciadła i żyrandole tańczą, i on sam byłby się z niemi puścił w pląsy, tak się czuł szczęśliwym, taką pierś jego wzbierała otuchą.

Porwał pannę Różę wpół i zaczął pieścić i całować.

— No, co, jest Maurycy; jest ten sam z czarnemi wąsikami! — wołał, śmiejąc się wśród pieszczo-

r. — Ha, ha, ha!... A co, nie mówiłem ci, że
ę znajdzie?... Co tu się smucić, co chorować?...
miejże się teraz, ha, ha, ha! śmiej się, będziesz go
iiała.

— Czy on mnie tylko zechce? — odpowiedziała
anna Róża.

— Na co ty takie paskudne słowo mówisz: czy
ı mnie zechce?... Dlaczegoby on ciebie nie miał
ıcieć?... Oj, joj, i jak zechce... Przecieżeś widziała,
k się ucieszył, jak ciebie zobaczył... Zresztą, ja
szystko zrobię, co potrzeba... Ja mu dam jutro
›sadę... Siedm par butów musiałby schodzić, nim-
y znalazł taką posadę, jaką mu dam... A to
szystko dlatego, że ma czarne wąsy i że ci się
›dobał.

V.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to
ada, ale miłość jest jak kompas, co w bezpieczny
iedzie port.

Pan Maurycy zrobił na panu Auguście bardzo
›rzystne wrażenie. Nie była to wprawdzie partya,
jakiej marzył dla swojej córki, bo najprzód był to
eiteles tylko, a nie Teiteles, co wielką stanowi ró-
ıicę. Powtóre nie był to ani doktór praw, ani le-
ırz, wysokie w społeczeństwie zajmujący stanowi-
:o, tylko młody kupiec, nie posiadający żadnych
osunków i stojący dopiero na początku swojej ka-
ery. Przed rokiem dopiero ukończył handlową
ademię; potem był przez osiem miesięcy bezpła-
ıym praktykantem u Grünschnepfa w Berlinie, wcale
ie tłusta posada!

Nie warto było również mówić o jego majątku.
Iiał dwunastą część kamienicy, może cztery, a mo-
e pięć tysięcy rubli całej parady. Cóż to jest dla
ięcia takiego Goldstücka? Zato nie można mu było
dmówić wykształcenia i urody. Zresztą nie było

o czem gadać, podobał się pannie Róży, więc rzecz skończona. Pan Goldstück powiedział sobie, że go na zięcia pozyskać musi koniecznie.

Miał zresztą „interes" ten, jak się panu Goldstückowi w tej chwili przedstawiał, także swoje dobre strony, bo wydając córkę za pana Maurycego, nie potrzeba się było z nią rozłączać, jakby to uczynić wypadło, gdyby Rózia wyszła była za doktora Teitelesa, mieszkającego we Lwowie.

Powtóre, można było przypuścić, że pan Maurycy, jako Feiteles, jako mniej zamożny i nie posiadający wielkich stosunków, a stojący dopiero u początku swojej karyery, mniej będzie wymagającym od doktora Teitelesa, posiadającego wpływowe stanowisko, majątek i wielkie znaczenie w społeczeństwie.

Ostatni wzgląd odgrywał w kombinacyach pana Augusta wcale niepośledni rolę, bo jakkolwiek gotów był dla uszczęśliwienia Rózi oddać wszystko, to jednakże byłby rad uczynić to jak najpóźniej. Pieniądz jest tak długo pieniądzem, dopóki się go w ręku trzyma. Można nim wtedy jeszcze obracać tędy i owędy, przysparzając sobie nietylko zysku, ale i przyjemnosci. Lecz jak go się raz odda zięciowi, wtedy już rzecz skończona. Nie ma już nawet o czem mówić, bo to już zupełnie tak, jakby go nie było.

Więc też przywitał pan Goldstück pana Maurycego wielce serdecznie, gdy się nazajutrz pojawił w kantorze. Posadził go na fotelu, potraktował prawdziwem hawańskiem cygarem i patrząc mu w oczy życzliwie, jął mówić;

— Nie ma u nas w tej chwili otwartej posady, a ja nie chciałbym z jednej strony panu byle co ofiarować, z drugiej zaś, nie mogę wspólnika mego obciążać jakimś nadzwyczajnym, a nie koniecznym wydatkiem... Ale ja panu coś powiem... Pan będziesz moim prywatnym sekretarzem... Pan będziesz... czytał gazety, a jak pan tam coś znajdziesz ciekawego,

np. czy będzie wojna, czy nie będzie wojny, to mi pan to powiesz... No, oprócz tego, będziesz się pan przypatrywał robocie, jaka tu jest, będziesz pan starał się zaznajomić z interesem, czasem pan jakiś list napiszesz... Rozumiesz pan?

— Dlaczegobym nie miał rozumieć?

— Za to pan u mnie będziesz miał wikt — ciągnął pan Goldstück dalej z uśmiechem — śniadanie, obiad i kolacyę... No, i dam panu sto rubli miesięcznej pensyi... Czy zgoda?

— Ależ, panie radco! — zawołał uradowany młodzieniec. — Nigdym się czegoś podobnego nie spodziewał.

— Pan się nie spodziewałeś?... No, i ja, co prawda, wcalem się tego nie spodziewał... A czy pan wiesz, dlaczego ja panu daję tę posadę?... Pan może myślisz, że ja potrzebuję prywatnego sekretarza?... Bynajmniej!... Ja pana biorę za sekretarza, dlatego, że się pan mojej córce podobał... Pan będziesz z nią chodził na ślizgawkę, na spacer, do teatru, na koncerty, no, a potem, jak się bliżej poznacie, to możemy i o małżeństwie pogadać.

— Panie radco! — zawołał młodzieniec, chwytając dłoń pana Goldstücka i ściskając ją wzruszony.

— Powoli — odparł pan August — powoli... Ja jeszcze nic nie powiedziałem... Ja tutaj nie mam nic do gadania, tylko moja córka... Moją rzeczą było dać panu posadę, więc ją panu dałem... A co się tyczy małżeństwa, to jej będzie rzecz... Jak przyjdzie czas, to niechaj ona powie, co o tem myśli... To będzie jej interes; przecież ona będzie z mężem żyła, nie ja.

Wziął sobie pan Maurycy tę nauczkę do serca i zaczął pilnie asystować pannie Róży, starając się jej przypodobać na każdym kroku. Nie było mu to rzeczą trudną, dziewczyna bowiem rozmiłowała się w nim była na pierwsze wejrzenie. Wszystko, co

uczynił, wydawało jej się dobrem i pięknem; każde jego słowo znajdowała mądrem i dowcipnem.

Śmiała się i radowała, będąc w jego towarzystwie, a wesołość ta i szczera ochota korzystnie oddziaływały na jej zdrowie, które wkrótce nic nie pozostawiało do życzenia. Widocznie prawdę powiedziała, gdy ją pytał dr. Ochorowicz, czego jej potrzeba? Potrzeba jej było Maurycego.

Pan Goldstück cieszył się wielce ze szczęścia swej córki i nie strofował wcale swego sekretarza zato, iż więcej pilnował spacerów i ślizgawki, niż interesu. Wreszcie przekonawszy się, iż młodzi ludzie szczerze mają się ku sobie, sam panu Maurycemu powiedział, iż czasby już pomyśleć o małżeństwie. Obiecywał, iż córce swej da piękną wyprawę, a zięciowi wyrobi intratną posadę u któregoś ze swoich przyjaciół, oraz że mu corocznie wypłacać będzie trzy tysiące rubli na utrzymanie żony.

Ale pan Maurycy nie był w ciemię bity. Wiedział on dobrze, jak głęboko się usadowił w sercu panny Róży i że pan Goldstück wszystko da, czego zażąda, byle tylko zapewnić szczęście swej jedynaczki. Więc też, czując mocny grunt pod nogami, naciągał strunę swoich wymagań, nie poprzestając na tem, co mu ojciec wyznaczyć zamierzał. Ostatecznie zgodzono się na trzy tysiące sześćset rubli rocznej renty, które pan Goldstück zobowiązał się w półrocznych ratach wypłacać swojemu zięciowi. Oprócz tego miał mu odstąpić willę, którą posiadał w Grodzisku, i wypłacić w dzień ślubu trzydzieści tysięcy rubli do rąk pani Maurycowej. Można byłoby mieć trzech doktorów Teitelesów za te pieniądze!

Skrobiąc się w głowę i lamentując, przystał pan Goldstück na te warunki. Wistocie, cóż miał robić? Nie mógł przecie dla głupich trzydziestu tysięcy rubli zerwać z tym, którego córka jego kochała tak gorąco. Wszakże Rózia dawno już powiedziała, iżby żyć nie mogła bez pana Maurycego. Ha, no, trudna

rzecz! Trzeba się było zgodzić na te twarde warunki. Pan Goldstück pocieszał się myślą, że będzie miał sprytnego zięcia.

Zaraz po zaręczynach zaczęto robić wyprawę, na którą pan Goldstück nie żałował pieniędzy. Samych futer kupił córce swej trzy, sukien dwanaście, a co tam było okryć, a bielizny, a srebra stołowego, a porcelany! Śmiało można było z tych rzeczy sklep założyć. Za same koronki zapłacił trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dwa ruble i siedemdziesiąt dwie kopiejki.

Nie robiłbym o tem wzmianki, gdyby pan Goldstück sam każdemu nie mówił, ile go to kosztuje, i gdyby ta suma nie była czarno na białem zapisana w jego rachunkach.

I wesele także było bardzo świetne. Kogo tam nie było? Był cały świat. Byli państwo Reichowie i pan Ehrenfest i pani Verstendig i państwo Filozofowie, sami ludzie zacni i uczeni. Był także pan Löw i pan Wolf i pani Adler i państwo Papagajowie i cały ogród zoologiczny, same najrzadsze zwierzęta.

Nie brakowało także państwa Goldbergów i Silbersteinów; był pan Brylant i pan Dyamand i pan Topaz, wszyscy od kruszców i drogich kamieni. Byli także ludzie pachnący, jak pan Lilienduft i pani Mandelblüth, i ludzie słodcy, jak pan Rodzynek i państwo Pomerancowie, i ludzie wojenni, jak pan Pistolet i pani Szabla, z małemi Szablątkami. Na wołowej skórzeby nie spisał, kto tam był, a wszystko się błyszczało od złota, pereł i drogich kamieni.

Wspaniałą też była kolacya, bo pan Goldstück powiedział kucharce, aby nie szczędziła trufli, ni wina do sosów najlepszego gatunku. Pod tortami, pod cukrami i owocami uginały się aż stoły, a Sherry, Burgund, stary Tokaj lały się strumieniem. Wszyscy bawili się wesoło i byli pełni oczekiwania, wiedzieli bowiem, że pan August ma córce wręczyć czek na

trzydzieści tysięcy rubli i że czek ten znajduje się w kieszeni jego fraka.

Ale pan August nie kwapił się wcale z oddaniem tych pieniędzy. Z nerwowem drżeniem przyciskał rękę do piersi, na której w kieszeni fraka spoczywał czek, dniem przedtem w banku zakupiony. Widocznie żal mu było rozstawać się z tym kapitałem. Wreszcie przemógł to na sobie, przywołał córkę, ujął ją za ręce i rzekł, śród ogólnej ciszy, drżącym od wzruszenia głosem:

— Moja kochana Róziu. Wiesz o tem, żem przyrzekł twojemu mężowi dać ci dziś trzydzieści tysięcy rubli... Te pieniądze mam tu na piersiach, w kieszeni mojego fraka... Ale czy ty wiesz, co to trzydzieści tysięcy rubli?... Trzydzieści tysięcy rubli, to kapitał, to majątek... Czy ty wiesz, ile ja się musiał napracować, nim to zebrałem?... Nie myśl, że mi to z nieba spadło; musiałem to ciężko zarobić.

Rozczulony, zamilkł chwilę, ocierając łzę z oka.

Panna Róża podniosła rękę jego do ust i wycisnęła na niej gorący pocałunek.

— Tak, ja wiem — ciągnął dalej pan Goldstück ze wzrastającem wzruszeniem — ty dobre jesteś dziecko, ale mimo to, trudno mi się rozstać z temi pieniędzmi, które musiałem tak krwawo zapracować... Ja ci coś powiem, moja Róziu — dodał, odsłaniając kieszeń swojego fraka — ja nie mam serca dać ci tych pieniędzy... Weź ty je sobie sama... Tutaj w kieszeni są.

To rzekłszy, odwrócił głowę, aby nie patrzeć na swoje umartwienie.

Marcus Tullius Maruda.

Ile razy zdarzy mi się popełnić grzech jakiś mniej lub więcej różowy, ile razy dam się usidlić pokusie w koronkach i batyście, tylekroć odzywa mi się w sercu głos sumienia, strofując mnie i wytykając mi popełnione, lub też zamierzone zdrożności.

— Kaziu! Bój się Boga, co ty robisz?... *Quousque tandem?*... Narażasz na szwank zdrowie, spokój, cześć swą, a nawet i zbawienie!... Grzeszna miłość jest jedną z największych klęsk ludzkiego żywota; plonem jej są zawsze nieszczęścia, hańba i zgryzota!... Jestto jakby dół, napełniony zarzewiem... Przypomnij sobie przykład nieszczęsnego Parysa, który tak wielkie klęski sprowadził na siebie, na ród swój, na ojczyznę, uległszy grzesznej miłości... *Fuimus Troes, fuit Ilium et ingens gloria*; wszystko to zgubiła nieszczęsna namiętność!... Opamiętaj się, na Boga! Jeżeli już tak słabym jesteś wobec pokus krwi gorącej, to się ożeń, młodzieńcze!... Wprawdzie *nil melius coelibe vita*, ale czyż nie lepiej przy boku cnotliwej, wiernej i kochającej żony pędzić żywot w spokoju i zacności, aniżeli uganiając się za zwodniczemi wietrznicami, lecieć w przepaść grzesznej rozpusty?...

— E he! he! — odpowiadam na to. — Nie ma głupich!... Gdzie dziś szukać żony kochającej, wiernej i przykładnej?... Wszakże wiem to z własnego doświadczenia, że ich nie ma!... Więc już jeżeli los taki na tym garbatym świecie, że ktoś musi rogi nosić koniecznie, to wolę już w każdym razie...

— Cyt, Kaziu, nie kończ, bój się Boga, nie kończ—przerywa mi wtedy sumienie.—Opamiętaj się, młodzieńcze, co ty mówisz?... To bluźnierstwo! Sama już myśl taka grzeszną jest, i pozostawia brudny osad w duszy...

I strofuje mnie tak dalej sumienie, przytaczając liczne z życia i z książek przykłady na poparcie swych przestróg i wyrzutów.

Ani słowa! Prawi jak z książki, mimo to oczywista rzecz, że go nię słucham, przyznając mu zazwyczaj słuszność dopiero po niewczasie! Gdy różowy grzeszek mój okwitnie, pozostawiwszy mi tylko cierniste wspomnienia; gdy mi sadła za kołnierz naleje moja batystowa pokusa, wtedy dopiero uznaję mądrość przestróg mojego wewnętrznego doradcy i skruszony obiecuję poprawę.

Jednakże i to nie pomaga, i przy najbliższej sposobności, zapominając o przykładzie „nieszczęsnego Parysa“, lecę znów na oślep w wiadomy już „dół glęboki, napełniony zarzewiem.” Niestety, och niestety, wystarcza, by mi pierwsza lepsza pokusa w koronkach i batyście pokazała swe perłowe ząbki, natychmiast zapominam na śmierć o gorzkich naukach doświadczenia i o powziętych w chwili skruchy dobrych przedsięwzięciach.

* * *

Ale nie o to chodzi. Każdy z nas ma podobnego wewnętrznego doradcę i sędziego; każdy z nas słyszy surowy głos jego w chwilach pokusy, i każdy ma zawsze trzydzieści sześć tysięcy siedemset ośm-

dziesiąt dziewięć dobrych przyczyn, aby go nie słuchać. Chodzi mi tutaj o to, że ów głos wewnętrzny, który mnie w ważnych chwilach mego żywota ostrzega lub strofuje, brzmi zupełnie tak, jak głos mojego starego nauczyciela Marczyńskiego, mając tę samą nosową intonacyę.

Dziwny to był człowiek ten Maruda — Marcus Tullius Maruda, jak go nazywałem, gdym wiedział, że mnie nie słyszy. Moralista i pedant, uczony a niedorzeczny, surowy a słaby, podejrzliwy a naiwny, poważny a śmieszny zarazem, był on jak gdyby umyślnie wybrany na to, aby mi zbrzydzić tabakę, którą zażywał, klasyczną łacinę, którą co chwila cytował, i „rzymską cnotę“, o której prawił bez ustanku.

Nie było nic pocieszniejszego nad jego kazania, nadziane cytatami i przykładami ze starożytnych dziejów. Chciałby mnie był gwałtem przemienić na Rzymianina, pełnego surowości i powagi. Dziecinne psoty moje były w jego oczach przerażającemi zdrożnościami. Gdym się dopuścił roztargnienia, prawił mi o Hannibalu, który już w dzieciństwie myślał poważnie; gdym zrobił żyda na papierze, stawiał mi za przykład Grachów i Katona.

Gderaniom takim nigdy nie było końca, i strofujący głos mego nauczyciela wbił mi się w słuch tak dalece, że go i dziś słyszę, ilokroć się dopuszczę jakiegoś wybryku. Wewnętrzny sędzia mój i doradca mówi przez nos, całkiem tak jak Marcus Tullius Maruda, cytując przytem łacinę, i nazywając mnie „młodzieńcze“, choć mam lat już blizko czterdzieści. Być może, iż się to wam dziwnem wyda, ale jestem najwięcej przekonany, że sumienie moje zażywa tabakę.

*
* *

Nizki, łysy i pękaty, miał nauczyciel mój głowę nadzwyczaj wielką a śpiczastą, ogromne odstające

uszy, na wierzchu głowy osadzone oczy i nos od zażywania tabaki fioletowy. Nie był to właściwie nos, lecz raczej narośl gąbczasta, podobna do środka w granatowem jabłku.

Nos ten wywierał na mnie wpływ magnetyczny. Słuchając wykładu, lub odpowiadając na pytania mego mentora, którego Achilesową piętą była ta narośl potworna, nie mogłem od niej oderwać oczu.

Przekonałam się o tem wkrótce, że nie chcąc w zły humor wpowadzać Marudy zwalczyć należy niemiłą mu ciekawość, ale nie miałem siły oprzeć się pokusie. Nos ten drażnił mnie, rozciekawiał, łaskotał myśl moją i opanowywał uwagę, zwłaszcza latem, gdy do niego szturm przypuszczały muchy, z któremi rozpaczliwe walki musiał staczać mój nauczyciel.

Natarczywość ich doprowadzała go do wściekłości, którą jednak tłumił w sobie, nie chcąc zwrącać mojej uwagi na swe pocieszne zapasy. Wówczas zasypywał mnie gradem pytań bez liku, usiłując myśl moją zatrudnić i baczność odwrócić. Wszelako starania te ostrzegały mnie tylko, że w okolicy nosa Marudy dziać się musi coś nadzwyczajnego i z tem większą ciekawością przypatrywałem się jego wysiłkom. Wtedy, stwierdziwszy moje roztargnienie, moralizował bez końca.

Nie mówił jednakże wprost, o co mu chodzi. Kołował zdaleka, strofując mnie za lekkomyślną nieuwagę i dopatrując się w niej zgubnego wpływu grzesznych podszeptów ducha wieku, „który niezdolnym jest pojmować i traktować życia tak poważnie, jak je pojmować i traktować powinien człowiek cnotliwy."

Lekkomyślnośc młodych obywateli, skłonność ich do szyderstwa i brak poszanowania dla starszych, były, zdaniem jego, pierwszą przyczyną upadku społeczeństw. Tezę ową udowodniał, cytując: Juwenala, Petroniusza i Tacyta. Wynikało ztąd jak na dłoni, iż Rzym upadł dlatego jedynie, że młodzi patrycyu-

sze nie mieli należytego szacunku dla nosów swych nauczycieli.

* * *

Portret Marcusa Tulliusa Marudy byłby niezupełnym, gdybym tu nie wspomniał o jego wstręcie do niewieściego rodu i jego wstydliwości, posuniętej aż do dziwactwa. Nienawidził Łazienek i Saskiego ogrodu z powodu „nieprzyzwoitych“ posągów, które się tam znajdują. Do przechadzek naszych wybierał zawsze miejsca odludne, rumieniąc się, spuszczając oczy i usiłując odwrócić moją uwagę, ilekroć się nam zdarzyło spotkać jaką kobietę.

Jaki był powód tej odrazy, była-li to wrodzona nienawiść, był-li to skutek w miłości doznanych zawodów, tego wyjaśnić nie jestem w stanie. Prawdopodobnie odgrywał w tem pewną rolę nos mojego mistrza, który, jak już wiemy, był Achilesową piętą tego surowego Rzymianina.

Cokolwiekbądź, pewnem jest, że Marcus Tullius Maruda pałał ślepą zawziętością nietylko dla żywych kobiet, ale i dla tych, które już dawno umarły. Tłumacząc mi Wirgiliusza i Horacego, przeskakiwał wszystkie miejsca, które się do kobiet i bogiń odnoszą, a gdy mu wypadło mówić o mitologicznych, bibilijnych lub historycznych bohaterkach, czynił to zawsze z tajemniczą jakąś niechęcią i pogardą.

Największą jednak nienawiścią gorzał Marcus dla Heleny Trojańskiej. Ilekroć o niej wspominał, zapalał się gniewem bezmiernym, piorunując przeciw niewieściemu rodowi, którego płochliwość i zmienność—*varium et mutabile semper femina*—jest przyczyną wszystkiego złego na świecie. Miłość była, zdaniem jego, jedną z największych klęsk ludzkiego istnienia, a koniecznym plonem jej były nieszczęścia, hańba i zgryzota. Cnotliwy młodzieniec winien przeto unikać sideł niewieścich, gdyż — *notumque furens*

quid femina possit — uśmiechy kobiet są zdradzieckim jadem, a spojrzenia zabójczą trucizną.

*
* *

Rozumie się, że kazania te nie wywierały zamierzonego skutku. Tajemniczość nienawiści, którą Marcus Tullus Maruda pałał dla niewieściego rodu, zaostrzała tylko bardziej jeszcze moją ciekawość, a pogarda, z jaką się wyrażał o grzesznych rozkoszach miłości, rozpalała moją wyobraźnię. Odszukiwałem pilnie w Wergiliuszu i Horacym miejsca, które mój nauczyciel pomijał i odczytywałem je po sto razy, marząc o Lydii, i Amarylidzie, wzdychając do Semiramidy i Kleopatry, a roniąc łzy nad Dydoną i Aryadną.

Wyobraźnia moja płonęła. Postacie tych kobiet przyoblekały się w ciało i stawały się rzeczywistością. Nadawałem im kształty Nimf i Najad, których posągi widziałem w Łazienkach. Z zadrukowanej bibuły książek poglądały na mnie wilgotnemi oczyma i uśmiechały się do mnie, błyskając ust koralem.

Żyłem w tym świecie jak basza. Kochałem się we wszystkich tych kobietach, jeżeli to można nazwać kochaniem, i nie wiem prawdziwie, której z nich największą część oddawałem mej duszy. Panowały nademną kolejno, stosownie do tego, jak się przesuwały w myśli mej ich postacie, to Juno „wołowooka“, to Wenus „niezwyciężona“, to wreszcie Pallas „dziewicza” — *virginis os habitumque gerens et virginis arma.*

Nie mniejszem uczuciem gorzałem dla niewiast historycznych, mając podówczas już serce pakowne, jak angielski kuferek. Kochałem się na zabój w Helenie i Bryzejdzie, ubóstwiałem Hagarę i Zuzannę, szalałem za Aspazyą i Kleopatrą. Największą jednak miłością pałałem dla Judyty, której wizerunek widziałem raz na sklepowej wystawie. Oczy jej ścigały mnie wszędzie. Na wszystkich kajetach rysowałem

jej potężne kształty, i tylko żałowałem, żem nie żył w jej czasach, by módz o nią walczyć z Holofernesem.

* * *

Marcus Tullius Maruda nie wiedzał nic o tych romansach. Więżąc mnie w dwóch pokojach przy ulicy Wiejskiej, których okna wychodziły na odludne ogrody, sądził, iż mnie zabezpieczył przed wszelką pokusą. Nikt nie miał przystępu do mnie, prócz niego, starego zaufanego sługi, który nam obiad z miasta przynosił, tudzież nauczycieli muzyki i rysunku.

Pragnąc mi dać te talenty, a nie mogąc na wsi trzymać tylu nauczycieli, wyprawił mnie był ojciec z Marudą do Warszawy, powierzając mu równocześnie wybór tych, którzy mieli uzupełniać moje wychowanie. Maruda wywiązał się z tego polecenia z właściwą sobie sumiennością i rzeczy rozumieniem. Wybrani przez niego nauczyciele nie ustępowali mu wcale pod względem wieku, zalet wewnętrznych i ujmującej powierzchowności. Były to dziwolągi, kubek w kubek podobne do mojego mentora.

Murem tym chińskim od świata odgraniczony, żyłem tedy, jak gdyby w pudełku napełnionem watą. Ale co dobrym octem zostać ma, to zaczyna kisnąć już zawczasu. Więc też nie na wiele się przydała ostrożność Marudy. Samotność, w której mnie trzymał, usposobiała mnie do marzeń, a tajemniczość jego zarządzeń dostarczała mej wyobraźni ciągłej podniety.

Nie mogąc wśród mego otoczenia znaleźć nic, coby mnie zajmowało i pociągało, wymykałem się w krainę fantazyi. Ojciec mój, któremu Maruda co tydzień obszerne o mojem sprawowaniu przysyłał doniesienia, ani się domyślał, że szukam dla niego synowej—na Olimpie.

* * *

Niebawem jednak zstąpiłem z błękitów na ziemię, zwróciwszy w inną stronę me uczucia. Cioteczna siostra Marcusa Tulliusa utrzymywała na Nowym Świecie pensyonat, w którym pewnego dnia mistrz mój objął wykład literatury.

Jakie pobudki skłonić mogły tę panią do tego, iż tak zaciętego wroga płci niewieściej powołała na nauczyciela w pensyonacie żeńskim—jakie przyczyny spowodowały Marudę do objęcia tej posady, tego się nigdy nie dowiedziałem. Z tego jedynie, że wypadek ten zdarzyl się w środku kursu, oraz z tajemniczej i surowej miny mojego Rzymianina, domyślałem się, że tam zajść musiała jakaś awantura.

Tajemniczość, którą Marcus Tullius Maruda starał się osłonić ten wypadek, zaostrzała moją ciekawość i podniecała wyobraźnię. Wietrzyłem tam coś podobnego do porwania Heleny i gotów byłem po stronie Trojańczyków wystąpić z Marudą i jego siostrą w zapasy. W przekonaniu tem utwierdził mnie Maruda, piorunujący obecnie z większą jeszcze przeciwko nadobnej płci zawziętością.

Wszystko to drażniło mnie i niepokoiło nad wszelkie wyrazy. Sprzeniewierzyłem się Olimpowi i przestałem myśleć o biblijnych niewiastach, a natomiast przeniosłem wszystkie moje uczucia do pensyonatu.

Nienawiść, jaką zawsze dla płci niewieściej okazywał Marcus Tullius Maruda, napełniała mnie obawą o los tych biedaczek. Co on im tam gada i jak się z niemi obchodzi tem barbarzyńca? Och, gdybym ja był na jego miejscu, z pewnością nie miałyby powodu się uskarżać. Całą godzinę bawilibyśmy się, a piątki dawałbym bez słuchania lekcyi.

*
* *

Więc też uderzyło mi serce w piersiach, jak gdyby młotem, gdy powróciwszy z lekcyi, Maruda

przyniósł po raz pierwszy kajety swych uczennic. Były tam rozmaite: w zielonych, niebieskich, różowych i liliowych okładkach, opatrzone wstążeczkami odpowiedniej barwy, na których zgrabną kokardką przymocowane były czyściutkie bibułki.

Pochłaniałem je oczyma zdaleka, nie śmiąc oddychać, aby nie zdradzić swego wzruszenia. Zdawało mi się, iż już teraz nie jestem sam na sam z Marudą, lecz że jacyś mili i weseli goście weszli do mojego pokoiku. Cały dzień myślałem tylko nad tem, jakby się dobrać do tego skarbu, nie zbudziwszy podejrzeń mojego Cerbera. Kajety te nęciły mnie urokiem zakazanego owocu. Leżały przedemną na stoliku, a jam patrzył na nie pełen oczekiwania i miłego niepokoju, lubując się naprzód już przyjemnością, jakiej sobie doznać obiecywałem, skoro je posiądę. Kiedy niekiedy przekonawszy się, że Cerber mój nie patrzy, wyciągałem ostrożnie rękę i dotykałem się ich lękliwie. Rozkoszny dreszcz przebiegał mnie wtedy po całem ciele.

Wreszcie na drugi dzień, gdy Maruda wyszedł na lekcyę, rzuciłem się na moją zdobycz, jak wilk zgłodniały. Było to prawdziwe objawienie. Ach te aniołki, jakąż one cudowną miały ortografię, jakie pocieszne stawiały kulasy. Tu i owdzie kilka liter połkniętych w roztargnieniu, tam znów żyd zlizany języczkiem na papierze... wszystko to odsłaniało mi tajemnice pensyonatu, wszystko bawiło i czarowało zarazem.

Nie wiedziałem zrazu, w którą stronę zwrócić swe sympatye, ze wszystkich bowiem kajetów spoglądały na mnie wesoło te same trzpiotowate oczy, uśmiechały się te same figlarne usta. Imiona także nie dawały mi żadnej wskazówki. Były wszystkie zarówno dźwięczne i poetyczne: Aniela, Sabina, Róża, Emilia, Laura, Amalia, Flora, można tu było przebierać, jak w Olimpie. Ostatecznie zwróciłem

afekty swoje ku Florze, imię to bowiem odpowiadało najlepiej moim mitologicznym ideałom.

* * *

Cały tydzień bawiłem się temi kajetami; cały tydzień przemarzyłem słodko, czyniąc zadość serdecznej potrzebie i wetując sobie nudy swej samotności i swego odosobnienia w miłem towarzystwie tych pensyonarek, których nie znałem, ale z któremi łączyły mnie wspólność wieku i położenia.

Pod nieobecność Marudy poprawiałem zmienionem pismem wszystkie grubsze ortograficzne, gramatyczne i stylowe usterki, aby młodym mym przyjaciółkom oszczędzić strofowania. Możność przysłużenia się im w ten sposób ucieszyła mnie wielce, ale nie zadowolniła jeszcze w zupełności. Chciałem się do nich zbliżyć jaknajbardziej, o ile na to pozwalały stosunki, chciałem im dać poznać, że jestem, że o nich myślę i szukam ich towarzystwa, podobnie jak ów więzień, zamknięty w samotnej celi, który opukuje mury dokoła, dając znak o sobie i szukając, czy w jego sąsiedztwie nie ma gdzie pokrewnej mu i współczującej duszy.

Wreszcie przyszedł mi na myśl ów koń drewniany, w którego brzuchu dostali się Grecy do wnętrza Troi. Wyrysowałem Marcusa Tulliusa Marudę, odzianego w strój rzymski i toczącego wojnę z rojem olbrzymich much. Karykatura ta udała mi się wyśmienicie, podobieństwo było uderzające, a ruchy i wyraz twarzy zrozpaczonego Rzymianina oddane w siedmiu obrazkach z wielką prawdą i humorem.

Arcydzieło to opatrzyłem łacińskim i polskim podpisem: „*Marci Tullii Marudae bellum contra muscas* — Marcusa Tulliusa Marudy wojna z muchami". Poczem włożyłem je pomiędzy wierzchnią a wewnętrzną okładkę kajetu mojej Flory, oczekując, pełen trwogi i niepokoju, co z tego wyniknie

Podstęp udał mi się wybornie. Ukończywszy poprawianie kajetów, zabrał je Marcus Tullius do pensyonatu, nie przeczuwając zdrady. Przyszły więc dla mnie chwile gorączkowego oczekiwania. Czy Flora zajrzy pomiędzy okładki swego kajetu? Czy przypadkiem nie popadnie mój rysunek w ręce nauczycielki i nie stanie się dla niej przyczyną kłopotów? Myśl ta przerażała mnie i żałowałem już prawie swojego postępku.

Po kilku dniach jednakże uspokoiły się moje obawy. Marcus Tullius powracał z pensyonatu w jednakowo złym humorze i nie było nic takiego, coby zdradzało, iż psota moja została odkryta. Więc już myślałem tylko o tem, jakie też wrażenie zrobi mój rysunek pomiędzy pensyonarkami i czy w ten sposób będziemy się mogli znosić z sobą, drwiąc z surowości i przenikliwości Marudy.

Nie mogłem się doczekać powrotu kajetów. Po upływie tygodnia przyniósł je wreszcie Maruda z pensyonatu. Korzystając z chwilowej nieobecności mojego mistrza, który zwykł się był wydalać zawsze w czasie lekcyi muzyki, rzuciłem się na skarb mój, pełen oczekiwania i nadziei. O radości! W miejsce mojego rysunku znalazłem ćwiarteczkę listowego papieru, ozdobioną trzema bratkami i podpisem: *Pensez à moi*, a dalej słowa: „Marcus Tullius M... wyborny. Prosimy o więcej“,

Nie posiadałem się z radości. Bilecik schowałem w kieszonkę od surduta na sercu i podbiegłem do fortepianu, starając się ukryć wzruszenie. Ręce mi drżały; zdawało mi się, że z kieszonki surduta bije żar, którego ciepło rozchodzi się po całem mojem ciele. Piżmowy zapach papieru upajał mi zmysły. Usiadłszy, zacząłem bębnić gamy, a nie były to już gamy proste, lecz jakieś tryumfalne fanfary, jakieś hymny zwycięzkie, jakaś burza tonów, nie mająca z harmonią nic wspólnego, ale odpowiadająca mojemu niepokojowi. Napróżno starał się nauczyciel

poskromić te zapały; nie byłem w stanie zapanować nad sobą w tej chwili.

* *
*

Czułem się szczęśliwym nad wszelkie wyrazy. Posiadałem tajemnicę, której się nie domyślał Maruda, ani całe moje otoczenie. Mogłem korespondować teraz z pensyonatem po za plecami mojego Rzymianina, któremu narzuciłem rolę pocztyliona, ani wątpiąc o tem, że ją teraz już spełniać będzie, jak należy. W osamotnieniu, w jakiem mnie trzymano, była to dla mnie nielada pociecha.

Co chwila sięgałem do kieszonki surduta, by się przekonać, czy mój skarb jest tam jeszcze. Był rzeczywiście gładki i miły w dotknięciu, pełen zapachu, który mi głowę zawracał. Co za rozkosz, co za rozkosz! I to wszystko zawdzięczałem Homerowi, a raczej dowcipnemu Ulisęssowi, którego koń drewniany nasunął mi pomysł, w jakiby sposób zawiązać stosunki z pensyonatem.

Więc też co chwila powtarzałem wstęp do *Iliady*, chwalący mądrość wielowędrownego męża:

— *Andramoi ennepe musa poli tropon hos malla polla.*

— Co ty tam mruczysz, Kaziu? — pytał mnie Maruda.

— Powtarzam wstęp do *Iliady*.

— Tak, tak młodzieńcze — odpowiadał z widocznem zadowoleniem. — W starożytności szukaj wzorów... Tam znajdziesz przykłady cnoty obywatelskiej, męztwa i hartu duszy, które cię wesprą w walce i doprowadzą do celu na drodze żywota... *Puer si quae fata aspera rumpas, tu Marcellus eris!*

Ani się domyślał, że tak pilnie słucham jego rady.

* *
*

Rozpoczęło się teraz pomiędzy mną a pensyonarkami ciągłe listowanie. Surowy Marcus Tullius

Maruda spełniał rolę posłańca z wielką uroczystością, nieświadomy pociesznej roli, jaka mu przypadła. Zrazu przesyłaliśmy sobie karykatury, których zazwyczaj Maruda był przedmiotem, niebawem jednak daliśmy za wygraną rysunkom, których treść zbyt uboga nie wyrażała naszych myśli.

Mieliśmy już teraz sobie zbyt wiele do powiedzenia. Tajemnica i urok zakazanego owocu pociągały nas ku sobie i zapalały naszą wyobraźnię. Więc też nie było teraz końca paplaninie, którą zapełnialiśmy długie ćwiartki, plotąc trzy po trzy o chęci zbliżenia się i poznania, o miłości, o tęsknocie, tak jakbyśmy wiedzieli, co to wszystko znaczy.

Listy, które mi przynosił Maruda, były zawsze pisane jedną ręką, wydawały jednę i tę samą woń piżmową i pałały jednem i tem samem gorącem uczuciem. Jakie tam myśli powodowały moją korespondentką: czy pisała tylko dla żartu i zabawy, czy też na seryo brala to, co wyrażały jej listy, tego nie jestem w stanie powiedzieć. Tyle tylko wiem, że serce moje i umysł były naprawdę zajęte moją nieznaną korespondentką.

Dla mnie nazywała się ona Florą i była podobną do Pallady — *Virginis os habitumque gerens et virginis arma.* Nadmienić tu zresztą muszę, że nie byłem nigdy wybrednym. Zdaje się więc, iżbym się wcale nie gniewał o to, gdybym, ujrzawszy piękną moją, spostrzegł, iż jest podobną do Judyty.

* *
*

Zaszedł jednakże wypadek, który pomieszał szyki moich marzeń i wykoleił mnie z dotychczasowego spokoju. Wyszedłszy dnia pewnego z Marudą do miasta, by kupić tablicę logarytmów w księgarni, spotkaliśmy pensyonat siostry mojego mentora. Gdy Marcus Tullius spostrzegł grożące mej cnocie niebezpieczeństwo, zapóźno już było myśleć o odwrocie.

Mimo to szarpnął mnie za rękę, chcąc pociągnąć na przeciwległą stronę ulicy. Ale ruch przejeżdżających dorożek udaremnił jego zamiary.

Przeszły więc koło mnie wszystkie w granatowych sukienkach i popielatych kapelusikach, przeszły, uśmiechając się figlarnie i poglądając na mnie ciekawie, naprzód słuszne, potem małe w szeregu. Szły kłaniając się Marudzie z minkami, które nie warte były i pół grosza, i spoglądając na mnie ukradkiem, a ja patrzyłem na nie oszołomiony, nie wiedząc, w którą stronę zwrócić oczy, takie mi się wydały piękne i brunetki i szatynki i blondynki, i te z czarnemi i te z niebieskiemi oczyma, i te z pociągłym noskiem i te, które miały nosek zadarty do góry.

— Gdzież Flora? — pomyślałem. — Zgaduj teraz zgadula, gdzie moja złota kula? Gdym myślał o brunetkach, w oczach mi stawały blondynki i naodwrót. Biedziłem się tedy, nie wiedząc, gdzie właściwie umieściłem swoje afekta. W tej niepewności utwierdził mnie jeszcze wonny liścik na welinowym papierze, który mi nazajutrz w czasie niebytności Marudy oddano. Pismo było to samo, co zwykle, ale treść jego odmienna.

„Licząc na dobre serce pana — pisała moja korespondentka — ośmielam się prosić o napisanie mi wypracowania p. t. „Zasługi Kopernika dla nauki i świata“. Ponieważ wiem, że czasu obecnie panu nie brak, a więc proszę koniecznie o napisanie i przysłanie mi tego ćwiczenia jeszcze w tym tygodniu, Przysłać zaś proszę bardzo tylko między godziną 12-tą a 1-szą, t. j. w pauzę, na ręce p. Anny Szymkajło, pod adresem: „Pensya p. Hermenegildy Marczyńskiej, Nowy-Świat Nr. 34“. Pozostaję

Widzianą a Niepoznaną.

„*P. S.* Sądzę, że dyskrecya zachowaną, a śledztwo zaniechanem będzie. Odpowiedź proszę przez

posłańca zaufanego przysłać schodami pensyonarskiemi, t. j. nie frontowemi z bramy, tylko przez podwórze z sieni. Mam nadzieję, że pan Kazimierz dobrze się sprawi, a nagroda go nie minie".

Punkt i domyślnik długi na pół łokcia.

* *
*

„Widziana a niepoznana!" Te dwa słowa huczały mi teraz w głowie, jak dwa bąki, wypuszczone ręką żaka. Co ona tem chciała powiedzieć, dlaczego je podkreśliła? Napróżno szukałem odpowiedzi na to pytanie. Zdawało mi się, że się po za tem kryć musi tajemnica. Uczucie to niepokoiło mnie, sprawiając mi zarazem przyjemną niespodziankę.

I rzeczywiście, zaszła już teraz była skutkiem tego listu zmiana w sceneryi mojego romansu. Przedmiot mej miłości uosobił się niejako, nie przestawszy mimo to być zagadką. Uczucie moje zeszło było z dziedziny nieokreślonych porywów na grunt bardziej realny i konkretny. Przestałem myśleć o wszystkich, bo mnie już teraz ku sobie ciągnęła ta jedna, jedyna, która słodką mi przyrzekała nagrodę. „Widziana a niepoznana!" Wistocie było w tych dwóch słowach dosyć, aby do szaleństwa rozmarzyć młodego studenta!

Więc też czemprędzej napisawszy żądane wypracowanie, dołączyłem list pełen wynurzeń i zaklęć miłosnych tak gorących, iż prawdziwie nie pojmuję, jakim się to stało cudem, iż nie spaliły papieru, i włożywszy obydwa te pisma w jedną kopertę, wręczyłem je synowi naszego stróża, aby je pod wskazanym oddał adresem. Chłopak to był bardzo sprytny i do mnie przywiązany; mogłem się więc na niego spuścić, jak na siebie samego.

Razem z kajetami przyniósł mi Marcus Tullius Maruda odpowiedź, i—o radości!—fotografię „widzia-

nej a niepoznanej". Teraz przynajmniej wiedziałem, kto moje serce posiada!

* * *

Trudnoby mi było szczęście swoje opisać. Nie posiadałem się z radości. Całe dnie spędzałem teraz na wpatrywaniu się w fotografię, wkładając ją zawsze pomiędzy kartki książek, z których się uczyłem. Wistocie, nie zauważyłem był tej twarzyczki, która jednak na to zasługiwała. Była to czternastoletnia może dzieweczka o zadartym nosku, bujnych włosach i figlarnem spojrzeniu. Jakiego koloru były jej oczy i włosy; o tem z fotografii nie mogłem sobie zrobić dokładnego wyobrażenia i prawdopodobnie ginął w niekolorowanym obrazku osobisty charakter tej twarzy. Inaczej musiałbym ją poznać koniecznie. Wszakże się sama nazwała widzianą.

Niedokładności te obiecywałem sobie uzupełnić, skoro ją raz jeszcze zobaczę. Tymczasem rysowałem postać jej na wszystkich kajetach, dodając fantastyczne upiększenia, które z trzpiotowatej pensyonarki robiły klasyczną boginię. Niemniej często odczytywałem list mej korespondentki, która mnie, co prawda, w wyrazach mniej gorących niż moje, lecz niemniej stanowczo zapewniała o swem uczuciu.

Pomimo swego trzpiotowskiego wyglądu, była to osoba, jak się zdaje, wielce poważna. Takie przynajmniej robił wrażenie jej list i sposób, w jakim pojmowała uczucie. Z wielką trzeźwością i powagą zastanawiała się nad ważnością takiego kroku, jakim jest wybór dozgonnego przyjaciela, mimo to nie odmawiała mi serca i ręki, „licząc na stałość charakteru i zacność uczuć pana Kazimierza".

* * *

Więc też nam już teraz jako posłaniec nie wystarczał Maruda, który mi regularnie co dwa tygo-

nie przynosił list obszerny z pensyonatu. Syn nazego stróża nosił tam niemal codzień moje koreɔondencye, i nawzajem niemal codzień dochodziły ınie z pensyonatu rozliczne przesyłki. Kochałem się a zabój i chodziłem poważny i nadęty moją miłoɔią i tajemnicą. Zdawało mi się, że jestem kimś, e jestem figurą nielada, taką mnie uroczystością naelniała świadomość żyjącego w piersi mej uczucia.

Snuł się tedy mój romans gładko i równo jak płatka, i czułem się w nim bezpiecznym, jak gdyby r mocnej warowni, aż dnia pewnego zawezwano Iarudę pod wieczór do pensyonatu. Niezwykła pora ego wezwania, nagłość jego i sposób, w jaki je uczyiono, wszystko to wykraczało tak dalece po za zwyzaje, iż przypuszczać należało, że w pensyonacie ajść musiało jakieś ważne, niespodziewane a wyıtkowe zdarzenie. Można sobie wyobrazić, jak dace wypadek ten zaniepokoił moje niezbyt czyste suıienie.

Więc też z bijącem sercem oczekiwałem po'rotu Marudy, który pełen zdziwienia i — *notumque ırens quid femina possit* — podejrzliwego lęku udał ę był do pensyonatu, czyniąc zadość wezwaniu zełożonej. Wrócił surowy i złowrogi. Twarz jego yrażała ból, wstyd, przestrach, gniew i oburzenie.

Spojrzałem na niego z trwogą. Kępka włosów, edzących na jednej z brodawek jego nosa, których ułość na wszelkie meteorologiczne i psychiczne niany zauważyłem był już oddawna, przybrała była raz postać niezwykłą. Włoski te wydłużały się zawyczaj i podnosiły na pogodę, a kurczyły i zwijały, ekroć burza wisiała w powietrzu. Obecnie zakrzyiły się one nakształt haków, nakształt żądeł, naształt drapieżnych szponów. Wszystko to nie wróyło mi spokoju, ni uciechy.

Zamknąwszy drzwi za sobą, stanął przedemną oratorskiej postawie i zawołał: „nieszczęsny mło-

dzieńcze!“ Nie sposób było się łudzić; tajemnica mego romansu była odkrytą.

* * *

Więcej niż dwie godziny trwało jego kazanie. Przekonałem się z trwogą, iż wiedział o wszystkiem, i że nie sposób było myśleć o jakimś wybiegu. Zdaniem jego, dopuściłem się hańbiącego czynu, a podstęp, do którego się uciekłem, narzucając mu rolę posłańca, odsłonił całą nikczemność mego charakteru.

Ostre te wymówki bolały mnie bardzo, a jeszcze bardziej nękała mnie myśl, iż ubóstwiana moja narażona jest na podobne wyrzuty. Marcus Tullius wyrażał się o niej z wściekłością, która mnie napełniała obawą o los biednej Flory.

— To ja, to ja wszystko zrobiłem! — wołałem, szlochając. — To ja rozpocząłem i prowadziłem korespondencyę, ale w dobrej, w poczciwej myśli, bo się chcę z nią ożenić... Ona niczemu niewinna, ja także niezdolny jestem do podłości... Jeżelim wkładał do jej kajetów listy, to i cóż ztąd, skoro się inaczej nie mogliśmy porozumieć.

— To podłość nikczemna! — piorunował Maruda. — Obłudą twego postępowania wprowadziłeś w błąd mnie... mnie, któremu zwierzono opiekę nad twoim losem... Oczywista rzecz, że się nie mogłem spodziewać podobnego zepsucia w tak młodym wieku i że się dałem oszukać... Ale dziś odkryte zostały podstępne twoje zdrady, a hańba twojej niecnoty została odsłoniętą... Wstydź się, nieszczęsny młodzieńcze! Takiż to owoc zbawiennych rad i nauk, które ci dawałem, takimże ci zawsze przyświecałem przykładem!

* * *

I perorował tak dalej, zawzięcie cytując Katona i Senekę, a grożąc mi gniewem ojca, któremu zamie.

rzał donieść o mojem postępowaniu. Słowa jego kruszyły mnie i pogrążały w rozpacz bezdenną, bo jakkolwiek nie miałem świadomości zbrodni, którą mi zarzucał, to jednakże nękały mnie srodze te zarzuty, uwłaczające mojemu honorowi i uczciwości moich zamiarów.

Z drugiej strony zatruwała mi serce myśl o cierpieniach biednej Flory i wzgląd na to, że to ja na nią ściągnąłem to nieszczęście. Całą noc biedziłem się, szukając ratunku, ale daremnie. Położenie moje wydawało mi się bez wyjścia, a serce moje ściskał wstyd i żal za utratą tego szczęścia, którego się sądziłem tak pewnym niedawno temu jeszcze.

— Umrzeć, umrzeć! — zawołałem, miotany rozpaczą.

Myśl o śmierci opanowała mnie, nęcąc szczególniejszym urokiem. To było zakończenie poetyczne, które odpowiadało wielkości moich uczuć i mego nieszczęścia. Jakoż zerwawszy się rano i wysunąwszy się cichaczem z pokoju, pobiegłem do syna naszego stróża i pożyczylem od niego olbrzymi skałkowy pistolet, z którego zwykł był strzelać do wróbli w ogrodzie.

Za dwadzieścia groszy kupiłem u niego nabój prochu i kawałek ołowiu; potem, nabiwszy broń z wielką uroczystością, schowałem ją pod tużurek i udałem się do mego mentora. Umyśliłem bowiem odebrać sobie życie w jego oczach z wielką prozopopeją, tak, aby śmierć moja nietylko zmyła plamę ciążącą na mem imieniu, ale w dodatku otoczyła mnie jeszcze aureolą bohaterskiego męczeństwa.

Cobym był zrobił wtedy, gdyby Marcus Tullius Maruda przyjął był obojętnie moje oświadczenie, iż zamierzam koniec położyć memu życiu. Sądzę, iżby mnie był tem postawił w wielkim kłopocie, zdaje mi się bowiem, że jakkolwiek mocno byłem wzburzony, odgrywałem komedyę przed samym sobą i że ujrzawszy się nagle wobec nabitego pistoletu, któregoby

mi nikt użyć nie bronił, byłbym ze wstydem zaniechał swojego zamiaru. Być jednak może, iż się mylę. Młodość tak jest głupią, tak szlachetnie, tak bohatersko głupią, że gdy ją zapał ogarnie, nie ma dla niej niemożliwości, i roztropniej jest nie wystawiać szczerości jej na próbę.

* * *

Marcus Tullius Maruda zbladł jak chusta, gdy, stanąwszy przed nim w teatralnej postawie, wydobyłem olbrzymi pistolet z pod tużurka.

— Ka... Ka... Kaziu fe!... Co ty robisz, bój się Boga! — jęknął dygocząc, jak gdyby w febrze.

— Pan mnie nazwałeś podłym — rzekłem grobowym głosem. — Pan wydałeś na mnie wyrok śmierci, bo kto podły, ten nie wart, żeby go święta ziemia nosiła.

— Ale Kaziu fe, fe; nie żartuj — bełkotał Maruda, kuląc się i usuwając na bok z przestrachem.— Po... połóż to, bo jeszcze wystrzeli.

Miał widocznie zamiar wynieść się z pokoju, ale mu zastąpiłem drogę, chcąc koniecznie dokonać w jego oczach mego zamiaru.

— Wystrzeli, z pewnością wystrzeli! — rzekłem patetycznie. — I kula ta trafi odrazu dwa serca: moje i Flory... Pan tego chciałeś, pan wydałeś wyrok śmierci na mnie, nazwawszy mnie podłym i nikczemnym.

— Ależ, Kaziu, ja to odwołam... Jak chcesz, ja to zaraz odwołam, tylko połóż ten pistolet, bo gotowo być jakieś nieszczęście.

— Odwołasz pan?

— Odwołam, święcie odwołam.

— I pójdziesz pan wytłómaczyć siostrze swej, że ja i Flora kochamy się uczciwie, i żeśmy sobie przysięgli pobrać się, skoro ona skończy pensyę, a ja gimnazyum

— Ależ to nie ma sensu.

— Co, nie chcesz pan! — zawołałem, przykładając pistolet do czoła.

— Chcę, chcę, wszystko zrobię, tylko połóż ten pistolet, żeby, broń Boże, nie było nieszczęścia.

— Wytłómaczysz pan wszystko swej siostrze?

— Wytłómaczę, wytłómaczę!

— I powiesz jej, żeby Florze nie robiła przykrości?

— Powiem, powiem, tylko połóż pistolet.

— Przysięgnij pan!

— Przysięgam.

Uspokojony tem przyrzeczeniem, położyłem broń na stoliku, a Maruda, porwawszy kapelusz, czmychnął z pokoju.

* * *

Czy się istotnie wywiązał ze swego przyrzeczenia, tego nie wiem. Zapewniał mnie, że tak, unikając zresztą w ciągu następnych dni wszelkiej ze mną w tej sprawie rozmowy. Był dla mnie nad wszelkie wyrazy grzecznym; unikał strofowania i cytat z łaciny. Ale to wszystko było tylko pozornem; wistocie przeżuwał Marcus Tullius swą zemstę, oczekując tylko przyjazdu mego ojca, któremu niezwłocznie doniósł o tem, co zaszło.

Jakoż w kilka dni przybył ojciec mój, przed którym sprawa została wytoczona nanowo. Ku wielkiemu zdziwieniu Marudy, nie wziął jednakże rzeczy tej wcale do serca, owszem, zdawało się nawet, że go bawi to całe zajście, w którem mój Rzymianin widział tyle zdrożności.

Trudno było po tym wypadku pozostawić mnie pod opieką Marcusa Tulliusa Marudy, którego system wychowawczy tak się okazał wadliwym. Więc też odebrał mnie ojciec i wywiózł na wieś, a później

do Louvain, gdzie niebawem zapomniałem o moim Rzymianinie.

I tylko wtedy, gdy mi się zdarzy popełnić jakiś grzech mniej lub więcej różowy, lub gdy się dam usidlić pokusie w koronkach i batyście, odzywa się w sercu mojem nosowy głos Marcusa Tulliusa Marudy, wytykający mi popełnione lub zamierzone zdrożności:

— Kaziu, bój się Boga, co ty robisz?... *Quousque tandem*, młodzieńcze?... Narażasz na szwank zdrowie, spokój, cześć swą, a nawet i zbawienie... Grzeszna miłość jest jedną z największych klęsk ludzkiego żywota; jest to jakoby dół napełniony zarzewiem.

Ale ja sobie nic z tego nie robię i nie myślę wcale dla pięknych oczu Marudy i jego nosowego głosu wyrzekać się pokusy. Ach ba, ani mi to w głowie! Wszakże wiem, jak się postępuje w takich razach. Bierze się skałkowy pistolet do ręki i zmusza Rzymianina do kapitulacyi, wedle wiadomej państwu recepty.

———

Jaskółki.

Es ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie immer neu!
Heine.

Zwiastując młodą wiosnę, powróciły z ciepłych ajów.

— Pilwit! pilwit!—rozbrzmiewała wokół piosnka ı wesoła.

Na głos tej wieszczby wychyliły się białe pier-iosnki z listków swych pieleszy, z trawy wyjrzały erwsze pączki fiołków, nasłuchując ciekawie; stary b zbudził się z zimowego snu i w podmuchach kkiego wiatru zaszumiał gałęziami, pokrytemi świe-m pąkowiem.

Drzewa, krzaki i zioła uczuły w komórkach vych rozkoszne granie soków, bijących pod wpły-em tej niezbadanej siły, która się życiem nazywa, ze wszech stron ozwało się błogie westchnienie ulgi › minionym ucisku:

— Wiosna, już wiosna!... Jaskółki powróciły › nas z wyraju!

Jedna para zwiastunek tej radosnej wieści, któ-tak do głębi wzruszyła całą przyrodę, przypadła łyszana męczącym lotem do swojego dawnego gniaz-czka.

Okiem znawcy obejrzał samczyk całą jego budowę.

— Nic się tu nie zmieniło—zaświegotał uradowany.—Lute wichry nie przyniosły szkody naszemu domkowi.

— Spodziewałam się tego—odparła samiczka.—Wiem przecież, jak dobrym jesteś budowniczym.

— Nie o to chodzi — rzekł na to samczyk uprzejmie. — Bałem się, czy ludzie nie zburzą nam gniazdka podczas zimy.

— A ja się tego nie obawiałem wcale... Miałam zaufanie do tej dziewczyny, co mieszka pod nami... Jestem pewną, że to ona broniła naszego mieszkanka od zniszczenia.

— Tak, masz słuszność—zauważył samczyk.—Mądrześmy zrobili, budując chatkę naszą pod jej opieką... Stare jaskółki zawsze mówią, że można pod tym względem ufać zakochanym.

— Poczciwe dziewczątko—ciągnęła dalej samka.—Czy pamiętasz, jak raz wspólnie z tym młodym chłopcem, ktory z nią zwykł był chodzić po ogrodzie, mówiąc jej o swej miłości, obronili domek nasz od napadu wróbla, co się chciał w nim usadowić, niecnota?

— O pamiętam, pamiętam!—odparł samczyk.—To było w pierwszych dniach naszego pożycia... Dzikie winogrady, oplatające tę werendę, jaśniały wówczas bujną zielenią, a w gęstwi tych krzakow, tam na lewo, nucił słowik, którego słuchali, marząc o swojem kochaniu.

— Ach, jak on ją kochał szalenie!—westchnęła samka.—Co dnia przybiegał do niej stęskniony, by jej spowiadać uczucia swoje i myśli.

— O tak, szalał za nią, szalał! — potwierdził samczyk!—Ale i ona kochała go wzajemnie!... Lubiłem patrzeć na nich, gdy płonęli oboje: on cały w żarach, drżący od wzruszenia, wyrzucający z piersi słowa płomienne; ona, kołysana pieszczotą głosu jego,

porwana czarem jego namiętnej wymowy, wpatrzona w nowe światy, które jej oczom otwierał... Wszystko to było jakby wtórem tego, cośmy sobie sami wówczas mówili.

— Ach, jakżebym rada ujrzeć ich znów! — zawołała samka.—Zobaczysz, jak ich powrót nasz ucieszy... Pilwit, panienko, pilwit! Myśmy znów tutaj!... Szumi radośnie dąb, zbudzony z zimowego letargu; pierwiosnki i fiołki wychylają się ku słońcu rozkosznie... Podnieś, panieneczko, zasłonę swego okienka i otwórz je, by odetchnąć świeżem wiosny tchnieniem.

— Napróżno jej wzywasz—rzekł samczyk—śpi jeszcze, a nawet może i w ciągu dnia nie ujrzysz jej wcale. Przybyliśmy tego roku wcześniej, stęsknieni do naszego gniazdeczka... Słońce nie rozgrzało jeszcze łona ziemi i chłodne od gór wieją podmuchy.

— Istotnie, że chłodno jeszcze—odrzekła samiczka, wstrząsając piórkami.—Być może, żeśmy tu powrócili za wcześnie.

— Eh nie, wiosna idzie już — powiedział samczyk.—Czuję ją w powietrzu... Za kilka dni pokryją się drzewa i krzewy gęstym liściem, a z pączków wystrzelą wonne kwiaty... Niebawem ockną się poczwarki ze swego odrętwienia, dając życie brzęczącym muszek korowodom; robaczki świętojańskie rozniecą w gęstwiach swe ogniki, i słowik zanuci, w cieniu, zwiastując światu, że nadszedł czas kochania.

*
*   *

Tymczasem wschodziło słońce na niebie, strzelając wokół snopami promieni, które się układały miękko na wszystkich przedmiotach, jak pocałunek matki, złożony na czole śpiącego dziecięcia. Rozkoszny dreszcz biegł po drzewach, krzakach, trawach i ziołach, pijących wszystkiemi porami ciepłe jego blaski.

Zbudzone ze snu wróble witały krzykliwym świergotem początek dnia, fruwając wesoło od gałęzi do gałęzi, lub też szukając żeru, i kłócąc się o znalezione źdźbła. Z kryjówek swych tu i owdzie powyłaziły zaspane owady, wlokąc mozolnie swe sztywne jeszcze ze snu członki i przedstawiając łatwy połów dla ptactwa, żyjącego kosztem ich życia. Jaskółki wyleciały z gniazdka szukać pokarmu.

Zwiedziły staw i groblę wysadzaną lipami i długi szpaler grabowy w ogrodzie, ulubione tamtego roku miejsce ich polowań. Były w sadzie, gdzie kwiatom drzew owocowych zwykły szkodzić muszki, szybowały ponad rabatami i trawnikami, szukając liszek i żuczków, a gdzie tylko zawitały, rozbrzmiewało ich „pilwit“ ochocze.

Lekki wietrzyk niósł w dal ich pobudkę, która całę przyrodę wprawiała w rozkoszne upojenie. Drzewa podawały krzakom, a krzaki trawom i ziołom wieść radosną.

— Jaskółki wróciły... Już są—szeptały młode kiełki i listki strzelające z zawiązków. Niebawem wiedziały o ich powrocie i ruń ozima na roli, i borówki w lesie, i pszczółki w barciach, i trzody na ugorze, i rolnicy wyjeżdżający na pole do roboty. A gdziekolwiek wieść ta zabrzmiała, tam niosła otuchę i podnietę.

Jaskółki widziały to, jak głos ich wszystkie łona otwiera i napełnia błogością, i jak pod wpływem ich wieszczby krzepią się siły wszystkich żyjących tworów; widziały budzącą się wszędzie ochotę do życia, a widok tego upojenia, które całą ogarniało przyrodę, upajał je nawzajem.

Nie trudno im było głód swój nasycić; szczęście im sprzyjało tego dnia. Nawet kosmyk wełny, przydatny na podściółkę, znalazła samiczka, okrążając gospodarskie zabudowania, leżące po tamtej stronie ogrodu. Miękko i ciepło będzie pisklętom, gdy się wykłują! Więc też powróciły wesołe i rozśpiewane

do swego gniazdeczka, chwaląc budzącą się wiosnę, którą światu zwiastowały swoim powrotem.

Słońce wzbiło się już było wysoko na niebie i zaglądało do okna pod gniazdeczkiem naszych jaskółek. Niewątpliwie była to pora, o której zwykła wstawać dziewczyna, gdyż niebawem podniosła się zasłona i brzękło okienko, drobną otworzone rączką

— To ona — szepnęła samka, wychylając się z gniazdeczka.—To ona!... Pilwit, panienko, pilwit!... Wróciliśmy razem z wiosną pod twoją opiekę... Witaj nam, boś i ty także wiosny obrazem... Jakże nas cieszy widok twój po tak długiej rozłące!

Dziewczyna uśmiechnęła się, usłyszawszy to powitanie; potem odetchnęła głęboko, chwytając ustami zdrzami powietrze. Pod wpływem ciepłych promieni słońca wznosił się z ziemi ten nieokreślony zapach wiosny, który jest właściwie tylko wonią świeżości i wilgoci, a który upaja zmysły, podnieca krew i w duszy budzi tajemne pożądania. Dzieweczka westchnęła, upojona tym rozmarzającym zapachem.

— Nie wzdychaj, panienko, nie wzdychaj! — świegotały jaskółki.—Patrz, oto złoty promyk słońca otwiera pączki, z których młode wyzierają listki; rozpętana z lodowych więzów, tętni struga w żwirowem korycie; poruszone lekkiem tchnieniem wiatru, szemrzą drzewa i wszystko wokół rozwija się i gra i śpiewa, ucieszone tem, że oto idzie maj... czas pieszczoty i słodkich uniesień!

Dzieweczka wyszła do ogrodu, by się przypatrzeć młodej wiośnie, którą zwiastowała piosnka jaskółek. Tutaj biło już silnem tętnem rozbudzone życie. Zdawało sie, iż widać, jak krąży sok pod korą, jak się rozwijają pączki, a rosną trawy i zioła. Całą przyrodę ogarnęła była nieprzeparta ochota do życia i zewsząd grzmiał donośny hymn błogiego upojenia.

Symfonia ta wnikała wszystkiemi porami w dziewczynę. Uczuła w skroniach granie młodej krwi, która warem biegła po całem jej ciele. Łono je we-

zbrało tęsknotą. Dusza rwała się ku czemuś, gdzieś w dal nieokreślonem pragnieniem.

Rozstrojona, powróciła z ogrodu i usiadłszy na werendzie, zanurzyła się w głębokiej zadumie.

Z zadumy tej zbudził ją turkot kół, dolatujący z dziedzińca. Nasłuchując, podniosła głowę i uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej lica. Po chwili stanął przed nią mężczyzna z bukietem fiołków w ręce. — Powitała go radośnie, z serdecznością nawet. Przyszedł w sam czas, by rozproszyć jej tęsknotę.

— Patrz, patrz!... Jakiś inny—zaświegotała samiczka, wyglądając z gniazdka ciekawie.—Przywiózł jej bukiet z fiołków, a ona... patrz, zbliżyła kwiatki do ust, a teraz przypina je do piersi... O, jakże mi żal zakochanego młodzika!

— Eh, głupstwo!—odparł samczyk.—To u nich takie dziwne obyczaje!... Słyszysz, jak chłodno rozmawiają z sobą, choć ona oczkiem go wabi... Przyjaciel nasz przyjdzie wieczorem; zobaczysz, że będzie z nim rozmawiała inaczej.

Ale samczyk mylił się; gość przedłużył swe odwiedziny do późnego wieczoru, zjednany uprzejmością zalotnego dziewczęcia. Rozmawiali z sobą długo, ale to nie była już rozmowa taka, jak ta, którą niegdyś wiodła z młodzikiem. Gość zdawał się być nadzwyczaj pewnym siebie: śmiał się i dowcipkował, pobudzając pannę do wesołego śmiechu. Widocznie był to pan bogaty, przyzwyczajony do łatwego zwycięztwa.

Mijały dnie i tygodnie; samiczka napróżno wyglądała młodzika. Gość wracał co dnia, przywożąc pannie bukiety i słodycze. Ona go witała coraz zalotniej, coraz serdeczniej; snać zapomniała już o dawnym kochanku!

Tymczasem zajaśniała wiosna w całej pełni swego uroku. Winograd, oplatający altankę, pokrył się bujną zielenią. W klombach rozkwitły róże, bzy i jaśminy, napełniając powietrze rozmarzającą wonią.

Koło rozkwieconych rabatek igrały barwne motyle, a w gęstwi nucił słowik rozkochane pienia.

I znów tak samo, jak przed rokiem, zabrzmiały na werendzie miłosne wyznania.

— Czy słyszysz? czy słyszysz? — zaświegotał samczyk.—Gość mówi naszej sąsiadce o swojej miłości... Wiedziałem, że do tego przyjść musi koniecznie, że się nie będą mogli oprzeć wszechpotężnemu wiosny urokowi... Pilwit, panienko, pilwit! Nadszedł czas rozkosznej uciechy!

— Ciszej—szepnęła samka—ciszej!... Nie płoszmy ich, nie budźmy z błogich uniesień... Niech upojeni czarem budzącego się w ich piersi uczucia, zapomną o świecie.

Przepyszny był wieczór. Słońce skryło się już za klombami drzew rozśpiewanych ptasiemi chórami. Po siniejącem niebie żeglowały lekkie chmurki, zaróżowione od gasnącego zachodu. Od strony stawu dolatywało wesołe rechotanie żab, na którego tle haftował słowik swe minorowe tony. Z ziemi podnosiło się jakby westchnienie, pełne bezmiernej błogości. Lekki wietrzyk przebiegał kiedy niekiedy i oblewał siedzących na werendzie to falą dźwięków, to falą woni.

Mężczyzna mówił dzieweczce o szczęściu, jakiem go napełnia widok jej, o tęsknocie, jaką czuje, gdy jest od niej daleko, o radości, jakiej doznał, usłyszawszy z ust jej, że mu jest wzajemną, o upojeniu, jakie mu sprawia myśl, że wkrótce już, wkrótce połączą ich silne węzły na wieki. Ale mówił to jakoś dziwnie; nie było czuć w głosie jego przekonywającego wzruszenia. Rzekłoby się, iż waży słowa i umiejętnie je dobiera, z góry obliczając swej wymowy skutek.

Panna słuchała jego wyznań z uczuciem zadowolenia, ale to, co jej mówił, nie dziwiło jej wcale, nie napełniało miłym niepokojem! Chciała go sobie zdobyć i zdobyła, lecz wiedziała z góry, iż cel ten

osiągnie. Nie było nic nowego i niespodziewanego we wrażeniu, jakiego w tej chwili doznawała.

Więc słuchając wyznań mężczyzny, z uśmiechem wodziła okiem po tym krajobrazie, który się przed nią roztaczał. I przyszlo jej na myśl, że taki sam wieczór był wtedy, przed rokiem, gdy po raz pierwszy z ust młodzika usłyszała płomienne słowo: kocham, którego dźwięk wzruszył ją wtedy do głębi.

Dziś tak samo, jak przed rokiem, rumienią się chmurki na zachodzie, tak samo pną się w górę wiotkie pędy winogradu, oplatającego altankę, tak samo w gęstwi nuci słowik, tak samo szepce wietrzyk, tak samo pieszczą słuch jej miłosne wyznania.

A jednak to nie to samo! Oh nie, przed rokiem było inaczej!... inaczej!...

KONIEC.



DATE DUE			

